

WAWRZYNIEC KONARSKI
JAK PORUSZYĆ
JEDNĄ TRZECIĄ POLAKÓW

GEN. STEFAN GROT-ROWECKI
ROZLICZA WINNYCH
KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ

JĘDRYSEK Z JAMAJKI
NA LISTĘ WYBORCZĄ

CZAS NA ZMIANĘ

 69th Internationale
Filmfestspiele
Berlin

Złoty Niedźwiedź
Nagroda FIPRESCI

OHYDNY
PASKUDNY
WSTREŃNY
ZŁY
CUCHNĄCY
ODRAŻAJĄCY
ŻAŁOSNY
PROSTACKI
PODŁY
BEZDUSZNY
OBMIERZŁY
OKROPNY

SYNONIMY

reżyseria Nadav Lapid

W KINACH OD 11 PAŹDZIERNIKA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreacyjna Europa”



AURORA

CYTATY

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,
były wicepremier
i minister finansów

Dwa razy wejść do tej samej rzeki nie można, ale wdepnąć w to samo bagno jak najbardziej.
kolodko@kozminski.edu.pl

WILHELM SASNAL,
malarz, reżyser filmowy
Przez dłuższy czas próbowałem zrozumieć ludzi, którzy inaczej myślą i głosują na PiS. Ale przestałem...
„Polityka”

TOMASZ GOLLOB,
wielokrotny mistrz Polski i świata w jeździe na żużlu
Zasypiam z bólem i z bólem się budzę.
„Angora”

MAGDA UMER,
piosenkarka
Może dlatego, że nieszczęśliwie zakochanych jest aż tylu, ja od pół wieku mam pracę.
„Tygodnik Powszechny”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Balon napełniony strachem

Zabiorą, panie, zabiorą. Przyjdą i wszystko zabiorą. Na straszeniu wyborców apokalipsą i powszechnym zaborem dóbr oraz kasy PiS chce zdobyć władzę na drugą kadencję. Strasznie najeżdżąc, który ograbi ludzi ze wszystkiego, może być skuteczne. Widzimy przecież, ilu jest wokół nas odważnie stojących w obronie bitych kobiet i dzieci czy poniżanych mniejszości. Widzimy, jak powszechna jest postawa, że moja chata z kraja. W niedzielę zobaczymy, ilu Polaków uwierzy, że bez PiS czeka ich katastrofa. Choć partia, która wszystkich straszy, zaczyna wyglądać jak balon z uchodzącym powietrzem. Widać, że tzw. dobra zmiana powoli flaczeje.

A gdyby tak na serio zastanowić się nad tym, jak straszne może być życie Polaków bez PiS? Jak będziemy żyć bez takiej służby zdrowia, którą PiS doprowadziło do stanu wymagającego natychmiastowej reanimacji? PiS obiecuje poprawę dopiero za 12 lat. Kto dożyje? Nigdy z ochroną zdrowia nie było w Polsce aż tak źle.

A jak będziemy żyć bez tragicznej sytuacji w oświacie? Jak sobie bez PiS poradzą nauczyciele, których potraktowano jak drugi sort? Podobnie zresztą jak rodziny osób niepełnosprawnych. Co zrobią frankowicze, których PiS za poprzednich rządów wpuściło w kanał rzekomo bezpiecznych kredytów? Pamiętają przecież, że wśród rekordzystów, którzy ich namawiali do brania kredytów we frankach szwajcarskich, jest były szef banku – premier Morawiecki. Kłamał wtedy i teraz też kłamie. Na okrągło. Jego minister Dworczyk wielokrotnie skłamał w sprawie oświadczeń majątkowych. PiS wyznaczyło na prezesa NIK człowieka z podobną amnezją. Banaś, Piebiak, Misiewicz, hejterzy z Ministerstwa Sprawiedliwości, Zieliński – były nadzorca policji, prokuratorzy, którzy boją się przesłuchać Kaczyńskiego, to symbole tej władzy. Podobnie jak Przyłębska, prezes Trybunału Konstytucyjnego, która zrobiła z tej instytucji karykaturę. I Kurski, prezes TVP. I tysiące ludzi w spółkach skarbu państwa, agencjach i instytucjach, które w ciągu czterech lat straciły na wartości materialnej, prestiżu i zaufaniu ludzi. To są te święte krowy, o których Kaczyński mówi, że ich nie ma. A gołym okiem widać, że jest ich więcej niż w ogromnych Indiach. Czytelnicy piszą, że jeżdżąc po kraju, co i rusz widzą plakaty ludzi, których miejsce jest nie w Sejmie, ale w celi. Kandydaci z zarzutami prokuratorskimi to widok szczególnie smutny. Są tacy na listach PiS. Ale też wśród kandydatów popieranym przez PO.

Na szczęście czytelników PRZEGLĄDU nie trzeba przekonywać, by głosowali. Dobrze też wiedzą, kogo poprzeć.

BAKOWSKI

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

CZYTAJ E-BOOKI!
wszystkie tytuły
19,90 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Wybory 2019. Jak skruszyć mur?**
Rozmowa z dr. hab. Wawrzyńcem Konarskim
- 12 Z targowiska i ulicy**
Obrazki z kampanii: Cezary Olejniczak, Małgorzata Sekuła-Szmajdzińska, Krzysztof Gawkowski
- 15 Spod szpitala i katedry**
Obrazki z kampanii: Joanna Wicha, Hanna Gill-Piątek, Bożena Przyłuska
- 18 Orion niczym słońce Jamajki**
Mariusz Orion Jędrysek może wrócić
- 22 Rząd zapomniał o alimentach**
Coraz więcej dzieci wypada z funduszu
- 26 Bohater czeka na łaskę prezesa**
Strażak uwięziony we własnym domu

ZAGRANICA

- 28 BoJo i insygnia korupcji**
Rząd premiera Johnsona utajnia raporty o skutkach brexitu
- 30 Druga szansa Kurza**
Korespondencja z Austrii
- 32 Aktywiści nowych czasów**
Rewolucja zaczyna się w internecie
- 34 Turyści błogosławieństwem i przekleństwem**
Włosi bronią swoich miast

HISTORIA

- 36 Za klęskę wrześniową przed trybunał**
Szkic gen. Stefana Grota-Roweckiego

KOŚCIÓŁ

- 40 Antykonceptyjna obsesja Kościoła**
O seksie w konfesjonale i na soborze

NAUKA

- 44 Eksperymenty na granicy bioetyki**
Rozmowa z prof. Pawłem Łukowem
- 58 Jak ratować lodowce Antarktydy?**
Rozmowa z prof. Stanisławem Rakusą-Suszczewskim

ZDROWIE

- 48 Siedzenie to to samo co palenie papierosów**
Niebezpieczeństwa braku ruchu
- 56 Śmie(r)ć na talerzu**
Nie tylko fast food jest niezdrowy

KULTURA

- 52 Culturalia**
- 66 Copacabana Palace**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Balon napęczniony strachem
- 25 Jan Widacki**
Coś na pocieszenie
- 39 Roman Kurkiewicz**
Wybory: święto, pogrzeb, gra?
- 47 Tomasz Jastrun**
Historia nas sprawdza
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Nie mogę ci tego powiedzieć
- 55 Edward Mikołajczyk**
Profilaktyka wyborcza

32

ZAGRANICA



AKTYWIŚCI NOWYCH CZASÓW

Rewolucja zaczyna się w internecie



56

ZDROWIE

ŚMIE(R)Ć NA TALERZU

Nie tylko fast food jest niezdrowy



66

GALERIA

COPACABANA PALACE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS



Prof. Grzegorz W. Kołodko:

Potrzebny jest globalny budżet ekologiczny

Polskie opiekunki niemieckich seniorów

dr Tomasz Witkowski:

Skąd się bierze nierzetelność w nauce

Socjaliści na celowniku NKWD



Jeden Kościół, jedna partia, jedna kasa

Kościół to świetne miejsce do ogłaszania lub sugerowania na kogo należy głosować. Trzeba będzie za ten marketing zapłacić lub w inny sposób się zrewanżować. Przykładów nie trzeba daleko szukać.

Zygmunt Białka



W mojej parafii na ogrodzeniu plebanii wisi dziewięć banerów wyborczych PiS. Wierni już wiedzą, na kogo głosować.

Dorota Krzemińska

W latach 30. Hiszpania była w nieco podobnej sytuacji jak dziś Polska, tyle że u nas nie ma wojny domowej. Kościół katolicki postawił tam na gen. Franco, który nawet zwyciężył. I co z tego? To był jego koniec. Chciałbym, żeby PiS dokończyło te swoje reformy, bo za kilka lat i Kościół, i PiS mieliby swoje rezerwy.

Piotr Wiśniewski

A ja uważam, że nie tylko Kościół winien angażować się w kampanię, ale proboszczowie powinni startować z list PiS. To tylko przyspieszy to i tak prawdopodobnie najszybszą na świecie laicyzację Polski.

Wojciech Kojder



Dobrobyt dla swoich

Red. Jerzy Domański w komentarzu (PRZEGŁĄD nr 40) pisze: „Brak elementarnej wiedzy, i to przy obowiązku edukacyjnym do 18. roku życia, powinien być powodem do wstydu. (...) Nieuctwo traktowane jest jak jakaś nowa cnota”. Niedawno minęła 30. rocznica tragicznej śmierci Zdzisława Kamińskiego i Andrzeja Kurka, twórców słynnego programu popularno-naukowego „Sonda”. W czasach, kiedy dotarcie do ciekawych informacji naukowych czy nowinek technicznych ze świata było nieporównanie trudniejsze niż dziś, ci panowie realizowali program na światowym poziomie. Ten program zainspirował całe pokolenie przyszłych naukowców, nauczycieli, inżynierów, lekarzy – w tym i mnie. To jest obecnie pokolenie 50+, a naszych następców jest coraz mniej. Natomiast ci, którzy są, masowo wyjeżdżają z kraju, który nie ma im nic do zaoferowania poza pracą akwizytora dla zagranicznych korporacji albo nadzorcy tanich robotników w zagranicznych montowniach.

Proponuję, żeby przemysleli to wyborcy PiS, którzy widzą krótkofalowe osiągnięcia tej partii, ale najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że w dalszej perspektywie prowadzi ona Polskę na zatracenie. Pogadamy za 10 lat i zobaczymy, kto miał rację.

Radostaw



ZDJĘCIE TYGODNIA

W Warszawie przy ul. Świętokrzyskiej w wyniku pożaru sklepu spłonęła doszczętnie także redakcja „Press”. Na szczęście nikt nie ucierpiał. Środowisko dziennikarskie od razu ruszyło z pomocą. Na Facebooku została uruchomiona zbiórka na pomoc w remoncie.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Jaki Pani/Pan przewiduje wynik wyborów i dlaczego?

DR KRYSZYNA ŁYBACKA,
polityczka SLD, matematyczka

Zaznaczam, że jestem z wykształcenia probabilistą, czyli osobą zajmującą się teorią prawdopodobieństwa. Natomiast w polskiej rzeczywistości jest tak dużo tzw. warunków brzegowych, że nawet probabilista może się mylić. Mówię to z ogromnym żalem, ale zwycięstwo PiS wydaje się nieuniknione. Nie sądzę jednak, by dało tej partii większość konstytucyjną. Oczywiście do Sejmu dostanie się także Koalicja Obywatelska, a wierzę, że także lewica i blok stworzony przez PSL. Przypuszczam, że pierwsza ze wspomnianych list otrzyma ok. 30% głosów, lewica między 13 a 15%, Koalicja Polska – między 5 a 8%.

ŁUKASZ KOMUDA,
Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

Kampanie wyborcze w Polsce to pojedynek rewolwerowców, którzy strzelają nie do siebie, ale we własne stopy. W ostatnich latach PO przegrywała raczej z własną arogancją niż z PiS. Ale partia rządząca szybko nadrabia zaległości w tej dziedzinie.

Spodziewam się 40% poparcia dla PiS, 26% dla KO, 14% dla Lewicy, 6% dla PSL-Kukiz. Skuteczność, z jaką Janusz Korwin-Mikke topi własne inicjatywy polityczne, skłania mnie do obstawiania porażki Konfederacji w starciu z progiem wyborczym.

RAFAŁ GÓRSKI,
Instytut Spraw Obywatelskich

KW PiS – 49%, Koalicja Obywatelska – 27%, KW Sojusz Lewicy Demokratycznej – 9%, KW PSL – 7%. Reszta pod kreską. PiS pokazało przez cztery lata, że jest nie tylko po stronie korporacji, jest też po stronie ludu. I lud to doceni. PO pokazała, że nie ogarnia rzeczywistości. SLD ma punkty za łączenie. Pytanie, czy to jest lewica, czy „lewica”? PSL będzie koniem trojańskim. Pytanie, czy ci, co wyjdą z jego wnętrza, będą w stanie powalczyć o polską rację stanu, czy tylko o rację prywatną? Senat opozycja przegra, bo jej liderzy mają za duże poczucie własnej ważności, a za małe poczucie własnej wartości. Ciekawe, ilu wyborców dopisze na karcie do głosowania: „Żaden z powyższych”.

Czytelnicy PRZEGŁĄDU
KONRAD BORYCZKO

PiS – 40%, PO i Lewica też w sumie 40. W obu przypadkach +/- 2%. Wszystko zależy od tego, czy wejdzie PSL. Jeśli tak, to może jakimś cudem powstanie rząd bez PiS. Który po miesiącu stanie się mniejszościowy, bo Lewica pokłóci się sama ze sobą i ze „styropianami” również. Tak czy siak ciekawie będzie.

MIECZYŚLAW GRZYBOWSKI

PiS – 36%, KO – 27%, Lewica – 19%, KP – 9%, Konfederacja – 4%, inne – 5%.

JAN KOCHANOWSKI

PiS 55% – specjalnie tak piszę, bo zawsze myślę się w przewidywaniach.

WOJCIECH KOJDER

PiS będzie miało samodzielną większość, druga będzie PO, trzeci SLD, a PSL, Kukiz i Konfederacja za burtą.

PAWEŁ MAĆKOWSKI

PiS – 35%, PO – 24%, Lewica – 13%.

GRZEGORZ PANUFNIK

Wybory, rzecz jasna, wygrają ci sami, co od trzech dekad, obecnie dostępni na rynku pod markami KO, PiS oraz SLD.



Not. Michał Sobczyk

Rozmawia Robert Walenciak

Wybory 2019. Jak skruszyć mur?

Największe spory toczą się wewnątrz dawnego obozu solidarnościowego. Te podziały się uaktywniły i utrwaliły

Czy sondaże wyborcze, które wciąż się pojawiają, uczciwie pokazują nasze preferencje? Czy niezdecydowani, a jest ich kilkanaście procent, mogą wpłynąć na wynik wyborów?

– Mogą. Tylko że opozycja prowadzi walkę o tę grupę w sposób szalenie sztampowy i nieskuteczny. Bo oto pojawiają się sytuacje o charakterze aferalnym, jak ta z prezesem Banaśiem, a wcześniej dotyczyło to dwóch wież, których budowę negocjował prezes Kaczyński z panem Birgfellnerem. Mieliśmy też aferę z nieruchomościami premiera Morawieckiego czy z lotami marszałka Kuchcińskiego. I to wszystko nie odniosło oczekiwanego przez opozycję skutku. Opozycja te sprawy mocno nagłaśniała, a sondaże dla rządzących w dalszym ciągu były bardzo wysokie. Pokazał to również wynik wyborów do Parlamentu Europejskiego. Dlatego taktyka odnoszenia się bardzo entuzjastycznie do różnych enuncjacji, które mają pograć ekipę rządzącą, w praktyce się nie sprawdza.

Dlaczego?

– Dlatego, że wyborcy prawicy są społecznością plemienną i z założenia nie reagują na niekorzystne dla PiS fakty. Są za PiS i na tym kończy się rozmowa. Nie interesują ich afery, chyba że dotyczą PO.

A wyborcy niezdecydowani?

Wyborcy prawicy są społecznością plemienną i z założenia nie reagują na niekorzystne dla PiS fakty. Nie interesują ich afery, chyba że dotyczą PO.

– Oni są bardzo mocno zatomi-zowani i dość chwiejni. Dziś najważniejszą kwestią jest to, w jaki sposób wyrwać z marazmu tę grupę, o wiele liczniejszą, która zwykle w Polsce w ogóle nie bierze udziału w wyborach. Ostrożnie licząc, 35-40% osób dorosłych w Polsce w ogóle nie widzi sensu głosowania na jakąkolwiek partię. To jest olbrzymia grupa do politycznego zagospodarowania.

Mamy pęknięcie...

Jest jeszcze Kościół, który pokochał politykę.

– Kościół to instytucja hierarchiczna czy też feudalna, a równocześnie to ogół osób zwanych Ludem Bożym. Ekspozowani przez media publiczne, czyli tzw. narodowe, są głównie ci hierarchowie, którzy bardzo mocno wspierają linię obozu Zjednoczonej Prawicy. Natomiast Kościół jest wewnątrznie podzielony, choć na poziomie hierarchii jest to ukrywane. W rzeczywistości także i tam trwa dyskusja. Kościół rozumiany instytucjonalnie w celu ukrycia wewnętrznych pęknięć szuka przeciwnika, którym mógłby się posłużyć, żeby podtrzymać swoją zwartość. Ta sytuacja jest widoczna jak na dłoni.

A wewnątrz Kościoła, wśród wierzących?

– Tu pęknięcie jest oczywiste i trudno to ukryć. Mamy tu z jednej strony ludzi, który żyją w dużych miastach, deklarują katolicyzm, ale jednocześnie

są szczerymi demokratami i nie bardzo zgadzają się z formułą, która sprowadzałaby się do narzucania im poglądów. Z drugiej – kontrola Kościoła jest silna na obszarze Polski prowincjonalnej. Mamy więc pęknięcie, które jest niebezpieczne dla społeczeństwa. Animoszje, które są efektem uprawianego przez polityków, ale i przez hierarchów, teatru politycznego, stały się czymś, z czym zaczęliśmy się utożsamiać. Z punktu widzenia komfortu społecznego nie ma to sensu, gdyż ten teatr nie powinien antagonizować społeczeństwa na tak dużą skalę, stwarzając zagrożenie.

Ale ten teatr istnieje i ma się dobrze. Kaczyński wciąż opowiada, że walczy z postkomuną.

– Próba dzielenia Polaków na zasadzie używania zbitek słów postkomuną i postsolidarność kompletnie się nie udało. Największe spory toczą się dzisiaj wewnątrz dawnego obozu solidarnościowego. Te podziały się uaktywniły i niestety utrwaliły. Natomiast pewne pozostałości tego, co nazywaliśmy kiedyś postkomuną, bardzo dobrze dogadują się z tą grupą dawnej opozycji, która reprezentuje racjonalne podejście do uprawiania polityki.

Czyli z częścią PO...

– Ale też całkiem dobrze dogadują się z ludźmi z pokolenia milenialsów, którzy stworzyli Partię Razem. Na zasadzie „bliźsza koszula ciału” też jakiś sojusz udało się stworzyć. A przecież niewiele wspólnego mają ze sobą ludzie, którzy uważają się za bardzo lewicowych pod względem światopoglądowym czy obyczajowym, z tymi, którzy mają taką biografię jak Czarzasty i jego, a więc i moje, pokolenie. Czyli z tymi, którzy pamiętają czasy PRL i przyznają się do pewnych uwikłań. Ta sytuacja pokazuje, że cała dyskusja o postkomunie i postsolidarności jest dyskusją bez sensu. Tylko że prezes Kaczyński robi to w sposób absolutnie świadomy, ponieważ zna regułę *divide et impera* i wie świetnie, że takie celowe napuszczanie na siebie ludzi może być skuteczną bronią polityczną.

Niekwestionowany wódz

Na czym polega fenomen Kaczyńskiego? Na umiejętności manipulowania ludźmi? Napuszczania jednych na drugich?

– Jego fenomen polega na tym, że stał się niekwestionowanym wodzem



DR HAB. WAWRZYNIEC KONARSKI

– profesor i rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula w Warszawie

swojej partii czy wręcz guru swoich wyznawców. Zarazem zajął pozycję regulatora polskiego życia politycznego, nie piastując żadnej istotnej funkcji. To jest wizerunkowy majstersztyk. Tylko że ten majstersztyk, mam wrażenie, może się sprowadzić do reguły, że im gorzej, tym lepiej. W tym sensie, że im ostrzej będzie się mówić o rzekomych zagrożeniach dla zdrowego pnia polskiego społeczeństwa, którego wyrazem ma być PiS, tym mocniej trzeba akcentować, że jest w Polsce wiele osób, które – jak określają to rządzący – są przeciwnikami takich wartości jak suwerenność, wolność wyboru, wolność religijna itd. Takie i podobne słowa używane są przez prezesa i jego akolitów właśnie po to, żeby podgrzewać atmosferę zagrożenia.

Wszystko więc służy utrzymaniu władzy.

– Kaczyński jako polityk, w sensie działania jest genialny, ponieważ

udało mu się stworzyć partię autentycznie wodzowską, otoczoną milionami wyznawców. Ich bardziej interesują ci, którzy z rekomendacji prezesa uprawiają politykę, niż sprawy programowe *sensu stricto*. Uważnie śledzą głównie te, które w sposób bezpośredni dotyczą sfery socjalnej. Kształtowanie tej sfery

35-40% osób dorosłych w Polsce w ogóle nie widzi sensu głosowania na jakąkolwiek partię.

jako instrumentu pozyskiwania wyborców PiS doprowadziło do perfekcji. Różne pomysły na finansowe rozdawnictwo są w istocie niczym innym jak formą swoistego przekupywania dużych grup społecznych. Tego typu działania świadczą o nieodpowiedzialności rządzącej grupy politycznej. Możemy za to zapłacić jako społeczeństwo w dalszej perspektywie.

Kogo słuchają wyznawcy...

PiS dwukrotnie spadało w sondażach. Po raz pierwszy, kiedy wybuchła afera z premiami dla członków rządu. Drugi – kiedy było 27:1, a PiS pokazało się jako partia antyeuropejska, małostkowa i nieskuteczna. Dlaczego opozycja o tym nie pamięta?

– Opozycja nie przerobiła lekcji z porażki wyborczej w roku 2015. Bardzo często mówiłem, oceniając poprzednią kampanię, że jest ona źle prowadzona, że premier Ewa Kopacz nie miała umiejętności mobilizowania wyborców Platformy, że otrzymała zadanie ponad siły, jeśli chodzi o przywództwo partyjne i szefowanie rządowi. Proszę zauważyć, że po przegranych wyborach w roku 2015 Platforma od razu zaczęła krytykować różne działania nowego rządu, natomiast nie przeprowadziła głębokiej analizy przyczyn swojej porażki. Nie pojawiło się przesłanie do społeczeństwa w postaci stwierdzenia: tak, popełniliśmy pewne błędy, zdajemy sobie z tego sprawę, wiemy, kto je zrobił, i wiemy, jakie wyciągnąć wnioski. Po czym nastąpiłoby kompleksowe przejście do całościowego sformułowania celów strategicznych opozycji jako takiej.

Niczego takiego nie było...

– Jeśli nie można sformułować wizji państwa, celów strategicznych, planu, jak je osiągnąć, to jest się skazanym na działania reaktywne. Na szukanie dziur w programie konkurencji. Tymczasem PiS za pomocą działań propagandowych w przejętych mediach publicznych cały czas podkreślało, że realizuje wszystkie przedwyborcze obietnice. Opozycja pokazywała swoją bezradność, a kry-

tyka z jej strony była nieskuteczna także dlatego, że nie umiała znaleźć sposobu na podważenie podziałów plemiennych w polskim społeczeństwie. Jej argumenty nie wzbudzały krytycznej refleksji wśród sympatyków PiS. Prezes Kaczyński to wszystko jeszcze podbił rozwiązaniami programu 500+. I uderzaniem w rzeczywistość źle funkcjonujący system sprawiedliwości w Polsce, co nie

o PSL. Może to być początkiem nowego otwarcia.

W jakim kierunku?

– Jeżeli się okaże, że aktywa PO są zużyte, a próby porozumienia na lewicy też nie dają spodziewanych efektów, wówczas trzeba będzie szukać innej formuły. Newralgiczną sprawą stałaby się też przyszłość PSL, jeśli ta partia nie dostałaby się do parlamentu. To wszystko może mieć fundamentalne znaczenie dla ewentualnych zmian w polskim systemie partyjnym.

W jakiej formie jest Kaczyński?

Wszystko jest możliwe?

– Po stronie opozycji widać ewidentnie płynność. Po stronie prawicy mamy różne przesłanki pokazujące, że jest to blok zwarty i gotowy. Ale ten blok trzymany jest w istocie przez jednego człowieka.

Siedemdziesięciolatka...

– Który wprowadzie nauczył się wyciągać wnioski ze swoich wcześniejszych błędów, ale – mam

wrażenie – ma coraz mniejszy dystans do samego siebie. I trudno powiedzieć, czy w sytuacji, kiedy jego dynamika przywódcza uległaby osłabieniu, nie byłby to początek ruchów odśrodkowych, które mogłyby potem przybrać charakter szybko płynącego strumienia. W ten sposób ta płynna rzeczywistość polityczna,

Wyborców lewicowych nie brakuje, ale ulegli oni dezorientacji w wyniku działań kolejnych przywódców SLD.

która stała się cechą opozycji, dotknęłaby również formalnie zjednoczony obóz prawicy.

A jeśli PiS wygra?

– Nawet jeśli PiS te wybory wygra w stopniu przekonującym, wcale nie znaczy, że upojone sukcesem będzie mogło kontynuować wszystkie pomysły, za które było krytykowane. Pamiętajmy, że w ramach obozu Zjednoczonej Prawicy mamy nie tylko dwie małe partie w charakterze przystawek, ale również frakcje wewnętrzne oraz aspirantów do

potencjalnego objęcia schedy po Jarosławie Kaczyńskim. Owszem, dzisiaj bardzo mocno podkreśla się dobrą formę jego kondycji intelektualnej i fizycznej, wyborcy są uspokajani, że jest on w pełni sił, ale to wszystko jest eksponowane na potrzeby kampanii wyborczej. A jaki jest stan rzeczywisty, dowiemy się po jakimś czasie. I gdyby się okazało, że jednak z tym zdrowiem prezesa i jego wewnętrzną dynamiką nie jest tak dobrze, mogłyby się nasilić tendencje odśrodkowe w PiS, czy szerzej – całym obozie Zjednoczonej Prawicy – rywalizacja głównych frakcji i głównych aspirujących do przywództwa. To są wszystko spekulacje, nie możemy ich teraz zweryfikować, ale powinniśmy o nich mówić. To nasze absolutne prawo jako obywateli Polski.

Robert Walenciak

LEWICA

Szanowni Państwo!

Liczę na Wasze poparcie i głosy w nadchodzących wyborach do Sejmu.

Mam nadzieję, że uznacie, iż będę skutecznie reprezentował Wasze interesy i walczył o ważne dla Was sprawy:

- Państwo chroniące obywatela, a nie naruszające jego prawa – skuteczny, apolityczny nadzór nad działaniami służb.
- Ochrona ofiar przemocy – mają być otaczane opieką, a nie narażane na dodatkową traumę.
- Godna płaca w sferze publicznej – gwarancja dobrej pracy urzędników dla obywateli.
- Prawo nadążające za rozwojem cyfrowych technologii – Internet jako przestrzeń wolności i bezpieczeństwa, a nie miejsce, w którym łatwo i bezkarnie można popełnić przestępstwo.
- Przywrócenie bezprawnie odebranych ustawą represyjną emerytur – prawa nabyte to prawa nienaruszalne.

Najważniejsze, żebyśmy 13 października poszli na wybory i wybrali lepszą Polskę. Wszyscy na to zasługujemy.

Pozdrawiam,
Krzysztof Liedel

#LiedeldoSejmu krzysztof.liedel @KrzysztofLiedel

KRZYSZTOF LIEDEL

numer 5 z listy nr 3

MATERIAŁ SPINANSOWANY PRZEZ KW SOJUSZ LEWICY DEMOKRATYCZNEJ

Z targowiska i ulicy

Z lewicą jest jak z Mickiewiczowską Litwą. Dziś wyborcy ją cenią i za nią tęsknią, bo zobaczyli, czym jest jej brak w Sejmie i Senacie

Robert Walenciak

To jest inna kampania niż cztery lata temu. Wyborcy nie wstydzą się lewicy, chętnie rozmawiają z jej kandydatami, cieszą się, że jest jedność. Tak mówią kandydaci Lewicy, z którymi rozmawialiśmy. To są dobrzy kandydaci, znamy ich od lat, politykę traktują poważnie, co – niestety – jest w Polsce dość rzadką cechą. Kampanię prowadzą jak klasyczni lewicowcy – spotykają się z wyborcami, rozmawiają, nie mają pieniędzy na banery... Ale są zadowoleni, że jest dobra atmosfera.

Pytanie tylko – jak ta dobra atmosfera przełoży się na wynik wyborczy.

CEZARY OLEJNICZAK (okręg wyborczy nr 11, lista nr 3 KW SLD, poz. 2): *To jest dobra kampania. Lepsza niż cztery lata temu.*

Gdy umawiam się z Cezarym Olejniczakiem na rozmowę, on najpierw zagląda do notesu. – Jutro nie za bardzo – mówi. – Jadę do Pajęczna. Na targ. Wstaję o piątej, chcę tam być o siódmej-ósmej, to najlepsza pora na rozmowy z ludźmi.

Olejniczak startuje w okręgu nr 11, obejmującym powiaty, których tereny przed reformą administracyjną należały do różnych województw: sieradzkiego, łódzkiego, skierniewickiego, częstochowskiego, płockiego, kaliskiego. Jest więc gdzie jeździć.

O kampanii opowiada chętnie. – W okręgu nie jestem osobą anonimową. Jestem stąd – podkreśla. – Działam w straży pożarnej, prowadzimy gminną szkołę. Poza tym ludzie znają mnie z pracy w Sejmie poprzedniej kadencji, gdy byłem w komisji rolnictwa.

Może więc porównywać, jak było cztery lata temu czy osiem lat temu. – To jest dobra kampania – mówi.

– Lepsza niż cztery lata temu. Ludzie zdecydowanie chętniej rozmawiają, oczekują, że lewica znajdzie się w Sejmie. Są zadowoleni, że idziemy razem, zjednoczeni. Oczywiście, są też tacy, co nie chcą rozmawiać, mówią, że już podjęli decyzję, że zagłosują na PiS. Nie dziwi mnie to. To okręg z mocnymi wpływami tej partii. Wystarczy przejechać się po wsiach, banery pisowskich kandydatów wiszą na co drugim płocie. Oni się wzajemnie zalepiają.

A o co ludzie podczas rozmów pytają?

– To jest okręg rolniczy, więc rolnicy pytają mnie o dopłaty – mówi. – One nie wyglądają tak, jak to pokazują w TVP Info. Są też pytania o służbę zdrowia, o oświatę, no i o drożyznę.

Olejniczak jest bardzo zadowolony z wizyty Aleksandra Kwaśniewskiego, który wpadł wspomagać jego kampanię. – W Łowiczu, na starym

Kościołowi, chcą, żeby w szkole nie było religii. Buntują się przeciwko indoktrynacji historycznej. Są coraz bardziej wrażliwi na sprawy środowiska. Gdy był strajk klimatyczny, młodzi demonstrowali pod dawnym urzędem wojewódzkim w Sieradzu. Rozmawiałem z nimi wiele razy, jak wyobrażają sobie przyszłość. Chcą mieszkać w Polsce, tu zarabiać i mieć czyste powietrze.

MAŁGORZATA SEKUŁA-SZMAJDZIŃSKA (okręg wyborczy nr 1, lista nr 3 KW SLD, poz. 1): *Mówią mi, że trzeba wyrzucić PiS.*

Wizytę Aleksandra Kwaśniewskiego w swoim okręgu bardzo dobrze wspomina też Małgorzata Szmajdzińska. – Mieliśmy w Głogowie uroczystość w domu kultury. Wręczaliśmy stypendia Fundacji im. Jerzego Szmajdzińskiego. Byli prezes fundacji Andrzej Dobrowolski i Aleksander Kwaśniewski, przewodniczący jej rady. On zawsze przyjeżdża na wręczenie stypendiów. No i były osoby najważniejsze – uczniowie, którym wręczaliśmy stypendia. Byli z rodzicami, nauczycielami. Piękna uroczystość. Fundacja działa od roku 2011, w tym czasie ufundowaliśmy już 280 stypendiów. My nie wybieramy stypendystów, robią to rady pedagogiczne szkół, my tylko przekazujemy pieniądze. Tak jest lepiej.

Szmajdzińska startuje w okręgu numer 1, obejmującym 12 powiatów, dwa dawne województwa – jeleniogórskie i legnickie. Powiaty bardzo bogate, miedziowe, i te mniej zasobne. Bez dwóch zdań jest liderką listy. W wyborach do Parlamentu Europejskiego, w okręgu większym, bo obejmującym Dolny Śląsk i Śląsk Opolski, zabrakło jej kilkuset głosów.

A jak ocenia kampanię?

– Najbardziej lubię bezpośrednie kontakty. Dlatego dużo chodzę – targ, ulica. Owszem, czasami coś usłyszę, że komuna, że tylko PiS.



rynku mieliśmy spotkanie z organizacjami pozarządowymi. Potem przeszliśmy na nowy rynek, na spotkanie z młodzieżą. Gdy szliśmy, prezydent mnie pytał: – Ilu tych młodych będzie. A ja mówiłem: – Nie wiem, zobaczymy. Bo nie wiedziałem. Były tłumy. I znakomite spotkanie.

To jest nowość w porównaniu z poprzednimi kampaniami – pojawili się młodzi ludzie. Jako wolontariusze, jako sympatycy. Olejniczak to podkreśla. – Młodzież jest za lewicą. Młodzi buntują się przeciwko



Z zasady odpowiadam miło. Dla ludzi mam dobre słowo i torebki z maciejką – opowiada. – Dlaczego tak? Bo ulotkę człowiek weźmie i wyrzuci. A maciejka...”

O czym wyborcy podczas takich spotkań mówią? – Żeby wyrzucić PiS, odsunąć ich od władzy. Drugim tematem jest służba zdrowia. No i gratulują nam, że w końcu lewica idzie razem.

– Są w naszej koalicji trzy partie – opowiada. – Na liście 24 osoby. Nie znam wszystkich. Ale współpraca odbywa się bez zakłóceń. I cieszę się bardzo, że jest porozumienie między ludźmi lewicy, tymi, co mają lat 30, 50 i 70 lat. Ci młodzi wnoszą świeżość, entuzjazm, my – doświadczenie życiowe i polityczne. To bardzo podoba się naszym wyborcom. Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by krytykował, że idziemy razem. Przeciwnie! Mówią mi: „To bardzo dobrze, że lewica się zjednoczyła! I że jest taka różna!”.

KRZYSZTOF GAWKOWSKI
(okręg wyborczy nr 4, lista nr 3
KW SLD, poz. 1): Trzy bloki, trzy
środowiska.

Najwięcej młodych ludzi można zauważyć w otoczeniu Krzysztofa Gawkowskiego.

Były sekretarz generalny SLD i wiceprzewodniczący, dziś jeden z liderów Wiosny, startuje w okręgu obejmującym Bydgoszcz i osiem okolicznych powiatów: bydgoski, inowrocławski, mogileński, nakielski, sępoleński, świecki, tucholski i żniński. Ponad milion mieszkańców. – Dziennie odbywam zazwyczaj od kilku do kilkunastu spotkań – zapewnia. – Staram się każdego dnia odwiedzić co najmniej dwa powiaty.

Jak daję radę? – Pomagają mi wolontariusze – mówi. – Pomagali zbierać podpisy, pomagają w kampanii. Sami się zgłosili, ciężko pracują, od godz. 6 do 22, i dobre humory ich nie opuszczają.

Gawkowski również podkreśla dobry klimat kampanii. – Dzisiaj lewica nie budzi złych emocji – mówi. – Emocje są dobre. Ludzie sami nas zaczepiają, proszą o materiały, mówią, że zaniósł znajomym. Są w różnym wieku. I seniorzy, i bardzo młodzi, dla których będą to pierwsze wybory. Parę dni temu miałem właśnie tego typu spotkanie. Podszedł do mnie starszy pan i mówi: „To wreszcie mam na kogo zagłosować!”. Potem opowiadał, że długie lata czekał, aż skończymy się spierać w rodzinie, bo wtedy pójdzie na wybory. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby za chwilę nie pojawiła się obok niego młoda dziewczyna. Jego wnuczka! I powiedziała, że przyszła z dziadkiem na pierwsze spotkanie polityczne w swoim życiu. Skończyła we wrześniu 18 lat i pójdzie na wybory zagłosować na lewicę. Ta więc pokoleniowa to właśnie to, co łączy obecny blok polityczny. Trzy pokolenia lewicy, trzech różnych liderów

i trzy różne środowiska. Łączy nas program i przyszłość.

To zresztą wychodzi podczas rozmów na targowisku czy na ulicy. Seniorzy pytają o służbę zdrowia, o leki, o kolejki do specjalistów. Młodzi... – Na jedno ze spotkań w Tucholi przyszła grupa 20 licealistów z transparentem: „Stop degradacji klimatu” i zapytała wszystkich obecnych na sali, kto podpisze ich zestaw postulatów – opowiada Gawkowski. – Tak się złożyło, że jedynym, który podpisał wszystkie, byłem ja.

Te spotkania, chyba już bardziej kilkaset niż kilkadziesiąt, wyczuliły go na jedno – stara się dowiedzieć, skąd ludzie czerpią wiedzę na temat Polski i świata. I bardzo często okazuje się, że ci, którzy deklarują się jako zwolennicy PiS, słuchają i oglądają tylko pisowskie media.

– Oni często są jak zaczadzeni. Po prostu nie dochodzi do nich żadna inna wiedza – mówi Gawkowski. – Gdy opowiadam, podając konkretne przykłady, jak rządy PiS manipulują opinią społeczną, wtedy na sali zapada cisza. Grupa hejterów w Ministerstwie Sprawiedliwości? Nie słyszeli. Marszałek Kuchciński i jego loty rządowym samolotem? Coś, gdzieś... Prezes NIK Marian Banaś i jego kamienica? Cisza. Ale gdy to mówię, widzę, że ludzie słuchają. Że później to sprawdzą. Że zaczynają mieć wątpliwości.

Zupełnie inaczej funkcjonują młodzi. – Podczas młodzieżowego strajku klimatycznego w Bydgoszczy szedłem z dość dużą grupą uczniów, która rozmawiała o mediach i o informacjach, jakie można znaleźć na temat zmian klimatu – opowiada Gawkowski. – Nikt nie wspominał o telewizji, wszyscy odnosili się tylko do internetu i mediów społecznościowych. Czuję, że zachodzi olbrzymia przemiana społeczna i nowe pokolenie wywróci obecny porządek medialny.

A porządek pisowski, który uwiera wyborców lewicy?

I Gawkowski, i inni kandydaci lewicy podkreślają, że ci, którzy przychodzą na ich spotkania, jednoznacznie mówią: „Trzeba zatrzymać PiS i odbudować lewicę”. Wiadomo, to są wyborcy najwierniejsi, ▶



▶ najbardziej zdeterminowani. Ale cztery lata temu tacy nie byli.

Gdy więc mówi, po co startuje, widzi, że ludzie ze zrozumieniem kiwają głowami. A co mówi? – Chcę budować silną lewicową alternatywę dla obecnie rządzących. Blok, który będzie nie anty-PiSem, ale konkretną propozycją programową. Dobrze policzoną i możliwą do zrealizowania. Tak, żeby konserwatywnemu państwu dobrobytu, które zapowiada PiS, przeciwstawić nowoczesne państwo dobrobytu, które postuluje lewica. Oceniam sytuację realnie i sukces rozkładam na kilka części. Po pierwsze sukcesem będzie powrót lewicy do parlamentu. Drugi element to możliwość ponownego zdefiniowania sporu o Polskę. Odrzucam dotychczasowy podział na PiS i anty-PiS. Definiuję go jako nowoczesność i konserwyzm. I właśnie nowoczesność proponuje lewica.

PIOTR GADZINOWSKI (okręg wyborczy nr 19, lista nr 3 KW SLD, poz. 40, ostatnia): Bez głosu lewicy Sejm jest niemy.

Piotr Gadzinowski tradycyjnie startuje w Warszawie i tradycyjnie z ostatniego miejsca. Gdy więc go pytam o rzeczy nietradycyjne, nietypowe, to opowiada, jak dociera na spotkania – otóż porusza się metrem, tramwajami i autobusami. Unika limuzyn.



On także zauważył zmianę podczas rozmów z wyborcami. – Cztery lata temu odczuwałem niechęć i pretensje naszych wyborców – mówi. – Teraz z kolei jestem przez nich mobilizowany. Mówią, że z lewicą jest jak z Mickiewiczowską Litwą. Cenią i tęsknią, bo zobaczyli, czym jest brak lewicy w Sejmie i Senacie.

Jest jeszcze jedna zmiana. Otóż wyborcom lewicy bardzo podoba się wspólna lista. – Wielokrotnie byłem zaczepiany na ulicy przez nieznaną mi, kojarzącą mnie z lewicą osobą, które gratulowały nam połączenia. Po raz kolejny przekonałem się, że nasi wyborcy bardzo cenią jedność i nie lubią wszelkich rozłamowców – opowiada.

A o czym z nimi rozmawia? Co ludzie mówią podczas spotkań wyborczych?

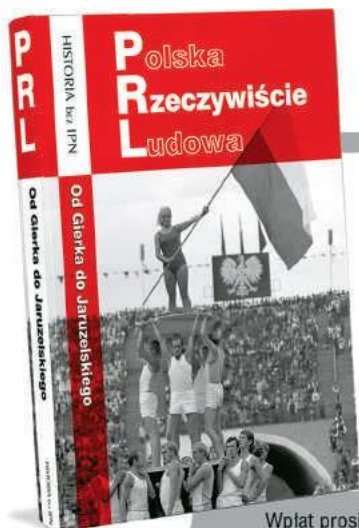
– Zwykle deklarują, że będą nas głosować. Często, że tym razem znowu na nas, na mnie zagłosują, bo widzą sens, bo i program jest OK, no i kandydaci też. A z tematów, o których najchętniej rozmawiają, wymieniałbym służbę zdrowia, problemy seniorów, awans zawodowy młodych. No i są oburzenie na programy TVP Info, na plugawienie dorobku Polskiej Ludowej, narzekają na spadek jakości oferty kulturalnej.

A kampania na ulicach Warszawy? Gadzinowski mówi, że przebiega spokojnie, nikt nikomu nie wchodzi w paradę, każdy z kandydatów zabiega o swoich wyborców. Strachu nie ma. A czasami jest wesoło. – Podszedł do mnie raz pewien mężczyzna – opowiada Gadzinowski – bardzo ciepło się przywitał, poprosił o autografy, mówił, że poluje na mnie od dawna. I wreszcie się udało! Zrobił sobie zdjęcie. Miło mi było, techtał moją próżność, więc dłużej porozmawialiśmy. W końcu on mówi: „Muszę się pożegnać, iść do domu, pochwalić się żonie, z kim rozmawiałem. Bardzo dziękuję za rozmowę, strasznie z pana fajny facet, panie Bryndal”.

Na ulicy można pomylić Gadzinowskiego z Bryndalem, ale w sieci redaktor naczelny „Dziennika Trybuna” jest niepodrabialny. I kampania, którą tam prowadzi, przynosi pozytywny odzew. Zwłaszcza satyryczne rysunki, które rysuje dla niego Tomasz Wiater.

Ale Piotr Gadzinowski to nie tylko żart. Wręcz przeciwnie – dowcip, lekki ton to tylko forma, bo pytany o politykę, odpowiada jak najbardziej serio: – Mamy wiele powodów do udziału w wyborach – mówi. – Od ogólnych i oczywistych, że każda formacja chce mieć wpływ na politykę, na rzeczywistość, chce, by państwo realizowało interesy jej wyborców i było dla nich przyjazne ideowo, do szczególnych, specyficznie polskich, czyli chcemy, by w polskim parlamencie brzmiał głos lewicy. Bez głosu lewicy polski Sejm jest niemy. Dodatkowo przyszły lewicowy klub parlamentarny będzie sprzyjał budowie nowej, silnej, formacji lewicowej w naszym kraju. Formacji politycznej i kulturowej. Chyba najwyższy na to czas!

Robert Walenciak



Państwo, którego nie da się wymazać z historii

Książka jest wyrazem niezgody na czarny obraz Polski Ludowej, w której propagandyści prawicy widzą jedynie zło.

To historia bez przekłamań, ale też bez sentymentalnej idealizacji.

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Spod szpitala i katedry

Być może lewica nie stworzyła w ostatnich latach nowych liderów, ale na pewno może pochwalić się społecznikami i aktywistkami na listach

Jakub Dymek

Od kilkunastu lat przy okazji każdych kolejnych wyborów dowiadujemy się, że do polityki idzie tym razem rekordowa liczba aktywistów i działaczy, społeczników i zwykłych ludzi. Słowem – nareszcie zmiana! Starą klasę polityczną zastąpi nowa, a społeczeństwo obywatelskie wreszcie pokaże, na co je stać. Do Sejmu trafią ludzie zaangażowani i nieskorumpowani – słyszymy.

Czasem wiara w lepszą jakość, świeżość i polot nowych kadr okazuje się naiwna. Sezonowe partie i postacie nawiedzają politykę w III RP od jej zarania, zazwyczaj zostawiając po sobie niewiele więcej niż rozczarowanie. Czasem jednak społecznicy, którzy uczą się twardej politycznej realii i decydują na wejście do sejmowej gry, naprawdę zmieniają ją na lepsze. Ich brak doświadczenia oznacza też brak rutyny, a idealizm i ambicje pozwalają zderzyć się z murem i nie popaść w cynizm. Gwarancji powodzenia nie daje jednak nikt. Na każdą „nową nadzieję” przypada jeden niewypał. I odwrotnie, czasem za każdym spadochroniarzem na wyborczych listach kryje się prawdziwy, nawet jeśli nieoszlifowany, diament.

Jak będzie tym razem? PRZEGŁĄD postanowił porozmawiać z trzema kandydatkami, których oddolne kampanie zwróciły naszą uwagę.

JOANNA WICHA (okręg wyborczy nr 19, lista nr 3 KW SLD, poz. 13): *Nie rozumiem, dlaczego PiS wybrało drogę konfliktu z nauczycielami i pielęgniarkami.*

– Jak bardzo jest pani zmęczona w skali od 1 do 10? – pytam Joannę Wichę z Razem. Odpowiada, że na 9, co wydaje mi się rezultatem przynajmniej przyzwoitym, biorąc pod uwagę, że Wicha prowadzi swoją kampanię po godzinach pracy w szpitalu.

Od 1986 r. jest pielęgniarką, pracuje w Warszawie.

– Do naszego szpitala przychodzi młode pielęgniarki na praktyki. I niech pan zgadnie, ile z nich chce po studiach wyjechać z Polski. Trzy z pięciu, z którymi ostatnio rozmawiałam. Na dyżurach nie ma wystarczającej obsady, zapewniającej bezpieczeństwo pacjentów. Jest nas po prostu za mało. A gdyby rygorystycznie przestrzegać norm zatrudnienia, należałoby zamknąć chyba wszystkie szpitale w Polsce, bo prawie w żadnym nie ma wystarczającej liczby personelu – tłumaczy.



Joanna Wicha jest współautorką „Paktu dla zdrowia”, który Lewica prezentowała w Warszawie pod zamkniętym szpitalem przy ul. Litewskiej, parę kroków od Kancelarii Premiera. – Dla mnie jest to miejsce szczególne, ponieważ przez 20 lat pracowałam tu jako pielęgniarka. Tym bardziej mi smutno, kiedy przechodzę obok tego szpitala i widzę, że jest pusty. Ta pustka jest dla mnie symbolem tego, co się dzieje w polskiej ochronie zdrowia – zaniedbań poprzedniego i obecnego rządu wobec choroby, która ją drąży – mówiła

Wicha na konferencji. Pakt zawiera 10 propozycji, spośród których na pierwszym miejscu jest zwiększenie wydatków publicznych na służbę zdrowia. Lewica proponuje 7,2% PKB rocznie. Zdrowie jest najważniejszym chyba tematem kampanii Lewicy, który z wielkim mozołem – i przeciętnym skutkiem, powiedzmy szczerze – próbuje postawić w centrum ogólnopolskiej debaty.

Pielęgniarki zarabiają dziś – mimo podwyżek, które weszły w życie tej kadencji – żenująco mało. W Warszawie może być to nieco ponad 2 tys. zł miesięcznie na umowie o pracę dla młodej pielęgniarki, dla pielęgniarki dyplomowanej z wieloletnim stażem – trochę ponad 3 tys. zł. Wicha tłumaczy, że polskiej służbie zdrowia potrzebne są po prostu większe pieniądze, a pensje (w tym jej samej) to tylko jeden mały problem. Ale najprostszy do rozwiązania. Tyle że Prawo i Sprawiedliwość, mimo świetnej koniunktury, nie zdecydowało się realnie podnieść odsetka PKB na służbę zdrowia. – Mam taką teorię spiskową, że PiS nie jest przeciwnikiem cichej prywatyzacji w ochronie zdrowia, że

nie będzie broniło tego, co publiczne – mówi. I podaje przykład młodych pielęgniarek, które dostają 500+, ale nie podwyżkę i lepsze standardy pracy. To coś, co niedawno jeden z publicystów nazwał „drugą falą prywatyzacji” – mechanizmem zmuszania obywateli do korzystania z usług w sektorze prywatnym i refinansowaniem tego z budżetu. Problem, który opisuje Joanna Wicha, dotyczy dokładnie tego: rząd nie inwestuje w usługi publiczne, jednocześnie obiecując powszechny dobrobyt, który obywatele mają sfinansować

► ze świadczeń na dzieci, szkolnej wypłaty i 13. emerytury.

– Ostatnią podwyżką było tzw. zembalowe (od nazwiska Mariana Zembali, ministra zdrowia w rządzie Ewy Kopacz), które jednak zdecydowanej większości pielęgniarek do zeszłego roku nie liczyło się do podstawy wynagrodzenia, a wypłacane było jako dodatek. Ma to oczywisty wpływ na wysokość przyszłych emerytur – mówi Wicha. – Nie rozumiem, dlaczego PiS wybrało drogę konfliktu z nauczycielami i pielęgniarkami, choć mogłoby oburzenie tych grup zawodowych uspokoić naprawdę niewielkim kosztem.

Przekonuje, że nie jest przeciwniczką 500+, natomiast sprzeciwia się polityce społecznej, która daje pieniądze wybranym grupom, wedle uznania i widzimy się partii rządzącej.

Gdy pytam, czy jest listkiem figowym, reprezentantką klasy pracującej, która pomaga się uwiarygodnić koleżankom i kolegom z warszawskiego Razem, przekonuje, że wizerunek partii samych doktorantek i absolwentów socjologii nie jest już prawdziwy. – Partia się zmienia, po wyborach samorządowych i europejskich zapisują się do Razem kolejne osoby, a mimo wrażenia, że partię zajmują tylko sprawy kulturowe, cała kampania jest oparta na codziennych problemach ludzi, których nie rozwiązuje i nie ma zamiaru rozwiązać prawica.

Joanna Wicha przypomina, że ona, pielęgniarka z Białego Miasteczka w 2007 r., jest przecież we władzach partii. Gdy się żegnamy, dodaje, że bardzo by chciała być taką polityczką, która nie musi za dużo mówić przed kamerami i wypowiadać się na każdy temat. Bardziej pytając, niż stwierdzając, spekuluje, że może jednak, mimo wszystko, da się tak?

HANNA GILL-PIĄTEK (okręg wyborczy nr 9, lista nr 3 KW SLD, poz. 2): *Do księdza z kasą fiskalną i paragonem.*

– Jak robisz konferencję pod szpitalem, żeby opowiedzieć, w jak haniebnych i poniżających warunkach rodzą łódzianki i Polki w ogóle, to przychodzi jeden dziennikarz z lokalnej telewizji. I chwala mu za to. A jak robisz akcję z księdzem, lądujesz na pierwszej stronie wyborcza.pl. Trud-

no, tak musi być – mówi Hanna Gill-Piątek z Wiosny.

W środę, na 10 dni przed ciszą wyborczą, Gill-Piątek ubrana w różowy płaszcz „w kolorze biskupiej czapeczki” wręczyła księdzu pod łódzką archikatedrą symboliczną kasę fiskalną i paragon. Na nim wyliczenia – łącznie 3 mld zł rocznie „rachunku”, jaki społeczeństwo płaci na Kościół katolicki: lekcje religii w szkołach, Fundusz Kościelny, nieopodatkowana taca.

Księdzem tak naprawdę był przebrany performer, Paweł Hajncel, znany szerzej jako „człowiek motyl” – od kiedy przebrany w taki właśnie kostium towarzyszył uczestnikom procesji w Boże Ciało 2011 r. Wtedy oburzony ksiądz zgłosił na niego doniesienie do prokuratury.



Pytam ją, czy teraz również liczy na skandal i czy to nie problem, że lewica nie zdołała do dziś odwojować dla siebie spraw społecznych? – Sama kiedyś o tym pisałam: 1% przekazu obyczajowego w przypadku lewicy potrafi przystąpić 99% programu społecznego – przyznaje. Ale przypomina też, że pięć lat temu (gdy kandydowała, również z Łodzi, z list Zjednoczonej Lewicy) hitem internetu stał się jej wpis o paragonie.

– Ryszard Petru powiedział wtedy coś o konieczności wprowadzenia jednolitego VAT-u, a ja akurat dostałam od koleżanki paragon z zakupów spożywczych i zaczęłam na nim liczyć, co i jak podrożeje dla zwykłych ludzi i ile oni straciliby na takiej reformie. I to zdjęcie paragonu natychmiast obiegło ogólnokrajowe media – mówi. Gill-Piątek pisała wtedy też, że Petru mógłby to zrozumieć, „gdyby sam robił zakupy, a nie miał od tego pani z Ukrainy”.

W Warszawie Gill-Piątek pracowała w branży reklamowej, w Łodzi studiowała na ASP i współprowadziła świetlicę „Krytyki Politycznej”. Reklamowe, artystyczne i medialne doświadczenie pomogło przynajmniej jeszcze jeden raz: gdy w Szczecinie w ramach akcji artystyczno-protestacyjnej przeniosła się do kontenera, znów przez chwilę krzychały o niej ogólnopolskie media. W akcji sprzeciwu wobec propozycji „wyczyszczenia” śródmieścia miasta z biednych i przeniesienia ich do osiedli kontenerowych – zrobiła to sama. – Dzięki tej akcji problem wykluczenia przez umieszczanie ludzi w kontenerowych osiedlach stał się tematem numer jeden w naszym kraju – mówiła niedawno „Wysokim Obcasom”.

Zawodowo najdłużej chyba zajmowała się rewitalizacją i polityką miejską – pozorowane działania miejskie z czasów szczytowej Platformy porównała do nakładania makijażu na rozkładające się zwłoki. Gdy w 2015 r. kandydowała jako łódzka „dwójka” Zjednoczonej Lewicy, dostała się jej od bardziej radykalnie lewicowych koleżanek i kolegów, którzy uważali SLD za „śmierdzącego trupa w szafie” i „lewicowe zombie”. Szczególnie że jako działaczka miejska nie była na wojnie z bardziej postępowymi samorządowcami i włodarzami, niezależnie od ich partyjnej afiliacji – czy to PO, czy SLD. Wspólna praca z Robertem Biedroniem, wtedy prezydentem Słupska, zbliżyła ją też do Wiosny. Dziś, gdy Zieloni, z którymi była związana wcześniej, startują z list Koalicji Obywatelskiej, mówi, że „tzw. zjednoczona opozycja to było marzenie Kaczyńskiego i gwarancja władzy PiS na kolejną kadencję”.



BOŻENA PRZYŁUSKA (okręg wyborczy nr 19, lista nr 3 KW SLD, poz. 7): *Rozdział Kościoła od państwa to jeden z filarów praworządności.*

– Jeśli PiS zdobędzie większość konstytucyjną, to będziemy mieli tu Gilead w czystej postaci – mówi Bożena Przyłuska, nawiązując do „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood. W tej powieści Ameryka po zamachu stanu staje się piekłem na ziemi dla kobiet, a ich społeczna rola zostaje ograniczona do bycia służącymi i rodzenia dzieci ich męskim właścicielom.

Przyłuska jest organizatorką Kongresu Świeckości i działaczką obywatelską na rzecz świeckiego państwa. Choć startuje z listy KW SLD, nie należy do żadnego z tworzących komitet trzech ugrupowań. Zdecydowała się kandydować, gdy „nie dało się więcej zrobić na ulicy” – marszami, zbieraniem podpisów, jeżdżeniem po Polsce z parady na pikietę i z pikietą na paradę. Była zaangażowana w zbieranie podpisów pod projektem „Świecka szkoła”, animowanym przez środowisko Liberté i Leszka Jażdżewskiego – wtedy zresztą SLD go poparł i pomógł w akcji zapoczątkowanej i rozkręconej przez liberałów. Pod koniec 2015 r. pod projektem zebrano więcej niż wymagane ustawowo 100 tys. podpisów. Przyłuska szacuje, że przy „Świeckiej

szkole” przez trzy miesiące spędzała od czterech do dziesięciu godzin dziennie na warszawskiej „patelni” – wybetonowanym placu przy wyjściu z najruchliwszej stacji metra, Centrum. Udało się. Akcji na rzecz świeckości nie zarzuciła już potem nigdy. Hasło tegorocznego Kongresu Świeckości brzmi „Ultraprawica kontra prawa człowieka”. Zgromadzone ekspertki (w panelach większość stanowią kobiety) pochyliły się nad działalnością konserwatywnej i religijnej międzynarodówki zwolenników „naturalnego porządku”.

Bożena Przyłuska społecznie zaangażowała się w sprawy świeckości na początku wieku, gdy – jak mówi – jej dzieci były dyskryminowane z powodu nieuczęszczania na zajęcia z religii już w przedszkolu. Miejsc, nie mówiąc już o jakichkolwiek udogodnieniach, dla niewierzących dzieci w publicznych szkołach po prostu nie było. Mogły – co skądinąd sama pamiętam doskonale – poczekać na korytarzu lub w kąciku. – W szkole musiałam przez kilka lat walczyć o wprowadzenie etyki, która teoretycznie powinna być dostępna, ale dyrektorka bardzo mocno oponowała przeciw wprowadzeniu tych zajęć. Pisałam skargi do urzędu dzielnicy, interweniowałam w kuratorium i MEN. No i musiałam znaleźć jeszcze chętnych uczniów na zajęcia, które miały się odbywać poza planem lekcji, późno po południu – opowiadała w wywiadzie na stronach „Vogue” Polska.

Pytam Przyłuską, czy ma zamiar być kobietą jednej sprawy? – Tak, jestem kojarzona przede wszystkim z walką o świeckość, ale to nie jest „jedna sprawa”. Rozdział Kościoła od państwa to jeden z filarów praworządności, a nie temat dla ateistów czy moje hobby.

Czy chodziła na protesty pod Trybunał Konstytucyjny i sądy? Przyłuska patrzy na mnie, jakbym zapytał ją, czy wie, że w Polsce jest ruch prawostronny. – Oczywiście. Właśnie dlatego tam chodziłam. Trójpodział władzy to jest fundament.

Ta metafora architektoniczna, muszę przyznać, trafia blisko sedna problemu. Choć nie sposób powiedzieć, czy faktycznie większość i Trybunał Konstytucyjny, i jego obrońców, faktycznie podziela poglądy Przyłuskiej na świeckość państwa.

Czy cieszy się, że kandyduje Klaudia Jachira, bo dzięki temu walczyca ze skleralizowanym państwem i nie cenzurująca swoich opinii Przyłuska nie musi oglądać siebie w „Wiadomościach” i na okładce „Gazety Polskiej”? – Nie czuję lęku, ja się nie boję – mówi, choć dodaje, że jej synowie są już dorośli i to też pewnie pomaga w tej sytuacji. Jednak prawdziwej próby ogniowej rzeczywiście nie przeszła – pomimo bycia jedną z najaktywniejszych działaczek na rzecz świeckości, nie jest na celowniku prorządowych mediów. Jeszcze.

Paradoksalnie jednak, jak na osobę o poglądach tak wyrazistych i jednoznacznych, Przyłuska potrafi niuansować. Konkordatu nie można wypowiedzieć, tylko trzeba go renegocjować; budżetu państwa nie można sobie przepisać na kolanie; o świeckości państwa trzeba rozmawiać też z konserwatystami i prawicą; religia w szkole dla niektórych jest wartością, nawet jeśli nie zgadzają się na finansowanie jej z budżetu... – wyklada sprawę za sprawą.

Przyłuska jest bezpartyjna, deklaruje się jako patriotka lewicy, ale wyłącznie w zjednoczonej postaci. Nie wstąpi ani do SLD, ani do Razem, o ile te partie utworzą odrębne kluby parlamentarne. – Weszłam na listę lewicy, bo się zjednoczyła. Nie widzę swojej przyszłości osobno.

Jakub Dymek

POPARCIE DLA MONIKI JARUZELSKIEJ

Warszawska organizacja Unii Pracy popiera Monikę Annę Jaruzelską, radną miasta stołecznego Warszawy i działaczkę społeczną, niezależną kandydatkę do Senatu RP w okręgu wyborczym nr 43, wystawioną przez Komitet Wyborczy Polska Lewica w wyborach parlamentarnych 13 października 2019 r.

Prosimy wszystkich członków i sympatyków Unii Pracy o aktywne włączenie się w kampanię wyborczą Moniki Jaruzelskiej.



Pełnomocnik Warszawskiej
Unii Pracy
Giedymin Wróblewski

Orion niczym słońce Jamajki

W jednej chwili utracił wszystkie stanowiska, dzięki którym miał ogromny wpływ na gospodarkę surowcową w Polsce. Niestety, może je odzyskać

Andrzej Leszyk

Przez prawie cztery lata prof. Mariusz Orion Jędrysek rządził polską polityką surowcową, sprawując z nadania PiS funkcje głównego geologa kraju, pierwszego zastępcy ministra środowiska i pełnomocnika rządu ds. polityki surowcowej. To był zły okres dla naszej geologii i branż surowcowych. Szkody wywołane działalnością profesora okazały się ogromne.

Miarka wreszcie się przebrała i w czerwcu premier odwołał prof. Jędryska ze wszystkich stanowisk w trybie natychmiastowym. Ale jest on jednym z najważniejszych członków poselskiej drużyny o. Rydzyka, czyli grupy posłów PiS korzystających ze wsparcia redemptorysty i jego radia. Korzyści są tu obopólne, bo o. Rydzyk prowadzi duże inwestycje geotermalne z pomocą finansową resortu środowiska. A startujący ponownie do Sejmu z poparciem o. Rydzyka prof. Jędrysek po wyborach może wrócić na swoje stanowiska.

Mariusz Orion Jędrysek jest jednym z najważniejszych członków poselskiej drużyny o. Rydzyka. I z jego poparciem startuje do Sejmu.

Funkcjonowanie posła Jędryska jako szefa polskiej polityki surowcowej oznaczało niewykonane zadania, przerwane inwestycje, opóźnione procedury, wielkie koszty, które nie przyniosły efektów. PRZEGŁĄD opisywał jego dziwne wydatki z publicznych pieniędzy, niezrozumiałe ograniczanie wydawania koncesji na wydobycie bogactw naturalnych, zdumiewającą karuzelę kadrową, udział w likwidacji poszukiwań gazu łupkowego, ograniczanie roli państwowej służby geologicznej, próby utworzenia niezależnej od rządu Polskiej Agencji Geologicznej, wreszcie usiłowanie wyjęcia branży surowcowej spod nadzoru premiera. Miała ją opanować ekipa Jędryska

i Antoniego Macierewicza (drugiego ważnego członka drużyny o. Rydzyka). A w gospodarce surowcami jest pole do robienia wielu interesów.

Brak wyników to nie przeszkoda

„Dokonania” posła Jędryska podsumował ubiegłoroczny audyt w Ministerstwie Środowiska, który zbadał, jak kieruje on polską geologią. Okazuje się, że nie przygotowywano wniosków o wykonanie prac geologicznych, nie powstał dokument



strategiczny „Polityka surowcowa państwa”, który Mariusz Orion Jędrysek miał stworzyć. W zarządzanych przez niego departamentach dochodziło do częstych zmian na stanowiskach kierowniczych (np. w Departamencie Nadzoru Geologicznego sześciu dyrektorów i pięciu zastępców w ciągu dwóch i pół roku), nie było zaufania do pracowników.

Audyt wykazał też słabości w planowaniu i podejmowaniu decyzji strategicznych, powielanie czynności przez różne komórki organizacyjne, brak analizy problemów i skutecznego ich rozwiązywania, niewykonywanie obowiązków, brak nadzoru nad realizacją zadań, istnienie pozornych struktur (np. Zespołu

ds. Analiz, który niczego nie analizuje, albo Wydziału ds. Legislacji, który nie prowadzi żadnych projektów legislacyjnych), opóźnienia w postępowaniach koncesyjnych powodujące milionowe straty.

Na te opóźnienia skarżyły się spółki energetyczne, które nie mogły rozwijać wydobycia surowców. Zbadań wymagałoby, w jakim stopniu taka polityka koncesyjna wpływała na wzrost importu węgla kamiennego i gazu z Rosji oraz na spadek wydobycia krajowego gazu ziemnego. Akurat w czasie, gdy państwowy Węglukoks stał się głównym importerem węgla do Polski, funkcję wiceprezesa tej firmy pełnił brat Mariusza Oriona, Jarosław Jędrysek.

W normalnym kraju wysoki urzędnik, którego pracę oceniono by tak krytycznie, natychmiast pożegnałby się ze stanowiskiem. Tymczasem Mariusz Orion Jędrysek urzędował jeszcze rok i został odwołany nie z powodu zaniedbań, lecz za próbę pozbawienia premiera Morawieckiego wpływu na branżę surowcową.

Z racji zajmowanych stanowisk ministerialnych poseł Jędrysek nadzorował Państwowy Instytut Geologiczny, który pod jego pieczęcią poniósł wielomilionowe straty. W 2014 r., ostatnim przed nadejściem „dobrej zmiany”, PIG osiągnął 970 tys. zł zysku. Po nastaniu ministra Jędryska straty zaczęły sięgać nawet 5 mln zł rocznie. Wzrosły też opóźnienia (w większości przekraczając rok) w podpisywaniu umów z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, na podstawie których finansowana jest działalność instytutu. PIG musiał brać kredyty na działalność, a to powodowało straty.

Z pomocą „prywatnej” agencji

Niebezpieczeństwo ataku na branżę surowcową nie zostało dotychczas zażegnane. W Państwowym



Mariusz Orion Jędrysek (nz. z lewej) i prezes Państwowej Agencji Atomistyki Andrzej Przybycin na posiedzeniu Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego w lipcu na Jamajce.

Instytucie Geologicznym, wykonującym zadania państwa w zakresie geologii i prowadzącym badania naszej bazy surowcowej, nadal ważne stanowiska piastują współpracownicy Jędryska i Macierewicza, którzy trafili tam w 2018 i 2019 r. Jeśli poseł Jędrysek ponownie zostanie wybrany do Sejmu, znowu uzyska bardzo znaczący, mniej lub bardziej oficjalny, wpływ na polską politykę surowcową.

Cały czas nie został też zablokowany inny pomysł opanowania gospodarki surowcowej, czyli forswany przez Jędryska projekt utworzenia Polskiej Agencji Geologicznej. Miałaby ona stać się organem wykonawczym głównego geologa kraju, pełniąc jednocześnie funkcje państwowej służby geologicznej i zarządzając dostępem do eksploatacji surowców wartych biliony złotych. Tworzyłaby też rozmaite fundusze. Byłby to urząd faktycznie niezależny od premiera i rządu, z nieusuwalnym prezesem powoływanym na dwie pięcioletnie kadencje. PAG (czyli jej prezes) zlecałaby zadania wybranym przedsiębiorcom i udzielała im pożyczek lub dotacji. Wydobywanie i przetwarzanie polskich bogactw naturalnych stałoby się okazją do wyprowadzania pieniędzy publicznych do podmiotów prywatnych.

W pisaniu projektu ustawy o PAG mogli uczestniczyć lobbysci zatrudnieni w Ministerstwie

Środowiska za czasów wiceministra Jędryska. Do niedawna dyrektorem Departamentu Polityki Surowcowej i Analiz w tym resorcie był Hubert Schwarz, zarazem prezes Stowarzyszenia Kopalń Odkrywkowych, skupiającego właścicieli tych kopalń i osoby z dozoru. Dziś jest ekspertem stowarzyszenia, tak jak dr Jolanta Maj, aktualna wicedyrektor Departamentu Geologii i Koncesji Geologicznych. Statutowy cel Stowarzyszenia Kopalń Odkrywkowych (z siedzibą we Wrocławiu, skąd posłem PiS jest prof. Jędrysek) to działalność lobbingsowa w celu wpływania na treść aktów prawnych normujących problematykę górnictwa. Stowarzyszenie byłoby zapewne żywo zainteresowane uzyskaniem dotacji z PAG.

Według ocen projektu ustawy o PAG, agencja będzie mogła wydawać publiczne pieniądze w dowolnym miejscu na Ziemi, uzasadniając niegospodarność ryzykiem geologicznym – bo de facto chodzi o utworzenie „prywatnej” agencji realizującej pomysły jej szefów.

Komitet Nauk Geologicznych PAN uznał, że „projekt jest sprzeczny z duchem i zapisami Konstytucji RP, ustawy o finansach publicznych, prawa geologicznego i górniczego”. Z utworzenia Polskiej Agencji Geologicznej nie będzie żadnych korzyści dla Polski i Polaków – z wyjątkiem nielicznej grupki, która zarobi potężne pieniądze dzięki jej funkcjonowaniu.

Jak stwierdził ekspert, geolog dr Tomasz Nałęcz, agencja to antypaństwowy i antynarodowy przekręt, zaś spółki już czekają na wielomilionowe zlecenia od prezesa PAG. Natomiast Sekcja Krajowa Geologiczno-Wiertnicza NSZZ Solidarność uznała, że utworzenie PAG stanowiłoby „formę zorganizowanej grabieży”.

Jak to z łupkami było

Mimo jednoznacznie negatywnych ocen projekt ustawy powołującej PAG trafił do Sejmu i pisowską większością głosów przeszedł już przez pierwsze czytanie. Polsce cały czas grozi zatem scenariusz, jaki przygotował poseł Jędrysek jako główny geolog kraju, pierwszy zastępca ministra środowiska i pełnomocnik rządu ds. polityki surowcowej.

Swoistym symbolem tego, jakie efekty przyniosła jego obecność na tych ważnych stanowiskach, są losy poszukiwań łupków w Polsce. Wcześniej wielokrotnie zapewniał on, że mamy potężne zasoby gazu łupkowego, lecz nie są one wykorzystane, bo rząd PO-PSL źle organizuje poszukiwania. Po objęciu swoich funkcji poseł Jędrysek zyskał możliwość naprawienia rzekomych błędów poprzedników. Efekty osiągnął błyskawicznie. Utańczył najnowszy raport o zasobach tego surowca w Polsce, a pod jego rządami liczba czynnych odwiertów poszukiwawczych gazu łupkowego spadła do zera.

Pięć lat temu Państwowy Instytut Geologiczny rozpoczął budowę nowego magazynu rdzeni (próbek uzyskanych z wierceń). Inwestycja uzyskała wszelkie pozytywne opinie, akceptację i uzgodnienia, miała być ukończona w zeszłym roku. W czerwcu 2016 r. wiceminister Jędrysek wstrzymał prace, bo uznał, że nie zostały poprzedzone rzetelną analizą – i zapowiedział, że sam ją przeprowadzi. Instytut stracił 1,17 mln zł, magazyn nie powstał, analizy nie ma.

W 2017 r. na telefoniczne polecenie wiceministra Jędryska PIG wypłacił 0,5 mln dol. Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego za rozpatrzenie wniosku o przyznanie Polsce 15-letniej koncesji na poszukiwanie surowców pod dnem Atlantyku. Strona polska ponoć nie wiedziała, gdzie leży przyznany jej obszar poszukiwań, więc PIG, też na polecenie

► wiceministra, zapłacił ok. 30 tys. euro Ogólnorosyjskiemu Instytutowi Geologii i Zasobów Mineralnych Oceanu Światowego w Petersburgu za wspólne tego terenu.

Nikt nie rozpoczął jeszcze komercyjnego wydobywania surowca z dna morskiego i nie wiadomo, czy kiedykolwiek rozpocznie. Te wydatki przyniosły jednak efekt – w zeszłym roku wiceminister Jędrzysek został (na rok) przewodniczącym Zgromadzenia Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego z siedzibą na Jamajce. Za jego sprawą w Państwowym Instytucie Geologicznym powstał zaś zespół do spraw „Intensyfikacji zaangażowania Polski w poszukiwanie zasobów rud metali na dnach oceanów”.

W rytmie reggae

Odpowiedzialne obowiązki rządowe nie przeszkodziły posłowi Jędryskowi w odbywaniu częstych podróży na Jamajkę. Oczywiście na koszt państwa polskiego. Terminy i sumy są ciekawe:

– Jamajka 9-24 lipca 2016 r., Mariusz Orion Jędrzysek + 1 osoba towarzysząca, koszt 31 561,07 zł,

– Jamajka 30 lipca-19 sierpnia 2017 r., Mariusz Orion Jędrzysek + 2 osoby towarzyszące, koszt 23 528,65 zł,

– Jamajka 18-29 lipca 2018 r., Mariusz Orion Jędrzysek (solo), koszt 24 555,21 zł,

– Jamajka 22 lutego-3 marca 2019 r., Mariusz Orion Jędrzysek (solo), koszt 22 257,24 zł.

Zdarzały się i wyprawy do USA (np. 29 kwietnia-4 maja 2018 r., Mariusz Orion Jędrzysek + 1 osoba towarzysząca, koszt 39 129,82 zł), do Belgii czy choćby bliskiej Słowacji.

Koszty tylko wymienionych tu podróży na Jamajkę, do Belgii na Słowację to ok. 160 tys. zł.

Były i inne delegacje na Jamajkę, tym razem z udziałem Andrzeja Przybycyna, pisowskiego prezesa Państwowej Agencji Atomistyki. Wprawdzie nie bardzo wiadomo, co wspólnego ma nasza agencja atomistyki z badaniem surowców pod dnem Atlantyku, ale prezes

Przybycin to druh pośła Jędryska, co poniekąd wystarcza za wyjaśnienie. Tak więc prezes PAA podróżował na Jamajkę w terminach: 3-10 marca 2018 r., 7-28 lipca 2018 r., 19 lutego-2 marca 2019 r., 4-27 lipca 2019 r. Na Słowacji też był.

Na uwagę zasługuje najnowsza tegoroczna wyprawa obu panów na gorącą wyspę reggae. Wspólnie uczestniczyli oni w imprezie pod nazwą Druga Część 25. Dorocznej Sesji Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego, odbywającej się w Kingston od 15 do 26 lipca, akurat w szczycie sezonu wakacyjnego.

Andrzej Przybycin, wiadomo, brał w niej udział jako prezes naszej agencji atomistyki, żywotnie jednak zainteresowanej eksploatacją surowców spod dna Atlantyku. Dla porządku tylko warto dodać, że ten kierunek badań nie wzbudził specjalnego entuzjazmu władz i Przybycin został 10 września br. odwołany przez premiera ze stanowiska prezesa PAA.

Nie bardzo wiadomo natomiast, z jakiego tytułu sfinansowano podróż na Jamajkę pośła Jędryska, bo w tym czasie nie był już ani wiceministrem środowiska, ani głównym geologiem kraju ani pełnomocnikiem rządu ds. polityki surowcowej. Oczywiście pan poseł miał święte prawo uczestniczyć w tym posiedzeniu,

oraz o wskazanie, na jakiej podstawie prawnej te pełnomocnictwa zostały mu udzielone, skoro nie był członkiem rządu RP ani nie pełnił funkcji w polskiej administracji? Do czasu skierowania tego artykułu do druku odpowiedź nie nadeszła.

Powrót do władzy?

Oprócz Jamajki zarysował się inny atrakcyjny dla pośła Jędryska kierunek delegacyjny. Gdy pełnił funkcje rządowe, zlecił przygotowanie projektu porozumienia między Polską a Indonezją. Porozumienie ma dotyczyć współpracy w dziedzinie geologii i polityki surowcowej.

Jak stwierdza dokument, celem porozumienia jest m.in. „ustalenie Polski jako strony, która ma ponieść całość kosztów i wziąć odpowiedzialność za realizację całości przedsięwzięcia” (co zapewne zostanie z radością przyjęte przez stronę indonezyjską). Inny zapis mówi, że „przewodniczącym delegacji polskiej będzie główny geolog kraju”.

Pieniądzy na wyjazd do Indonezji z pewnością nie zabraknie, bo projekt porozumienia stwierdza także: „Koszty związane z przedsięwzięciem (np. delegacje) będą finansowane z wieloletniego Programu Rozpoznania Geologicznego Oceanów

Nie został zablokowany pomysł opanowania gospodarki surowcowej, czyli forsowany przez pośła Jędryska projekt utworzenia Polskiej Agencji Geologicznej.

jako że przekazywał na nim w inne ręce przewodnictwo Zgromadzenia Organizacji Dna Morskiego. Tyle że jego uczestnictwo (łącznie z podróżą w obie strony) powinno zostać opłacone przez wspomnianą organizację.

Ostatnią wycieczką obu panów na Jamajkę zainteresowały się związki zawodowe działające w Państwowym Instytucie Geologicznym, pytając o merytoryczną podstawę sfinansowania ich wyprawy.

Także redakcja PRZEGLĄDU pozwoliła sobie 23 września skierować do ministra środowiska Henryka Kowalczyka (w trybie dostępu do informacji publicznej) prośbę o przekazanie kopii pełnomocnictw Mariusza Oriona Jędryska, na mocy których brał on udział w Zgromadzeniu Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego jako przedstawiciel Polski,

przyjętego przez Radę Ministrów uchwałą z dnia 25 lipca 2017 r. Zabezpieczono na te cele kwotę w wysokości 25 778 000 zł”.

Warto dodać, że projekt zawarcia tego porozumienia zyskał aprobatę ministra środowiska oraz premiera Morawieckiego! Tak właśnie wygląda polska aktywność gospodarcza w wydaniu obecnej ekipy.

Mariusz Orion Jędrzysek nie doczekał zawarcia porozumienia z Indonezją przed nagłym opuszczeniem ważnych stanowisk. W kolejnym rozdaniu wszystko jednak przed nim, powinien tylko najpierw znów zostać posem.

To, że startuje do Sejmu, wzbudziło konsternację w środowiskach, które miały okazję poznać skutki jego niemal czteroletniej obecności w rządzie. Krajowy Sekretariat Zasobów Naturalnych Ochrony Środowiska

i Leśnictwa NSZZ Solidarność negatywnie ocenił tę kandydaturę. W oficjalnym piśmie wskazał na jego „szkodliwą działalność w zakresie geologii i górnictwa”, dodając, że poparcie ze strony Solidarności winno dotyczyć wyłącznie „osób uczciwych, o nieposzlakowanej opinii, kompetentnych”, a Jędrzyk na takie poparcie nie zasługuje.

Koszt kilku tylko podróży Jędrzyka na Jamajkę, do Belgii na Słowację to ok. 160 tys. zł.

Według związkowców z Solidarności Mariusz Orion Jędrzyk „często rozmijał się z prawdą”, a nawet posuwał „do oburzających, kłamliwych pomówień” oraz forsował szkodliwe pomysły dotyczące polityki surowcowej państwa – w tym utworzenie „*de facto* prywatnej agencji geologicznej”. Mając to wszystko na względzie, Krajowy Sekretariat Zasobów Naturalnych Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ Solidarność odradza wspieranie „kontrowersyjnej kan-

dydatury Mariusza Oriona Jędrzyka”. Ten apel Solidarności jest oczywiście głosem wołającego na puszczy.

Realizację zadań państwowej służby geologicznej pod nadzorem pła Jędrzyka zbadała też Najwyższa Izba Kontroli i zwróciła uwagę m.in. na nieprawidłowości opisane przez PRZEGŁĄD. Lista tego, czego nie zrobił lub co zrobił źle, zawarta w wystąpieniu

NIK (sporządzonym w sierpniu br.), to temat już nie na jeden, ale na kilka artykułów.

Wystarczy zacytować pierwsze zdanie raportu NIK: „Najwyższa Izba Kontroli negatywnie ocenia działalność ministra środowiska, działającego przy pomocy głównego geologa kraju, w zakresie realizacji wybranych zadań państwowej służby geologicznej”.

W innym miejscu czytamy: „NIK negatywnie ocenia działalność

głównego geologa kraju w zakresie sprawowania nadzoru nad Państwowym Instytutem Geologicznym oraz planowania zadań państwowej służby geologicznej i zapewnienia środków finansowych na ich realizację”.

Niektóre działania głównego geologa kraju NIK uznała wprost za niezgodne z prawem. Wiele innych – za nierzetelne i sprzeczne z obowiązującymi procedurami. Wytknęła mu też brak aktywności.

Wszystko to jest jednak bez znaczenia. Zgodnie z regułami rządzącymi życiem publicznym w naszym kraju podobne oceny nie mają żadnego wpływu na możliwość kandydowania Mariusza Oriona Jędrzyka do Sejmu i jego późniejszy udział w najwyższych gremiach władzy państwowej.

Tym bardziej że ma on nie tylko jawne poparcie o. Rydzyka, ale i ciche Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS nie ma nic przeciwko temu, by prof. Jędrzyk wrócił na swoje stanowiska, bo dzięki temu pozycja premiera Morawieckiego nie będzie zbyt mocna.

Andrzej Leszyk



Karaibska karuzela. Bananowe plutokracje, szwadrony śmierci i zimna wojna w Ameryce Środkowej

Wiesław A. Zdaniewski

Książkę można zamówić
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

Cena 38 zł (w tym 5% VAT)

Rząd znów zapomniał o alimentach

Coraz więcej dzieci traci prawo do świadczeń z Funduszu Alimentacyjnego



Elżbieta Rafalska i Zbigniew Ziobro dwa lata temu zachwalali, że dzięki zmianie Kodeksu karnego ściągальność alimentów wzrosła o 100%. W rzeczywistości zwiększyła się z 15% do 25%.

Anna Brzeska

– Od siedmiu lat bezskutecznie próbuję ściągnąć alimenty. Mogłabym książkę o tym napisać. Komorniczka nie robi zupełnie nic. Nawet w teren nie idzie, a ma najwyżej 1,5 km z kancelarii – mówi Kinga Badźmirowska-Masłowska, mama, której nie udało się wyegzekwować żadnych pieniędzy od biologicznego ojca jej dziecka. – Komornikom nie opłaca się ściągać alimentów, bo przy bezskutecznych egzekucjach ponoszą wyłącznie koszty, więc ich działania są mizerne. Komornik jest u nas przedsiębiorcą, a nie urzędnikiem.

Dzieci wypadają z funduszu

1 października zaczął się nowy okres świadczeniowy w Funduszu Alimentacyjnym. Tymczasem próg dochodowy uprawniający do świadczeń z funduszu znów stoi w miejscu. Jeszcze w grudniu 2018 r. w wywiadzie dla portalu

praca.gazetaprawna.pl minister Elżbieta Rafalska obiecywała, że wzrost kryterium dochodowego do Funduszu Alimentacyjnego będzie następował równoległe ze wzrostem kryterium dochodowego do programu 500+ na pierwsze dziecko.

Po kilku miesiącach, w przedwyborczej licytacji na obietnice limit dla 500+ zniesiono zupełnie. O podniesieniu kryteriów do funduszu zapomniano, choć według słów minister Rafalskiej miało to być „poważnie

– tyle wynosi po podwyższeniu go z końcem ubiegłego roku o zawrotną kwotę 75 zł, określoną przez samodzielnych rodziców jako jałmużna.

Co dalej? Nie wiadomo. Nawet osobom otrzymującym minimalne wynagrodzenie, biorąc pod uwagę dzisiejszą jego wysokość, znów grozi wypadnięcie z funduszu. Dorota Herman z Fundacji KiDs, reprezentującej samodzielnych rodziców, jest zdania, że państwo zmierza wręcz do wygaszenia funduszu. Już dziś nie mogą

Rząd nie prowadzi żadnych statystyk, ile dzieci nie otrzymuje alimentów.

rozważane”, a wiceminister Stanisław Szwed podczas obrad sejmowej Komisji Rodziny i Polityki Społecznej obiecał podniesienie progu do 900 zł.

Obietnice te nie zostały dotzymane i dzieje się właśnie to, czego obawiano się najbardziej – wynagrodzenie minimalne wynosi już ok. 1634 zł netto. Progu dochodowy do skorzystania z FA to nadal 800 zł na osobę

z niego korzystać osoby, których pensja tylko nieznacznie przekracza minimalną. Zdarza się, że samodzielni rodzice muszą zwracać świadczenia z funduszu za poszczególne miesiące, np. gdy otrzymali bony na święta, wliczane do dochodu.

– W 2014 r. – w porównaniu z rokiem 2013 – prawo do świadczeń z funduszu straciło 4,4 tys. dzieci.

W roku 2015 było już o 10,9 tys. dzieci mniej, w 2016 r. – 17,8 tys., a w 2017 r. ubyło z Funduszu Alimentacyjnego aż 34,7 tys. dzieci – wylicza przedstawicielka fundacji KiDs. – Wraz ze wzrostem minimalnego wynagrodzenia coraz więcej dzieci traci te uprawnienia. W ten sposób ministerstwo może się chwalić coraz większą skutecznością ściągania alimentów do funduszu, ale ona wynika też ze zmniejszającej się liczby jego beneficjentów. To zaś pokazuje, że rząd przerzuca stopniowo odpowiedzialność za egzekucję alimentów na rodziców – stwierdza.

Projekty znów leżą odłogiem

Pewną nadzieję na dalsze zmiany dawały przygotowane wiosną tego roku rządowe projekty wprowadzające kolejne przepisy związane z alimentami. Projekt „Dobry start” m.in. podwyższał próg dochodowy uprawniający do świadczeń z Funduszu Alimentacyjnego do 900 zł (od października 2020 r.). Jednak kończy się kadencja rządu, a o głosowaniach nad nimi nic nie wiadomo. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, które jeszcze w grudniu 2018 r. obiecało działać dalej, teraz znów milczy i nie odpowiada na pisma fundacji KiDs. – Obawiamy się, że wyczekiwane przez nas projekty okażą się mniej ważne od innych na ostatnim posiedzeniu Sejmu – mówi Dorota Herman.

Drugi projekt – również najwyraźniej odłożony do szuflady – miał dotyczyć tzw. alimentów natychmiastowych, czyli zasady, że po rozstaniu rodziców to z nich, przy którym zostaje dziecko, może wnieść o zasądzenie alimentów w kwocie z góry narzuconej w ustawie. Jej wysokość zależna byłaby np. od wieku dziecka czy liczby dzieci. Zasądzenie alimentów odbywałoby się w trybie przyśpieszonym, w ciągu nie więcej niż 14 dni. – Zabezpieczenie alimentacyjne, czyli obecnie stosowane rozwiązanie, jest ustalane w różnych kwotach, przez co nie zawsze ich wysokość jest uczciwa – wyjaśnia Dorota Herman. – Poza tym zdarza się, że przy zasądzeniu zabezpieczenia przekraczany jest termin 14 dni, nierzadko następuje ono dopiero po miesiącu czy nawet dwóch.

Żaden z obecnie porzuconych przez rząd projektów nie zawiera jednak

rozwiązania, na które wszyscy samodzielni rodzice czekają od lat – zniesienia progu dochodowego do Funduszu Alimentacyjnego lub przynajmniej określenia jego poziomu jako 100% najniższego wynagrodzenia. Rząd PiS nie próbuje tego nawet obiecywać.

– Chodzi nam tylko o zabezpieczenie potrzeb dzieci, które nie mogą czekać przecież latami na poprawę ściągania – mówi Dorota Herman. – Mowa tu o około milionie dzieci – szacujemy to na podstawie liczby spraw w kancelariach komorniczych. Tych spraw jest obecnie między 600 a 700 tys., a wiele z nich dotyczy przecież więcej niż jednego dziecka. Rząd natomiast nie prowadzi żadnych statystyk, ile dzieci nie otrzymuje alimentów. Jedyne dane dotyczą dzieci, którym przysługuje świadczenie z Funduszu Alimentacyjnego.

Rodzicu, radź sobie sam

Brak zapowiedzi poważniejszych zmian nie pozwala na optymizm w kwestii alimentów. Fundacja KiDs postuluje, by przepisy gwarantowały przynajmniej waloryzację kryteriów odpowiadającą wzrostowi najniższego wynagrodzenia.

W pismach fundacji do resortów padają też konkretne propozycje, dzięki którym rosłaby świadomość społeczna dotycząca alimentacji – miałyby to być np. kampania medialna, która pokazałaby, że niepłacenie

man. – A proces ten wiąże się często z wizytami na policji, w ośrodku pomocy społecznej, ze żmudnym ustalaniem adresu dłużnika alimentacyjnego. Znam historie o mamach, które wynajmują detektywów lub proszą znajomych o śledzenie ojca dziecka – dodaje.

Dużą skalę zjawiska korzystania z prywatnej pomocy w egzekucji alimentów potwierdza Katarzyna Bracław z Agencji Detektywistycznej Detektyw 24: – Praktycznie codziennie dzwoni do nas przynajmniej jedna osoba, by zlecić usługę w sprawie alimentacyjnej. Głównie proszą o udowodnienie ukrywania dochodów przez dłużników czy też wyśledzenie ich układow z pracodawcą. Najczęściej polega to na oficjalnym zmniejszeniu wymiaru etatu czy wynagrodzenia i rozliczaniu reszty „na czarno”. Zgłaszają się do nas przede wszystkim kobiety. Tych telefonów jest naprawdę bardzo dużo.

Jak ujawnia przedstawicielka agencji, praca detektywów polega przede wszystkim na obserwacjach związanych z oszacowaniem wymiaru pracy lub zarobków dłużników alimentacyjnych. – Jeśli ktoś mówi, że pracuje na pół etatu, a po tygodniu obserwowania tej osoby okazuje się, że przebywała w pracy w pełnym wymiarze, można to wykorzystać jako dowód w sądzie – mówi Katarzyna Bracław. – Często rolę detektywa

Państwo zmierza do wygaszenia Funduszu Alimentacyjnego.

na własne dzieci jest czymś naganym. Wśród innych pomysłów jest też edukowanie komorników, policjantów czy prokuratorów, którzy – zdaniem KiDs – wciąż są niedoszkoleni w kwestii długów alimentacyjnych i bagatelizują ten problem. Wielu nie zna też obowiązujących przepisów.

Fundacja chce także wprowadzenia rejestru dłużników alimentacyjnych oraz zwiększenia częstotliwości stosowania dozoru elektronicznego zamiast kar więzienia, przy jednoczesnej „obligatoryjnej aktywizacji zawodowej” dłużników.

– W tej chwili wciąż mamy do czynienia z sytuacją, w której rodzic, przy którym pozostaje dziecko, nie mogąc uzyskać alimentów, musi wszystko zafatwiać sam – mówi Dorota Her-

jest też potwierdzenie prawdziwości danych przekazywanych przez alimentariuszy do sądu lub odnajdywanie ukrywanego przez dłużników majątku. Tego typu zlecenia najczęściej są związane z odzyskiwaniem zaległych alimentów. Długi wynoszą czasem po kilkadziesiąt lub nawet ponad 100 tys. zł. Nasi detektywi sprawdzają, czy taka osoba nie sprzedała lub nie przepisała na kogoś swojego majątku, który mógłby przecież posłużyć do spłacenia długu.

Tego rodzaju czynności mogą przeprowadzać komornicy, jednak klientki czy klienci często wolą zgłosić się do detektywów, sądząc, że dzięki temu przyśpieszą proces uzyskiwania alimentów. – Idą potem do komornika z gotowym materiałem ▶

► dowodowym przygotowanym przez nas – dodaje.

Według Katarzyny Bracław na usługi detektywa trzeba przeznaczyć wstępnie ok. 4-5 tys. zł, ale ostateczna kwota jest zależna od stopnia skomplikowania sprawy.

W innej sytuacji są rodzice, którzy otrzymują świadczenie z FA. Wtedy ściągnięcie zadłużenia jest w interesie państwa, dlatego proces odzyskiwania alimentów przebiega znacznie sprawniej.

Wioleta, od wielu lat samodzielna mama: – Były mąż na początku płacił nieregularnie, niepełne kwoty. Każdą

art. 209 Kodeksu karnego, który pozwala na zastosowanie kary więzienia wobec dłużników alimentacyjnych już w momencie, gdy spóźniają się z płaceniem na dzieci choćby o trzy miesiące. Ta zmiana spowodowała według resortu sprawiedliwości poprawę ściągłości alimentów o 100%.

– W pierwszym półroczu po zmianie art. 209 rzeczywiście zanotowano dużą poprawę ściągłości. Jednak zwiększenie jej z 15% do 25% – bo na tyle szacują ją komornicy – nie oznacza, że problem alimentów został rozwiązany – mówi Dorota Herman.

pisy wprowadzone z początkiem br. umożliwiają zajęcie komornicze diet z tytułu podróży służbowych.

Komorniczy paradoks

Kinga Badźmirowska-Mastowska, mama z wieloletnim doświadczeniem w walce o alimenty dla swojego dziecka, wylicza jeszcze inne potrzeby zmian, związane przede wszystkim z nieefektywną jej zdaniem pracą komorników: – Alimenty to jedyne zobowiązanie, w przypadku którego wierzyciel może złożyć wniosek o ściąganie należności do komornika nawet wtedy, kiedy dłużnik spóźnił się z wpłatą tylko raz i np. tylko o jeden dzień. Jednak egzekucja komornicza ciągnie się potem do

momentu ustania obowiązku alimentacyjnego, o ile wcześniej wierzyciel jej nie wycofa. Miesięczne koszty alimentów znacząco wtedy rosną, bo komornik pobiera niemałą takse.

Jak wyjaśnia kobieta, powoduje to efekt odwrotny do zamierzonego – komornicy uzyskują satysfakcjonujące wynagrodzenie z opłat ściąganych z tych dłużników, którzy mają stałą pracę i w sprawie których nie trzeba już podejmować żadnych dodatkowych czynności. O ile rodzic, przy którym zostaje dziecko, nie wycofa wniosku o egzekucję – a zwykle nie robi tego, bo po wcześniejszej walce o alimenty nie ufa temu drugiemu – komornicy latami czerpią zyski z bieżących zajęć, nie mając motywacji do podejmowania czynności w nowych sprawach, szczególnie trudnych, gdzie pojawia się problem ustalenia adresu czy miejsca pracy dłużnika.

Z przypadkami niechętnego podejmowania przez komorników trudnych spraw spotkała się też Dorota Herman. Podkreśla jednak, że nie dotyczy to oczywiście całej grupy zawodowej: – Z wieloma komornikami współpracujemy. Część z nich chciałaby móc zrobić więcej, ale nie są w stanie. Ostatnia ustawa o komornikach obliżyje ich do wykonywania czynności w terenie osobiście. Nie mogą wysłać tam aplikantów. Mają tyle zleceń, że nie dają już rady. Nie mogą natomiast wychodzić poza granice prawa.

Ministerstwo chwali się coraz większą ściągłością alimentów do funduszu, ale nie mówi, że zmniejsza się liczba jego beneficjentów.

notowałam, ale nie chciałam za każdym razem prosić o pieniądze, które się należały mojemu dziecku. Potem kombinowałam coraz bardziej, więc poszłam do komornika. Były mąż, gdy tylko zajęto mu wynagrodzenie, rozwiązał umowę o pracę. Ponieważ ja, wychowując małe dziecko, nie pracowałam, dostałam świadczenie z funduszu. Sprawę w sądzie o unikanie płacenia założył Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, który ma swoich prawników. To było chyba najlepsze wyjście. W efekcie najpierw byłemu mężowi zasądzono prace społeczne, potem wyrok w zawieszeniu. W końcu dostał pół roku więzienia. I od tamtego czasu zaczął płacić, tak się wystraszył. Ale jeśli ktoś nie ma alimentów z funduszu, wszystko jest na jego głowie.

Największy postęp w PR

Rząd nadal jednak chwali się sukcesami. W 2017 r. zmieniono

Pod koniec ubiegłego roku został z kolei przyjęty tzw. pakiet alimentacyjny, który obejmował m.in. rozwiązania służące sprawniejszemu uzyskaniu przez komorników sądowych informacji o dochodach dłużników alimentacyjnych na podstawie danych ZUS. Są one teraz przekazywane komornikom bezpłatnie, drogą elektroniczną. To pozwala na szybsze działania i reakcję na ewentualne zmiany pracy zarobkowej przez dłużnika. Krótko mówiąc, jeśli alimentarz podejmuje nową pracę, komornik szybciej się o tym dowiaduje i tym samym ma szansę interweniować za pomocą zajęcia komorniczego, zanim dłużnik pracę straci lub umówi się z pracodawcą na płacenie „pod stołem”. Pakiet alimentacyjny zwiększa też sankcje wobec pracodawców, którzy nie dopełnili obowiązków związanych z zajęciem komorniczym lub np. zatrudniali alimentarzy na czarno, czy też pomogli im zataić rzeczywiste dochody. Dodatkowo prze-

Naszej Drogiej Koleżance

Aleksandrze Pańko

serdecznie współczujemy po śmierci

TATY

Przyjaciele z PRZEGLĄDU

Anna Brzeska

Z Galicji



Jan Widacki

Kampania wyborcza już na finale. W niedzielę 13 października pójdziemy do urn. Pesymiści mówią, że wynik wyborów jest już przesądzony. PiS we wszystkich sondażach ma ok. 40% głosów. Spójrzmy na sondaże z odrobiną optymizmu. Nie-PiS ma 60%. Kto zagospodaruje ten elektorat? Platforma udająca koalicję weźmie pewnie mniej niż 30%. Na pewno to nie ona wygra wybory. Ale Lewica, mimo braku kampanii, weźmie zapewne ponad 10%. A jeszcze PSL z Kukizem? Oby zebrali ponad 5%. Jeśli Konfederacja nie przepelźnie przez próg (na co jest duża szansa i czego jej życzę), głosy na nią oddane zostaną podzielone między PiS i Koalicję Obywatelską. Gdyby tak było, opozycja ma szansę wygrać wybory. Oby tylko Koalicja Polska (PSL z Kukizem) po wyborach nie weszła w koalicję z PiS. Liderzy, zarówno Kosiniak-Kamysz, jak i Kukiz, zarzekają się dziś, że tego nie robią. Ale co powiedzą po wyborach? Tego już nie byłbym taki pewien. Inna sprawa, że gdyby nawet opozycja zdobyła więcej głosów, a w konsekwencji mandatów, niż PiS, po wyborach zapewne się pożre i ze stworzeniem rządu będzie miała problem. To, kto zostanie premierem, a kto ministrem, okaże się ważniejsze niż to, czy PiS zostanie odsunięte od władzy. *Sorry*, taką mamy klasę polityczną.

mował wymiaru sprawiedliwości (która to reforma jego zdaniem konieczna jest dziś), tylko „deregulował” taksówkarzy i przewodników miejskich. Jest szansa, że do Sejmu nie wejdzie. Twardy elektorat PiS zgłasza raczej na Wassermanównę lub Terleckiego. Elektorat PO-PiS, w Krakowie dość liczny, raczej już zgłasza na pierwszego na liście Koalicji Obywatelskiej Pawła Kowala. Poglądy panowie mają podobne, ale Kowal przynajmniej nie firmuje łajdactw PiS z ostatnich czterech lat. Gowin przeciwnie. Gdyby tak się stało, uwierzyłbym naraz w dwie rzeczy. Sprawiedliwość dziejową i mądrość elektoratu. Jak będzie? Zobaczymy niebawem.

Są na listach w różnych okręgach ludzie, na których chętnie bym zagłosował. W Białostockiem z list KO kandyduje Eugeniusz Czykwin. Przedstawiciel białoruskiej mniejszości, redaktor naczelny „Przeglądu Prawosławnego”. Bardzo by się w nowym Sejmie przydał. Gdzieś z Oświęcimia, z list lewicy, startuje Paweł Jezierski. Młody chłopak, traktujący politykę jako służbę ludziom, ideowy socjalista i mimo młodego wieku doświadczony samorządowiec. Na nich głosować jednak nie mogę, bowiem nie kandydują z mojego okręgu. W Krakowie sprawa prosta. Nie muszę wybierać między Gowinem a Kowalem. Mogę zagłosować na Gdułę, który otwiera listę lewicy, a który zbałał swego

Coś na pocieszenie

Demokracja to lustro, w którym odbija się stan społeczeństwa i stan klasy politycznej. I tu jest problem.

A gdyby jeszcze udało się opozycji zdobyć większość w Senacie? To też jest w zasięgu możliwości. Ale bądźmy realistami. Nawet jeśli opozycja zdobędzie większość w Sejmie (co jest możliwe, choć – szczerze mówiąc – mało prawdopodobne), a także w Senacie (też możliwe i też mało prawdopodobne), to zwycięstwo będzie minimalne. I nawet gdyby opozycja dogadała się po wyborach (co też jest możliwe i mało prawdopodobne), nie będzie w stanie postawić nikogo przed Trybunałem Stanu. Nie będzie w stanie rozliczyć PiS ze wszystkich przypadków naruszeń konstytucji, nie mówiąc już o innych naruszeniach prawa. Trzeba będzie z tym żyć. A kryzys gospodarczy nadchodzi!

W Krakowie listę PiS otwiera panna Wassermanówna. „Smoleńska sierota”, nieskuteczna przewodnicząca sejmowej komisji śledczej w sprawie Amber Gold. Udało się jej w tej komisji, dzięki pomocy posła Suskiego, ustalić, że caryca Katarzyna nie żyje. Innych dokonań tej pani nie znamy. Drugi na liście jest Ryszard Terlecki, w czasach hipisowskich używający pseudonimu Pies. Kiedyś – jako hipis – miłośnik pełnej wolności, także seksualnej. Dziś – katolicko narodowy talib z obozu PiS, uważający manifestantów KOD za chuliganów.

Ostatni na liście PiS jest Jarosław Gowin. Niegdyś pieszczoł Tuska (kto go zrobił ministrem sprawiedliwości w rządzie PO?), dziś wicepremier pisowskiego rządu, głosujący (choć czasem – jak twierdzi – bez entuzjazmu) za każdym kretyństwem i świństwem wymyślonym przez PiS i poddanym w Sejmie pod głosowanie. Jako minister sprawiedliwości w rządzie PO nie refor-

czasu, czemu ludzie głosują na PiS, i ustalił, że nie chodzi wcale o symboliczne 500+, ale o „politykę godnościową” i hałaśliwy pseudopatriotyzm. Gdyby ten Gdula jeszcze w Krakowie jakąś kampanię prowadził! Ale nie prowadzi. I co mu zrobisz? A swoją drogą plakaty lewicy nie dość, że rzadkie, to jeszcze w upiornych kolorach. Kto to wymyślił?

Tymczasem zmarł Kornel Morawiecki. Marszałek senior obecnego Sejmu, poseł, prywatnie ojciec premiera, niegdyś twórca i przewodniczący Solidarności Walczącej. W ostatnich dniach dostał od prezydenta Order Orła Białego. PiS i wasalne mu media pod niebiosa wychwalają zasługi zmarłego i jego Solidarność Walczącą. Przedstawiają go jako czołowego antykomunistycznego opozycjonistę z Dolnego Śląska. Przy wszystkich zasługach Kornela Morawieckiego, doceniając jego poświęcenie i odwagę, pamiętać jednak trzeba, że Solidarność Walcząca była w ruchu Solidarności elementem rozłamowym (niektórzy podejrzewali, że inspirowanym przez MSW), sprzeniewierającym się ideałom Solidarności, do których należała pokojowa walka i narodowa zgoda. Na szczęście Solidarność Walcząca była jedynie ruchem marginalnym i o niewielkim znaczeniu.

Dziś etatowi fałszerze historii, którzy spychali na margines AK, wywlekając na plan pierwszy „żołnierzy wyklętych”, a Wałęsę chcieli zastąpić Lechem Kaczyńskim, próbując wielki i podziwiany przez świat ruch Solidarności skryć w cieniu marginalnej Solidarności Walczącej. Żalotne to i groteskowe.

Ale typowe. Żyjemy w czasach żalotnych i groteskowych. Ale nie musimy! Wystarczy, że mądrze wybierzemy w najbliższą niedzielę.

Bohater czeka na łaskę prezesa

Strażak z Olsztyna nie może się doprosić platformy schodowej, dzięki której mógłby wyjeżdżać z domu na wózku inwalidzkim

Marek Książek

Niemal pół wieku temu Artur Smolski cudem uniknął śmierci w tragicznym pożarze rafinerii Czechowice-Dziedzice. Z ciężko poparzonymi nogami i plecami trafił do szpitala. Ale ponad sześć lat temu miał mniej szczęścia – z powodu miażdżycy amputowano mu obie nogi. Przeważnie leży w łóżku lub krąży na wózku inwalidzkim po małym mieszkaniu na ósmym piętrze spółdzielczego bloku. Na dwór pan Artur wyjść nie może. Mógłby zjechać na parter windą, ale nie da rady pokonać ostatnich sześciu schodków na dole. Chyba żeby zainstalować pomost, po którym zjechałby do drzwi głównych budynku. I tu zaczynają się... schody!

Siedem tysięcy na pochówek

Tamtego wieczoru 26 czerwca 1971 r. cała Polska czekała na transmisję festiwalu piosenki polskiej w Opolu. Także strażacy z olsztyńskiego Stomilu biorący udział w centralnych zawodach zakładowych jednostek samoobrony przemysłu chemicznego w Bielsku-Białej. Byli już po pierwszym dniu zgrupowania, gdy o godz. 19.50 dostrzegli na niebie małą chmurę, z której nagle strzelił piorun i od strony odległej o kilkanaście kilometrów rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach buchnęła w górę potężna smuga dymu. Większy wstrząs przeżyli strażacy zakładowej jednostki rafinerii, którzy z bliska ujrzeli błysk, a chwilę potem płomień na kopule jednego ze zbiorników. Alarm podesłał strażaków zawodowych i ochotników z całej okolicy, również tych ze zgrupowania w Bielsku-Białej.

Dwie olsztyńskie grupy, żeńska i męska, mające tylko sprzęt cwi-

czebny, dostały zadanie schładzania jednego z czterech zbiorników, na które mógłby przerzucić się płomień.

– Około północy wyczułem, że za chwilę nastąpi pierwszy przezzut. Pałący się baniak tak stękał pod wpływem pary wodnej, że spodziewałem się najgorszego. Czułem, że grzyb powstały z ropy naftowej spadnie prosto na nas i nie będzie szans ucieczki –



wspomina pułkownik pożarnictwa Antoni Bogdan, wówczas w stopniu kapitana dowodzący męską grupą z Olsztyna. Zarządził zbiórkę w takim miejscu, z którego łatwiej byłoby uciec. Miał dobre wyczucie; nastąpił wybuch, potem drugi i miliony litrów płynnego ognia pokryły obszar na odległość 150 m od płonącego zbiornika.

– Podmuch odrzucił mnie do drugiego zbiornika, ale po chwili już uciekałem. Po drodze do ogrodzenia, za którym byłbym bezpieczny, zrzuciłem



Artur Smolski w mieszkaniu na ósmym piętrze... i przed pożarem rafinerii, rok 1971.

ubrania, aż w końcu zostałem tylko w kąpielówkach. Już w szpitalu dowiedziałem się, że wtopiły mi się w ciało. A były to całkiem nowe kąpielówki – żartuje po latach Artur Smolski. Na zachowanym zdjęciu widać, jak bez ubrania, tylko w berecie, butach, krawacie i w owych eleganckich majtkach z przypiętym pasem strażackim pozuje z zawadiackim uśmiechem na twarzy i ze strażackim toporkiem w ręku. Taki był wtedy z niego kozak. Zdjęcie powstało kilkanaście godzin przed tragedią, w której zginęło 37 osób, w tym dwie młode kobiety z olsztyńskiego Stomilu (zabrakło im 10 m, aby się uratować). Pan Artur miał wtedy 33 lata, był wysportowany, wyćwiczony nie tylko w gaszeniu pożarów, ale także w szybownictwie, skokach spadochronowych i żeglarsztwie. Początkowo koledzy sądzili, że zginął przykryty piekielną cieczą, która zalewała wszystko wokół zbiornika. Uratowali go jednak lekarze ze Śląskiej Akademii Medycznej. A został już spisany na straty. Dostał nawet 7 tys. zł na własny pochówek.

O tragicznym pożarze w rafinerii słyszała cała Polska. Ale dopiero po latach szczegóły i wspomnienia uczestników wydarzenia ujrzały światło dzienne. Powstał np. album autorstwa Michała Kobieli „Tym, którzy odeszli”. Pożar wybuchł w wyniku wyładowania atmosferycznego podczas niewielkiej burzy, jaka przeszła wieczorem 26 czerwca nad czechowską rafinerią. Piorun uderzył w kominiek oddechowy zbiornika nr 251. Mimo ogromnych strat materialnych i w ludziach komisja Komendy Głównej Straży Pożarnej uznała, że akcja ratownicza była skuteczna, a braki w wyposażeniu ratownicy nadrabiali wielką ofiarnością. Dwie nieżyjące kobiety z Olsztyna otrzymały Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski, a pozostali Złote Krzyże Zasługi, medale za odwagę, odznaczenia resortowe i nagrody pieniężne po 2 tys. zł. O Arturze Smolskim zapomniano. Krzyż Kawalerski dostał dopiero w 1978 r. na centralnych dożynkach w Olsztynie.

Uwięziony we własnym mieszkaniu

Wszystko można powiedzieć o dzisiejszym 80-latk, tylko nie to, że łatwo poddaje się losowi. Pomimo inwalidztwa i podeszłego już wieku nie traci poczucia humoru, chociaż wścieka się, kiedy rozmowa schodzi na temat platformy schodowej. Czyli urządzenia, po którym mógłby wyjechać przed blok, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Pomysł jest prosty i niezbyt kosztowny, o czym prezesów spółdzielni mieszkaniowej próbują przekonać przyjaciele Smol-

skiego. W tym jego były dowódca płk w st. spocz. Antoni Bogdan i Jerzy Zofka, szef Klubu Seniorów Lotnictwa. Ten drugi w piśmie z lutego br. do prezesa SM Pojezierze Wiesława Barańskiego tak uzasadnia potrzebę zainstalowania urządzenia: „Pan Artur jest człowiekiem samotnym (...). Protezy nie umożliwiają inwalidzie samodzielnego poruszania się i utrzymania równowagi. Po mieszkaniu porusza się na wózku, natomiast istniejąca w klatce schodowej bariera architektoniczna wyklucza wydostanie się z budynku

Platforma ma kosztować 45 tys. zł. Spółdzielnia nie chce jej zainstalować, bo za droga. Tymczasem media ujawniły, że prezes Pojezierza zarabia miesięcznie co najmniej 50 tys. zł.

na zewnątrz bez taragarzy. Winda pozwala na zjechanie do poziomu parteru, ale aby wyjechać z budynku, konieczne jest jeszcze pokonanie sześciu stopni schodów (...). Jest szansa, aby po sześciu latach uwięzienia ten samotny człowiek, tak boleśnie doświadczony w pomaganiu innym, mógł samodzielnie wyjechać na swoim wózku inwalidzkim na okoliczne ścieżki pięknie zagospodarowanych terenów zielonych swojego osiedla, a także zobaczyć, jak Olsztyn w ciągu tych sześciu lat się zmienił”.

Jednak wyraźny ukłon pod adresem zarządu spółdzielni nic nie dał, bowiem nadawca otrzymał odpowiedź zastępcy kierownika administracji osiedla (tam sprawa trafiła), że instytucją właściwą „i posiadającą środki finansowe” do udzielenia pomocy panu Arturowi jest Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełno-

sprawnych. A tak w ogóle wymiary klatki w bloku nie pozwalają na montaż takiej platformy, bo spowodowałoby to zawężenie minimalnej szerokości biegu schodowego. Zupełnie inne zdanie ma producent platformy schodowej z Warszawy, który oświadczył, że nie ma żadnych przeciwwskazań do jej zainstalowania. Szerokość złożonej platformy schodowej wynosi bowiem tylko 32 cm. Nie przeszkodzi to w wychodzeniu z bloku pełnosprawnym mieszkańcom, a nawet – gdyby mieli coś przetransportować – pomoże.

Antoni Bogdan i Jerzy Zofka nie ustępowali i próbowali się dostać do prezesa Barańskiego, ale on nie miał dla nich czasu. Trafili w końcu do Andrzeja Mroza, jego zastępcy ds. technicznych. Przekonywali go dwie godziny – bez skutku. Według spółdzielni montaż urządzenia ma kosztować ok. 60 tys. zł, a kierownictwo Pojezierza boi się chyba precedensu; zamontuje platformę dla jednego inwalidy, a zażądają takiej również inni. Ta kwota jest jednak zawyżona, bo producent podaje cenę 45 tys. zł. Tymczasem prezes Barański, jak ostatnio ujawniły media, zarabia miesięcznie co najmniej 50 tys. zł.

Na nasze pytanie o możliwość zainstalowania platformy wiceprezes Andrzej Mróz przytoczył identyczną odpowiedź, jaką otrzymał Jerzy Zofka. Można powiedzieć – wprost z powielacza. ■

Hanna Hartwig

Tłusty chłopczyk siedzi na grzbiecie osiołka. W rękę trzyma długi patyk, do którego uwiązany jest pęk dorodnych marchewek. Macha nim przed nosem osiołka, który ma zasłonięte oczy. Zwierzak czuje zapach świeżej marchwi, myśli, że dzieli go od niej jeden krok. Nie wie, że krok dalej urywa się łąd, daleko w dole widać grzbiety fal... Skafy Dover? Chłopczyk ma dorosłą twarz, zblazowaną twarz Borisa Johnsona. Ale nie maluje się na niej upór ani desperacja. Raczej ciekawość.

Pytany kiedyś przez dziennikarkę, czy marzy mu się kariera premiera, Johnson zapewniał, że „ani mu się śni”. Że to równie prawdopodobne, jak jego ponowne przyjsięcie na świat jako powtórki Michaela Jacksonego. Albo że wyrośnie jako drzewo oliwne.

Trzy lata temu, gdy Brytyjczycy opowiadali się w referendum za pozostaniem w Unii Europejskiej lub przeciw niemu (a różnica stanowisk była bardzo niewielka), Boris Johnson podobno napisał dwa teksty. Na jednej kartce – plusy i minusy wynikające z przynależności do UE, na drugiej – z wystąpienia ze Wspólnoty. I ponoć wyszło mu, że głosowanie „Leave”, za wyjściem z UE, zapowiada się ciekawiej, bardziej dramatycznie, niż „Remain” (Pozostać).

Szefem i głównym strategiem ruchu „Leave!” był Dominic Cummings. Przez niektórych podziwiany jako „genialny mózg”, który potrafi przewidzieć wiele ruchów z góry i wie, jakie argumenty propagandowe wpłyną na konkretnych wyborców. Przez innych uważany niemal za Mefistę, złego czarnoksiężnika. To on wpadł na pomysł namalowania na boku autobusu wielkimi literami napisu „CO TYDZIEŃ WYSYŁAMY DO BRUKSELI 350 MLN FUNTÓW”. Antyunijny napis oburzył wielu Anglików, a bardzo niewielu mogło sprawdzić te dane (były fałszywe).

Wtedy Boris Johnson był znanym dziennikarzem, wydawcą konserwatywnego pisma „Spectator”. Zaczął jednak karierę w Partii Konserwatywnej, gdzie wkrótce zyskał popularność jako błyskotliwy mówca. Anglikom podobały się jego oryginalne, złośliwe odzywki, zabawny wdźwięk



BoJo i insygnia korupcji

Rząd premiera Johnsona utajnia raporty o spodziewanych po brexicie brakach żywności, nauczycieli i leków oraz zatorach na granicy

niezdarne niedźwiedzia, wreszcie matka, która mimo psychicznych zaburzeń jest znaną, interesującą malarką. Podobała się nawet demonstrowana przez niego czasem arogancja i bezczelność. Został burmistrzem Londynu, popularnym mimo wątpliwej prawdomówności i licznych gaf.

„Swoj” burmistrz

Te gafy przeszły do historii. Kiedyś jako burmistrz Londynu oburzył się, gdy Donald Trump nazwał Londyn „niebezpiecznym miastem”, i zapewniał, że sam unika niektórych dzielnic Nowego Jorku, „bo można tam spotkać Donalda Trumpa” (dziś obaj panowie ponoć już się lubią). Putina porównywał do smutnego skrzata domowego Zgredek z sagi o Harry’em Potterze (nie omieszczał jednak zaznaczyć, że ten Zgredek jest tyranem). Na wiadomość o zatruciu w Salisbury dawnego rosyjskiego agenta Skripala i jego córki już jako minister spraw zagranicznych udał się tam, by później zapewniać prasę, że fachowcy rozpoznali truciznę

jako pochodzący z Rosji gaz bojowy. Wściekły na niespodziewaną sławę cytowany szef pobliskiej bazy wojsk chemicznych w Porton Down musiał prostować, że niczego takiego nie mówił. Tylko że podobny gaz produkowano wiele lat temu w byłym ZSRR (ówcześni chemicy szybko znaleźli później pracę na Zachodzie). Raz Johnson skrytykował nawet torysów jako partię, w której „szerzy się kanibalizm, orgie i morderstwa kolejnych kacyków, jak w Nowej Gwinei”. Gdy Nowa Gwinea zaprotestowała, Johnson wyznał, że jego źródłem był stary album.

Za kolejne gafy Boris beztrząsco przeproszał i wspinał się wyżej po stopniach partyjnej kariery, aż został szefem rządzącej partii, premierem i szermierzem brexitu. A głównym strategiem rządzącej ekipy, jej mózgiem, został właśnie Dominic Cummings. Ubrany w koszulkę i dżinsy ten „karierowicz psychopata” – jak ocenia go były premier David Cameron – nie ukrywa, że lekceważy urzędników i posłów. Uważa się za bardziej inteligentnego od nich. Gdy grupa posłów zwróciła się do

niego, prosząc o wyjaśnienie, jaki jest stan rozmów z Unią Europejską, Cummings reagował zagranym oburzeniem: – A kim wy, panowie, do diabła jesteście?

O technicznych szczegółach umów łączących jego kraj z Unią sam Johnson nie ma podobno zielonego pojęcia. Ujawnił to niebacznie w niedawnym wywiadzie dla BBC. Z patosem opowiadał, że „nadszedł czas na ruch Mojżeszowy, na wyprowadzenie naszego narodu z brukselskiego domu niewoli”. Natomiast pytany o konsekwencje dla brytyjskiej gospodarki, Johnson machał ręką: kto by się przejmował gospodarką? – *Fuck business!*, kwitował. (Zdaniem ekspertów sam port Dover straci na brexicie miliard funtów tygodniowo).

– Ależ oczywiście – mówili ugodowo zwolennicy premiera. – W listopadzie Boris na pewno poprosi o kilka dodatkowych tygodni, potrzebnych do ustalenia szczegółów brexitu. Ale zaczekajmy, uczestnicy rozmów przecież twierdzą, że robią duże postępy.

– Postępy? – dziwili się delegaci UE. – Jakie postępy? Przecież ludzie Johnsona tylko markują rozmowy. Tak naprawdę nie chcą niczego negocjować, a tylko zmęczyć i wystawić do wiatru własną opozycję.

A strona unijna? Chyba przejrzała tę grę. W każdym razie nie daje żadnego pretekstu do urazy, do zerwania rozmów. Na wiadomość o wyborze Borisa Johnsona na premiera Angela Merkel serdecznie mu gratulowała i cieszyła się na dalszą współpracę. Ani słowa o brexicie. Prawie w tych samych słowach gratulowała mu przewodnicząca KE Ursula von der Leyen.

Wystawić do wiatru nie dał się też brytyjski Sąd Najwyższy. Widać w Anglii trzeba ukończyć z wyróżnieniem kilka ekskluzywnych uczelni, a przy tym być blisko 74-letnią arystokratką i baronessą, by precyzyjnie wyjaśnić rodakom, czym jest demokracja. W tej roli przewodnicząca SN lady Hale dokładnie wyjaśniła posłom jednomyślny wyrok sądu, który w pełnym składzie uznał, że premier zamknął usta posłom na pięć tygodni ze szkodą dla demokracji i wprowadził monarchię w błąd. Toteż sąd tę decyzję premiera i zgodę królowej unieważnia. – Należy to rozumieć tak – mówiła lady Hale – jakby wysłanni-

cy Jej Królewskiej Mości przyszli do parlamentu z pustą kartką papieru.

Zwycięstwo? Owszem, postowie znów zasiedli w obitych zieloną skórą ławach poselskich Pałacu Westminsterskiego. Boris Johnson prosił o rozmowę z królową, by ją przeprosić i tłumaczyć, że nie chciał jej okłamać, skądże. Ale zaraz potem wrócił, by pomstować na „zdrajców i zaprzańców”, którzy nie chcą wypełnić woli narodu. Zaklinał się: – Prędeż padnę trupem i legnę w przydrożnym rowie, niż udam się prosić o przedłużenie terminu rozmów do Brukseli.

Mowa nienawiści z trybuny

– Proszę, niech pan zmieni słownictwo – apelowała posłanka Paula Sherriff – ta mowa nienawiści: zdracy, hańba, wojna, kapitulacja, skłóca naród. Krew, pot i łzy – to była wojenna retoryka Churchilla, ale obecnie mamy czasy pokoju. Ludzie dzwonią, znieważają, atakują na ulicy mnie i innych posłów. Cytują pana słowa!

Na co premier Johnson odpowiedział buńczucznie: – Rzadko zdarzało mi się słyszeć większy humbug!

Jak doniosły gazety, ktoś podsłuchał „Mefista” Cummingsa, który w zaufanym gronie chwalił się skłóceniem Brytyjczyków. Mówił, że każda przegrana Johnsona, każdy zadany

uczmy pamięć Jo Cox, głosując zgodnie za brexitem. Cynizm tej odpowiedzi oburzył nawet Rachel Johnson, siostrę premiera. Bo zamordowana przed referendum posłanka Partii Pracy była właśnie przeciwniczką brexitu. Sprawca zbrodni, prawicowy ekstremista, przechwalał się w sądzie: – Nazywam się Śmierć Zdrajcom, Wolność dla Wielkiej Brytanii.

Magiczna data

Tymczasem rząd premiera Johnsona ignoruje wszystkie ostrzeżenia przed brexitem bez umowy (No Deal). Utaśnia raporty o spodziewanych brakach żywności, zatorach na granicy, ostrzeżenia, że w szkołach zabraknie nauczycieli, a w aptekach – leków. Właściwie dla czego, skoro rozmowy idą ponoć tak dobrze, a porozumienie mogłoby zostać wkrótce zawarte? Skąd ten upór, by brexit nastąpił dokładnie 31 października 2019 r.? Komu mogłoby na tym zależeć?

A jednak. Komuś mogłoby zależeć na szokowej zmianie. Były kanclerz skarbu Philip Hammond domaga się śledztwa w sprawie konfliktu interesów. Bo kto mógłby zyskać krocie na załamaniu kursu waluty i galopującej inflacji? Wielcy spekulanci finansowi i międzynarodowe

Ktoś podsłuchał Dominica Cummingsa, który w zaufanym gronie chwalił się skłóceniem Brytyjczyków.

mu cios tak naprawdę umacniają jego pozycję: ludzie mają dość niekończących się rozmów, parlamentu, elit, rządzących. Ataki na Johnsona to dla nich atak na zwykłego, szarego Brytyjczyka. Nikt już nie patrzy na to, że Boris Johnson od urodzenia należał do elit, że tak naprawdę nic go nie obchodzi sytuacja w służbie zdrowia. Ludzie chcą wierzyć, gdy premier zapewnia, że „Boris jest z narodem”, i „nigdy Brytyjczyków nie zdradzi”.

Na posiedzeniu o tej skłócającej naród, celowo używanej mowie nienawiści, Johnson już nie był obecny. Nie słuchał, jak posłanka Partii Pracy Jess Phillips zapewniała: – Ja nie boję się wyniku wyborów. Boję się, że zostanie zamordowana.

Potem na wzmiankę o zabitej posłance Jo Cox i o mowie nienawiści Boris Johnson powiedział: – Najlepiej

spółki hedgingowe, które z dnia na dzień na giełdzie zarobiłyby miliony. Tymczasem właśnie takie spółki należą do grona sponsorów rządu Borisa Johnsona, a wcześniej ruchu „Vote leave” na rzecz brexitu. W obu wypadkach mózgiem był cyniczny „genialny strateg”, Dominic Cummings. Z podobnym apelem występuje wielu posłów. Wśród nich – Guto Bebb, były torysowski minister, wyrzucony z partii za niezgodę na brexit. Mówi on: – Premier powinien stawiać na pierwszym miejscu interes kraju, a nie sprzyjać finansowej bonanzie garstki ludzi.

Matka Borisa Johnsona zawsze powtarzała, że jej najstarszy syn to „taki dobry chłopak”. A sam Johnson zapewnił ostatnio, że jego „kochająca, czuła natura” powróci. Zaraz po brexicie. ■

Beata Dżon-Ozimek

Korespondencja z Wiednia

Już w niedzielne popołudnie 29 września Austriacy dowiedzieli się, jak wygląda polityczny obraz ich kraju po 27. wyborach do parlamentu w II Republice. Lokale zamknięto bowiem o godz. 17. Głosowanie odbyło się w połowie kadencji parlamentu, po zaledwie 17 miesiącach rządów koalicji Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP) i Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ). Przedterminowe wybory były skutkiem skandalu na Ibiza, który skompromitował polityków FPÖ (pisaliśmy w tym w PRZEGŁĄDZIE nr 22). Tym razem do urn poszło 75,5% uprawnionych, mniej niż dwa lata temu, kiedy głosowało 80% wyborców.

Nie ucierpiał na tym stary i wkrótce nowy kanclerz, 33-letni Sebastian Kurz. Ze swoimi turkusowymi zdobył 37,5% głosów (w 2017 r. – 31,5%). Kiedy patrzy się na kolorową mapę wyników wyborczych, to Austria jest teraz turkusowa. Na tym tle wyróżniają się cztery czerwone wysepki – socjaldemokraci wygrali w Wiedniu, Linzu, Wels i Steyr. Konserwatywna ÖVP zostawia konkurencję z tyłu dzięki znakomicie promowanej marce Kurz i wykorzystywaniu społecznych nastrojów po skandalu FPÖ.

Zieloni jak Feniks z popiołów

Największym wygranym jest partia Zielonych. Przed dwoma laty nie przekroczyła progu wyborczego i po raz pierwszy od 1986 r. jej przedstawiciele nie zasiedli w izbie niższej. Teraz

Sebastian Kurz jest mistrzem autokreacji w internecie, świetnie promowaną marką w mediach społecznościowych.

tamten kompromitujący wynik poprawiła aż o 10 punktów procentowych, zdobywając 13,08% głosów.

W 2017 r. przywództwo partyjnego nieboszczyka, jakim byli Zieloni po wyborczej klęsce, przejął 58-letni Werner Kogler, wieczny numer 2 w partii. W ciągu dwóch lat wspólnie z oddanymi ideom działaczami wypracowali triumfalny powrót do parlamentu, a nawet możliwość współrządzenia. Analiza błędów, rozstania personalne, programy naprawcze, autentyczna, oddolna harówka partyjna bez



Sebastian Kurz ze swoimi turkusowymi zdobył 37,5% głosów.

Druga szansa Kurza

Do parlamentu w Wiedniu wracają Zieloni. Ale rząd będzie tworzył najmłodszy starszy kanclerz Europy – 33-letni lider ÖVP

państwowych dotacji – wszystko to przyniosło rezultaty. Doszły oczywiście aktualne lęki o stan planety, regularne piątkowe protesty przeciw katastrofie klimatycznej, świadomość społeczeństwa, a także brak reprezentacji mniejszości w parlamencie. Wyborcy dostrzegli, że głos Zielonych musi być obecny w polityce. Żaden z liczących się polityków nie ośmielił się w Austrii publicznie powiedzieć,

gotowi do rozmów z ÖVP. Ich udział w rządzie to szansa na zdrowie i życie dla następnych pokoleń. Bo – jak głoszą w swoim hasle – nie ma żadnej planety B.

Porażka nacjonalistów

Wielu martwi najsłabszy w historii wynik socjaldemokratów z SPÖ – 21,2%, o ponad 5 punktów procentowych mniej niż w roku 2017. SPÖ notuje spadek notowań od 17 lat. Ale dzieje się tak nie tylko w Austrii, lewica wszędzie szuka swojego miejsca. Wyborcy odwrócili się od niej w kierunku Zielonych i różowych, liberalnej partii Neos.

Na czele zarówno SPÖ, jak i Neos stoją kobiety. Szefową socjaldemokratów jest lekarka i akademiczka Pamela Rendi-Wagner, Neos kieruje prawniczka, doświadczona parlamentarzystka Beate Meinel-Reisinger. Rendi-Wagner nie tylko nie ma pełnego wsparcia w szeregach swojej partii, ale też nie budzi zaufania wyborców jako przywódczyni „czerwonej” partii. Inaczej jest w przypadku Meinel-Reisinger, która uchodzi za wiarygodną

że zmiany klimatyczne to mrzonki czy histeria nastolatki, jak beczelnie mówią polskie polityczne dinozaury i świadomi manipulatorzy. Lata pracy partii, poważnego traktowania „zielonych” tematów robią swoje.

Wielką w tym zasługą także polityczki polskiego pochodzenia, jedynej kobiety z partii Zielonych w Senacie przez ostatnie dwa lata, dr Ewy Ernst-Dziedzic, dziś posłanki wybranej z drugiego miejsca w Wiedniu.

Pierwsze dni po wyborach są pełne zebrań, narad, dyskusji. Zieloni są

i odpowiada wizerunkowi partii liberalnej. Od powstania w 2012 r. różowi stale zwiększają swój udział w parlamencie, obecnie zdobyli 8,1%, gdy w 2017 – 5,3%.

Największym przegranym jest nacjonalistyczna prawicowa FPÖ, do maja współrządzająca krajem z ludowcami. Zdobyła tylko 16,2% głosów (w 2017 r. – 26%). Pogrzeżył ją nie tyle skandal, który obciąża głównie byłego już szefa partii Heinza-Christiana Strachego, ile pieniądze płynące z kasy partii do niego – dodatki mieszkaniowe po 2,5 tys. euro, 10 tys. euro na wydatki – i jego żony, „honorowej” pełnomocniczki FPÖ ds. zwierząt, Philippy Strache, która otrzymywała wypłaty po 10-15 tys. euro. Mówi się o sportowych torbach pełnych

jąc się rodziną, nie wiadomo tylko, co na to jego żona. Philippa Strache, której udało się wejść do parlamentu, jeszcze w poniedziałek po wyborach zapewniała, że odda mandat, bo nie chce reprezentować partii niszczącej dobre imię jej męża, ale już we wtorek zmieniła zdanie. 32-latką, była modelką z maturą, będzie walczyć o prawa zwierząt w parlamencie. Tym razem za 8755,80 euro miesięcznie.

Jak się zostaje zwycięzcą

Dwa dni po wyborach dymisję swojego tymczasowego rządu złożyła na ręce prezydenta pierwsza w historii Austrii kanclerka, Brigitte Bierlein. Alexander Van der Bellen bardzo chwalił pracę tego niemal

nauczony wielkiej ostrożności w dobieraniu koalicjanta, nie będzie się śpieszył, by nie ryzykować kolejnego przedwczesnego oddania władzy.

Świetny austriacki komik Michael Niavarani nazwał Sebastiana Kurza „Gabalierem austriackiej polityki”. Andreas Gabalier to najpopularniejszy austriacki volksmusikant, taki disco-polowiec w rytmie folk, co to rokenroluje, jodłuje w portkach ze skóry i koszuli w kratkę, przeży mięśnie, seksownie się rusza i nosi fryzurę à la austriacki Elvis. Na jego widok mdleją i panny, i babki z prawicy. Podobnie było z Kurzem w 2017 r., kiedy roztaczał urok najmłodszego kanclerza. Teraz ma nową rolę: będzie musiał przywyknąć, że jest „najmłodszym starym kanclerzem Europy”, jak pisze tygodnik „Profil”. Dwa lata temu był odnowicielem, teraz walczył o głosy jako ofiara nieuczciwego, upadłego koalicjanta, FPÖ. Krytycy uważają, że Kurz jest mistrzem pozorów – takie były jego reformy i działania jako kanclerza. Choć „Czaruś”, jak pisze o nim prasa, stara się robić wrażenie kompetentnego. Lubi mówić: „wespę się faktami”, „moje stanowisko jest jasne”, „to ważny temat, który dotyczy wszystkich” albo „który traktuję poważnie”. Jest mistrzem autokreacji w internecie, świetnie promowaną marką w mediach społecznościowych. I to wystarczyło, by znokautować resztę sceny politycznej.



Zieloni mieli się z czego cieszyć. W środku Werner Kogler, u jego boku z prawej – posłanka Ewa Ernst-Dziedzic.

gotówki dla Strachego za tę czy inną przysługę, np. umożliwienie zakupu hotelu w Wiedniu. To wszystko pojawiło się w mediach krótko przed wyborami i najwyraźniej zniechęciło wyborców. Obok sportowej torby symbolem finansowej prywaty czołówki FPÖ stał się także płot. W 2016 r. z partyjnych pieniędzy zbudowano wysokie ogrodzenie wokół domu obecnego przewodniczącego FPÖ Norberta Hofera, wtedy kandydata na prezydenta. Uzasadniano to względami bezpieczeństwa.

Heinz-Christian Strache dwa dni po klęsce wyborczej złożył legitymację i ogłosił wycofanie się z polityki. Uprowadził tym wydalenie go z partii przez szefa FPÖ Norberta Hofera. Jeśli ktoś szuka sensacji, to internetowa domena liste-strache.at jest już zarezerwowana i mogłaby być nazwą ewentualnej nowej partii Strachego. Ale były lider podobno zamierza za-

Obserwatorzy spodziewają się, że negocjacje i konstruowanie rządu mogą potrwać nawet do Wielkanocy.

niewidzialnego (idę o zakład, że ma to który Austriak potrafi wymienić nazwiska tymczasowych ministrów) rządu, który po prostu pracował w zaciszu gabinetów. Z ust prezydenta padły znamienne słowa: „Nie ma znaczenia, jaki rząd powstanie i w jakiej konstelacji, będzie się musiał zająć globalnym kryzysem klimatycznym”. Wyraźnie wskazuje to na kierunki, w których dojrzała polityka, nie tylko austriacka, powinna zdążać.

Teraz rozpoczyna się skrupulatne badanie możliwości i kosztów zawiązania najróżniejszych koalicji. Rozgrywającym będzie oczywiście zwycięzca, młody lider ÖVP Sebastian Kurz. Obserwatorzy spodziewają się, że negocjacje i konstruowanie rządu mogą potrwać nawet do Wielkanocy. Kurz,

Nowy-stary kanclerz Kurz chce rozmawiać ze wszystkimi, ale FPÖ z oczywistych względów mości się już na opozycji. ÖVP z SPÖ dzieli tyle, ile nigdy wcześniej. Teoretycznie możliwa, ale niełatwa jest koalicja ÖVP, Zieloni i Neos. Opozycja SPÖ i FPÖ nie mogłaby zagrozić w izbie niższej, ale ma większość w Senacie, co mogłoby utrudniać prace rządu. Jeszcze drobiazg: konstytucja austriacka przewiduje jednego wicekanclerza, a w przypadku trójkąta byłoby ich dwóch. Tak naprawdę do parlamentarnej większości wystarczy ÖVP koalicja tylko z Zielonymi, mają 97 głosów przy wymaganej większości 92 posłów. Sebastian Kurz na pewno ten temat potraktuje bardzo poważnie, to jego druga szansa. ■



Aktywiści nowych czasów

Na całym świecie ruchy społeczne próbują znaleźć sposób na cyfrowe formy inwigilacji

Mateusz Mazzini

Każdy, kto ma dziś styczność z nastolatkami, słyszał już zapewne o TikToku. Aplikacja nazywana nowym Facebookiem jest w tej chwili najszybciej rozwijającym się medium społecznościowym. Zgromadziła już ponad 500 mln użytkowników na całym świecie. Funkcjonuje na dość prostej zasadzie: użytkownicy platformy nagrywają krótkie, najczęściej kilkunastosekundowe filmy, w których odtwarzają sceny z filmów lub muzycznych wideoklipów albo po prostu tańczą lub wygłupiają się w rytm podłożonej ścieżki dźwiękowej.

Ethan Druck, 16-latek z Garland w Teksasie, na pierwszy rzut oka nie odstaje od innych TikTokersów. Na jego profilu znaleźć można głównie choreografie do popowych klasyków. Z tą różnicą, że chłopak układa je, nawiązując do bardzo drażliwego w USA tematu – strzelanin w szkołach. Podkłada dźwięki serii z karabinów maszynowych, podskakuje ze strachu, wchodzi pod biurko. Pytany przez reporterów CNN o motywy takiej działalności, Druck powiedział, że pcha go wewnętrzna chęć zaprote-

stowania przeciwko aktom przemocy w amerykańskich szkołach. I nie jest w tym osamotniony. Trend nagrywania protestacyjnych wideoklipów przez nastolatków z USA jest w tej chwili jednym z najpopularniejszych zjawisk w amerykańskich mediach społecznościowych. Karmi się strachem, żalem po utracie kolegów, ale przede wszystkim bezsilnością. I choć po strzelaninie w szkole w Parkland na Florydzie w walentynki zeszłego roku, kiedy zginęło 17 uczniów, nastolatki z całego kraju stworzyły ruch o nazwie „Marsz dla Naszych Życ”, maszerując na Waszyngton i domagając się zmian w prawie o dostępie do broni, władze federalne ignorują ich krzyk. Protest przeniósł się zatem do sieci. Niekoniecznie skuteczny, ale niosący bardzo silny przekaz.

Kto był naprawdę w Standing Rock?

Nie tylko jednak amerykańskie nastolatki wykorzystują wirtualną przestrzeń do kontestowania rzeczywistości. Protesty w mediach społecznościowych są od kilku lat stałym elementem debaty publicznej w Wenezueli. Przeciwnicy reżimu Nicolása

Madura zapoczątkowali w 2017 r. akcję rozbierania się przed internetowymi kamerami i wrzucania do sieci swoich nagich fotografii. Ich nagość miała być symbolem godności – ostatniej warstwy życia, której dyktatura Madura nie była w stanie zabrać ani sponiewierać. – Nie mamy już nic – pracy, pieniędzy, jedzenia. Ale mamy nasze ciała, to ostatnia granica między nami a reżimem – mówiła reporterom agencji Reutersa Silvia, jedna z antyrządowych aktywistek, biorąca udział w nagim proteście. – To nasza nowa forma protestu. Zdecydowaliśmy się na nią, bo tylko w ten sposób świat zwróci na nas uwagę.

Internetowy aktywizm nie zawsze ogranicza się do symbolicznych przekazów. Sieciowi działacze coraz częściej wchodzą w zwarcie z władzami, zwłaszcza tam, gdzie władze ich inwigilują i gromadzą dane o nich. A to wbrew pozorom nie jest jedynie domeną krajów autorytarnych. W Stanach Zjednoczonych służby federalne od dawna używają danych z mediów społecznościowych do śledzenia podejrzewanych przez siebie obywateli. Coraz więcej osób spekuluje jednak, że robią to też w celu zbierania danych o antyrządowych

Protestujący w Hongkongu używają parasolek, by osłaniać się także przed rządowymi kamerami.

protestach. Media społecznościowe miały być źródłem informacji m.in. o osobach próbujących zablokować budowę rurociągu Dakota Access Pipeline w październiku 2016 r. Instalacja miała przebiegać przez rezerwat indiański Standing Rock i przecinać miejsca pochówku rdzennych mieszkańców tych terytoriów. Bezwarunkowe poparcie Donalda Trumpa dla projektu wywołało protesty aktywistów z całego kraju, którzy masowo zaczęli przyjeżdżać do Standing Rock. Aby jednak agenci federalni nie wiedzieli, kto tak naprawdę jest obecny w rezerwacie, popierający protesty użytkownicy mediów społecznościowych na całym świecie zaczęli oznaczać się na Facebooku, Twitterze i Instagramie jako przebywający na terenie budowy. Ta prosta manipulacja nie tylko wielokrotnie zwiększyła zasięg informacji o proteście na tych wszystkich portalach, ale także utrudniła służbom ustalenie tych, którzy naprawdę przebywali w Dakocie Południowej. Oczywiście władze federalne po jakimś czasie zapewne rozwinęły odpowiednie narzędzia pozwalające obejść fałszywe logowania w Standing Rock, jednak pierwsza fala tego międzynarodowego aktywizmu zdała egzamin.

Parasolka kontra kamera

Pod koniec sierpnia pojawił się w internecie wideoklip, który szybko stał się wizualnym symbolem protestów od kilku miesięcy wstrząsających Hongkongiem. Wielotysięczne tłumy mieszkańców dawnej kolonii brytyjskiej manifestują swój sprzeciw wobec ustawy umożliwiającej ekstradycję z Hongkongu do Chińskiej Republiki Ludowej. Na nieco ponad półminutowym filmie widać grupę zamaskowanych aktywistów, którzy dość prymitywnymi narzędziami przecinają i obalają na ziemię stojący przy drodze wysoki biały słup. Na pierwszy rzut oka wygląda, jakby niszczyli zwykłą uliczną latarnię.

W opisie klipu, podanego dalej kilkaset tysięcy razy na Twitterze i Facebooku, autor zamieścił jednak informację, że aktywiści tak naprawdę niszczą nie latarnię, ale „wieżę nadzorującą”. W jednym z najgęściej zalud-

nionych obszarów na świecie latarnie są bowiem bardzo często wyposażone w wiele dodatkowych urządzeń. Najczęściej są to kamery drogowe, które służą również za fotoradary, ale też urządzenia do monitorowania ruchu i zbierania danych infrastrukturalnych. Latarnie w Hongkongu mają też czujniki jakości powietrza, baterie słoneczne i routery udostępniające bezprzewodowy internet.

Antyekstradycyjni aktywiści wyszli jednak z założenia, że te urządzenia przestały już pełnić rolę czysto infrastrukturalną. Skoro ich własny rząd rozważał ekstradycję obywateli do Państwa Środka, dlaczego miałby nie udostępniać Pekinowi danych z ulicznych latarni?

Dla jasności – do dzisiaj nie znaleziono jednoznacznych dowodów na to, że władze Hongkongu zamieniły latarnie w urządzenia do inwigilacji. Nietrudno jednak wyobrazić sobie, że taką operację można byłoby przeprowadzić bez najmniejszego problemu.



Ethan Druck protestuje przeciw przemocy w amerykańskich szkołach.

Lęki aktywistów były poniekąd uzasadnione, bowiem rząd w Pekinie jest absolutnym liderem w używaniu nowych technologii do inwigilacji obywateli. W Państwie Środka od dawna używa się publicznych kamer bezpieczeństwa do zbierania danych na temat fizjonomii Chińczyków. W ten sposób buduje się potężną bazę danych. Dzięki specjalnym algorytmom można przypisać twarz do konkretnych danych osobowych. A przy okazji do ich historii chorób, płaconych podatków, zagranicznych podróży, kariery zawodowej. Dlatego

m.in. protestujący w Hongkongu cały czas używają parasolek, by osłaniać się nie tylko przed rzucanym przez policję gazem łzawiącym, ale też przed rządowymi kamerami.

Blokowanie serwerów jak barykady na drogach

Dzisiejsi aktywiści nierzadko łączą tradycyjne formy protestu z działaniami w sieci. Niektórzy eksperci domagają się więc legalizacji cyfrowego „prawa do protestu” jako jednej ze swobód obywatelskich. Taki argument wysuwa związana z Uniwersytetem Harvarda i Uniwersytetem McGill w Montrealu Molly Sauter, autorka książki „Obywatelskie nieposłuszeństwo w internecie”. Jej zdaniem użytkownicy internetu nie powinni być karani np. za blokowanie serwerów rządowych poprzez tzw. ataki DDoS. Następują one, kiedy skoordynowana grupa internautów wchodzi na daną stronę i ogromną liczbą razy odświeża ją w przeglądarce, wysyłając do serwera wielką ilość żądań wyświetlenia strony. Serwisy zawieszają się wówczas z przeciążenia. Procesem sterują programy angażujące w akcję setki tysięcy komputerów, których właściciele nie wiedzą często, że biorą w niej udział. Sauter uważa, że taka forma blokowania działalności rządu powinna być w pełni legalna – w praktyce nie różni się bowiem od drogowych barykad rolników czy okupacji budynków rządowych.

Na poparcie swojej tezy Sauter przytacza pozytywne przykłady ataków DDoS. We Włoszech, kiedy były wicepremier Matteo Salvini odmawiał przyjęcia imigrantów na Lampedusie, padały strony tamtejszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W Wielkiej Brytanii akcje internetowe towarzyszyły protestom przeciwko brexitowi, a w Turcji miały na celu opóźnienie represji wobec przeciwników Erdoğanowi organizacji pozarządowych.

Nowy aktywizm społeczny coraz częściej nie tylko się do sieci przenosi, ale wręcz się z niej wywodzi. I choć nadal najbardziej spektakularne są rewolucje dziejące się na ulicach, warto mieć świadomość, że ich najważniejsze bitwy toczą się dziś głównie w sieci. I to od internetowych aktywistów zależy, jak trwałe i odporne na wirusy będzie kod wolności i demokracji. ■



Promy wycieczkowe przywożą do Wenecji rzesze turystów. Szacuje się, że może ich być nawet około 25 mln rocznie.

Turyści błogosławieństwem i przekleństwem

Tomasz Skowronek

Antonio Zago jest nazywany przez włoskie media ostatnim weneccjaninem. I faktycznie jest jedynym człowiekiem, który wciąż mieszka przy placu św. Marka, w najbardziej charakterystycznym miejscu Wenecji. – Miałem 10 lat, kiedy tu przybyłem. To było w 1972 r. Nie pamiętam, abym był szczególnie poruszony. Oczywiście czułem podekscytowanie przeprowadzką, ale byłem zbyt mały i to, że zamieszkałem przy placu, nie wzbudziło we mnie szczególnych emocji. Dziś mogę powiedzieć, że mieszkam w miejscu, które wciąż zapiera dech w piersiach – mówi w rozmowie z dziennikiem „La Repubblica”.

Nie ma żadnych sąsiadów. – Ale już wtedy nie było ich wielu – dodaje. Po drugiej stronie jego domu znajduje się sławna wieża zegarowa z XV w., w której dwa posągi Maurów uderzają co godzinę w dzwon: – Z mojego pokoju co wieczór słyszę dzwonięcie – przyznaje Antonio Zago. Na plac św. Marka wychodzi albo wcześniej rano, albo późnym wieczorem, gdy tłum się przersedza.

– Dla mnie najlepszy sezon to okres od listopada do stycznia. Wtedy lubię być w Wenecji. Powiedzmy,

Władze włoskich miast bronią się przed turystami, którzy niszczą ich zabytki

że reszta roku nie jest taka uroczą – mówi Antonio Zago. Dziś dużo czasu spędza w Scorzè, w siedzibie swojej firmy zajmującej się wyposażeniem wnętrza statków wycieczkowych i dużych luksusowych jachtów. A w czasie wolnym wraz z żoną odpoczywa w domu w Treviso, gdzie jest znacznie spokojniej i ciszej niż w wiecznie zatłoczonej Wenecji.

– To smutne, co się stało z całym miastem – ubolewa Antonio. – Pierwszymi wrogami Wenecji są sami weneccjanie. Zamienili domy w pensjonaty i sprzedali większość sklepów. Wystarczy spojrzeć, jak zredukowano rynek Rialto. To wszystko było krótkowzroczne: w ogóle nie myśleli o tym, jak masowa turystyka może zmienić miasto.

Miasto jest wręcz zalane turystami, a obecność statków wycieczkowych oraz zachowanie przyjezdnych stają się coraz większym problemem dla mieszkańców. Burmistrz Wenecji Luigi Brugnaro jest gotów zrobić wszystko, nawet zamknąć niektóre ulice i mosty, żeby tylko uregulować falę odwiedzających.

Ostatnio głośno było w mediach o weneckiej policji, która srodze ukarała parę turystów z Niemiec. Za robenie sobie kawy na schodach mostu Rialto (Ponte di Rialto) musieli zapłacić aż 950 euro, czyli nieco ponad 4 tys. zł. Mandat można dostać m.in. za kąpiel w weneckich kanałach, wędrowanie po ulicach miasta bez koszuli lub z odsłoniętymi plecami albo leżenie na ławce. W 2016 r. Wenecja uzyskała poparcie rządu dla instalacji bramek obrotowych, aby regulować napływ turystów odwiedzających najpopularniejsze miejsca.

Mediolan bez selfie sticków

Problemy Wenecji powtórzyły się na Capri, małej wyspie na Zatoce Neapolitańskiej, często wymienianej wśród najpiękniejszych miejsc na świecie. Capri od lat przyciągała nie tylko turystów, ale również pisarzy i polityków, takich jak m.in. George Bernard Shaw, Graham Greene, a nawet Włodzimierz Lenin. Obecnie każdego roku wyspę odwiedzają 4 mln turystów, gdy miejscowość Capri liczy zaledwie 12 tys. mieszkańców.

Burmistrz Giovanni de Martino od dawna alarmował, że nieuregulowany napływ promów z kontynentu jest wielkim problemem dla miasteczka

i wyraził rozczarowanie brakiem wsparcia od władz centralnych. – Niestety, nasz apel nie został należycie rozpatrzony, a tymczasem rozwiązanie problemu może być dość łatwe – mówi Martino. Burmistrz opowiada się za zmniejszeniem częstotliwości kursowania promów, które przywożą setki turystów. Wyspa dysponuje tylko małym portem Marina Grande. – Kiedy promy przybywają prawie w tym samym czasie, nie ma możliwości, aby wypłynęły punktualnie, więc tworzą się długie kolejki, robi się chaos, co oczywiście rodzi protesty i frustrację ze strony tych, którzy muszą czekać – wyjaśnia de Martino.

Ale nie tylko władze Wenecji czy Capri próbują wprowadzać radykalne ograniczenia antyturystyczne. Coraz częściej we włoskich miastach władze zamierzają ograniczać dostęp do pewnych miejsc i nakładać surowe kary za niewłaściwe zachowanie turystów.

Dwa lata temu Mediolan zakazał używania tzw. selfie sticków, zabroniono również noszenia szklanych butelek oraz puszek. W miejscach publicznych zakazane ma być także sprzedawanie jedzenia z budek i foodtrucków. Rzym już od kilku lat pozbywa się „gladiatorów”, którzy zachęcają przyjezdnych do zrobienia sobie wspólnego zdjęcia, oczywiście za opłatą. Stołeczne władze oskarżają ich o nękanie, a nawet okradanie niczego niepodjęzających obcokrajowców. Turyści mogą być nawet przeganiani ze Schodów Hiszpańskich, zaś ciągnięcie po nich walizek na kółkach grozi mandatem. W planach było także wprowadzenie zakazu postoju przy Fontannie di Trevi.

Florencja – miasto z zasadami

Natomiast w ścisłym historycznym centrum Florencji od ponad roku każdy przyłapany na jedzeniu na wolnym powietrzu w porze obiadu (godz. 12-15) lub kolacji (godz. 18-22) może zostać ukarany mandatem w wysokości nawet 500 euro. Zakaz dotyczy czterech głównych ulic stolicy Toskanii, wąskich i bardzo ruchliwych: Via de' Neri, Piazzale degli Uffizi, Piazza del Grano i Via della Ninna. Już wcześniej w porze obiadowej polewano wodą schody największych florenckich kościołów i chodniki na placu Katedralnym. Wszystko po to, aby ludzie nie siadali na schodach.

– Musimy podjąć działania, aby uniknąć biwakowania turystów, którzy jedzą, piją i brudzą na schodach, jakby byli w restauracji. To nie są restauracje, tylko nasze kościoły, to miejsca religijne, ale także kulturalne, które należy szanować i kochać – argumentował swoją decyzję burmistrz Florencji Dario Nardella. Wcześniej Rada Miasta poparła pomysł, aby 70% żywności sprzedawanej w zabytkowym centrum miasta objętym patronatem UNESCO było pochodzenia lokalnego.

– Florencja to przyjazne miasto – zapewnia Anna Paola Concia, odpowiedzialna za turystykę w stolicy Toskanii. I dodaje – ale ma pewne zasady. Dlatego miasto wydało serię zaleceń, jak należy się zachowywać. Można je znaleźć na platformie #EnjoyRespectFirenze.

Jak twierdzą burmistrzowie miast słynących z turystyki, ograniczenia i zakazy są częścią ogólnokrajowej walki o przyszłość włoskich ośrodków miejskich. Mają ograniczyć ilość śmieci, drobne przestępstwa czy pijaństwo. Z jednej strony turyści w sezonie są dla wielu włoskich miast błogosławieństwem, a z drugiej – przekleństwem.

Centrum tylko dla przyzwoitych

Rok temu włoski parlament przyjął dość kontrowersyjną ustawę zwaną Daspo Urbano. Pozwala ona na utrudnienie dostępu do centrów miast każdemu, kogo oficjalnie uzna się za osobę niepożądaną. Policja może nałożyć grzywnę w wysokości nawet do 900 euro i zakazać ludziom przebywania na wyznaczonym obszarze przez 48 godzin. Dotyczy to nie tylko turystów, ale także osób bezdomnych, prostytutek, nielegalnych handlarzy czy nawet ulicznych artystów.

Daspo to skrót od *Divieto di Accedere alle manifestazioni Sportive*, bowiem początki tego prawa wiążą się z latami 80., kiedy postanowiono przeciwdziałać chuligaństwu kiboli. Rozporządzenie zezwala władzom na aresztowanie osób przebywających w strefach oficjalnie wyznaczonych przez lokalnych burmistrzów (zazwyczaj chodzi o centra miast), a podejrzanych o „nieprzyzwoite zachowanie”.

Stosowanie tej ustawy ma sprawić, że centra miast będą ładniejsze i bardziej przyjazne, zwłaszcza dla ludzi, którzy nie czują się bezpiecz-

nie z powodu obecności handlarzy, dilerów narkotyków lub osób świadczących usługi seksualne. Jednak zwolennicy wolności obywatelskich alarmują, że sankcje finansowe są wdrażane w przypadku zaledwie podejrzenia, bez konieczności udowodnienia popełnienia przestępstwa, a nawet prowadzenia dochodzenia przez policję. Ponadto, jak twierdzą przeciwnicy ustawy, najbardziej może ona uderzyć osoby mniej zamożne, na przykład turystów, których nie stać na jedzenie w restauracjach, bezdomnych czy ulicznych sprzedawców, którzy bywali już karani wysokimi mandatami.

– Coraz więcej włoskich miast jest zdominowanych przez turystów. Takie aplikacje jak Airbnb sprawiły, że serca wielu historycznych miejsc są coraz bardziej nastawione na zakwaterowanie turystyczne. Mieszkańców zastępują turyści lub – w miastach takich jak Bolonia – studenci, którzy nie szanują przestrzeni publicznej – twierdzi dr Ugo Rossi, geograf z Uniwersytetu w Turynie, autor książki „Cities in Global Capitalism”. – W rezultacie centra miast są teraz tylko miejscem konsumpcji, a nie miejscem zamieszkania.

Jednak do samej ustawy Daspo Urbano Ugo Rossi jest nastawiony krytycznie. Jego zdaniem jest ona nie tylko nieskuteczna, ale także dyskryminująca. Rossi uważa, że powinno być więcej refleksji na ten temat, zamiast uciekania się do środków takich jak ustanawianie nowego represyjnego prawa.

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: afera inowrocławska. Winnych należy szukać zupełnie gdzie indziej, niż wskazuje to pisowska propaganda.



Za klęskę wrześniową przed trybunał

Gen. Stefan Rowecki:

Mamiono społeczeństwo mirażami zwycięstwa

„Gdybyśmy byli lepiej przygotowani, a w toku kampanii lepiej dowodzeni, nie przysłoby to Niemcom tak łatwo i tak szybko” [zwyciężyć w 1939 r.] – te słowa gen. Stefana Roweckiego są sprawiedliwą oceną rządów sanacji i naczelnego wodza Edwarda Rydza-Śmigłego. Napisa-
ne po klęsce wrześniowej w pełni oddają stan ducha Polaków, którzy oczekiwali odpowiedzi na pytanie: kto jest winny tak szybkiej przegranej. W szkicu „Czy wrzesień 1939 r. okrył niesławą naród polski?” przyszły dowódca Armii Krajowej dał, jeszcze przez klęską Francji w 1940 r., pierwsze, dość znamienne odpowiedzi na pytania, które nurtowały rodaków w początkowym okresie wojny.

W ostatnim akapicie gen. Rowecki napisał, że sprawcy klęski wrześniowej staną przed specjalnym trybunałem i poniosą surową odpowiedzialność moralną i karną za konsekwencje prowadzonej polityki. Tak się jednak nie stało, choć część z nich została odsunięta (wielu bezzasadnie) przez ekipę gen. Władysława Sikorskiego i izolowana na tzw. Wyspie Węży (szkockiej wyspie Bute). W Polsce Ludowej na mocy dekretu z 22 stycznia 1946 r. za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego w zasadzie zostali ukarani jedynie były premier i marszałek Sejmu Kazimierz Świątalski oraz płk Wacław Kostek-Biernacki, odpowiedzialny za Berezę Kartuską i stosowane w niej tortury wobec więźniów politycznych.

Poniżej prezentujemy fragmenty mało znanego szkicu Stefana Roweckiego. Poza skrótami uwspółcześniono w nim pisownię. Cały dokument oraz inne materiały dotyczące przygotowań do wojny i jej początków znajdują się w książce „Kto odpowiada za klęskę wrześniową?”, która wkrótce ukaze się nakładem PRZEGŁĄDU.

Stefan Rowecki

Czy wrzesień 1939 r. okrył niesławą naród polski?

Tragiczne przeżycia września odżywiają nieustannie we wspomnieniach. W obliczu dzisiejszej sytuacji, zdawałoby się uwłaczającej naszej godności narodowej, każdy z nas coraz częściej

poczyna analizować przebieg i przyczyny wypadków wrześniowych. (...)

Spróbujmy tedy i my – spokojnie i beznamietnie – zastanowić się i badać chociażby z grubsza zanalizować wypadki września oraz przyczyny, które do nich doprowadziły.

Przypomnijmy sobie na wstępie, jak brzmią te słyszane powszechnie pytania, a nieraz i wręcz zarzuty. Oto one:

1. Czy w ogóle dopuszczalna była bezwzględna stanowczość w odrzuceniu żądań niemieckich, jeśli nasze czynniki kierownicze nie miały pewności co do pomyslnych dla nas losów wojny?

2. Dlaczego społeczeństwo było w stanie ciągłego narkotyzowania go mirażami zwycięstwa, gdy rzeczywistość zapoznała je już tak rychło z gorzką prawdą ciężkiej klęski?

3. Kto ponosi odpowiedzialność, że Polska okazała się nieprzygotowaną, jeśli już nie do zwycięskiej wojny z Niemcami, to przynajmniej do stoczenia kampanii na tyle długiej, by nie doprowadziła do niesławnej porażki 33-milionowego narodu, poniesionej przy tym zaledwie w trzy tygodnie?

4. Wreszcie – kto zawinił, że nawet w czasie tej bardzo krótkiej wojny polsko-niemieckiej było tak wiele załamień duchowych u ludzi, którzy winni przykładem innym świecić? Czy były to tylko nieudolność, ignorancja i zła wola, czy też może i to najcięższe: przekupstwo i zdrada?

Jeśli decyzja nieustępowania żądanom niemieckim była słuszna i była wyrazem powszechnej woli narodu, to nie wolno nam zapomnieć jednak, że nastąpiła ona po długim okresie akcji dyplomatycznej, przedstawiającej Polskę na zewnątrz jako sojuszniczkę Niemiec. Akcja ta rozluźniła nasze sojusznicze stosunki z Francją i Anglią. Akcja ta rozbijała na Bałkanach sojusze przeciwnieckie – Małą Ententę. Akcja ta podtrzymywała fikcję przyjaźni polsko-niemieckiej, waśniąc nas z naturalnymi sojusznikami Polski. Dyplomacja polska wewnątrz kraju sączyła przez

Ministerstwo Spraw Zagranicznych nastroje niechęci do Francji i Anglii, dowodząc społeczeństwu polskiemu konieczności przyjaźni z Niemcami. W zaślepieniu dopuszczono do zniszczenia Czechosłowacji, entuzjazmując się odebraniem skrawka Śląska.

Oslabienie dyplomatyczne

Dyplomacja polska głosiła zasadę bezpośrednich rokowań z Niemcami w sprawie Gdańska, lekkomyślnie odrzucając pomoc Zachodu i łudząc się, że te rozmowy bezpośrednie są jej sukcesem. W rezultacie tej polityki Polska została dyplomatycznie osłabiona na całym świecie. Tej fatalnej polityki ostatniego czterolecia nie dało się odrobić w kilkanaście tygodni przedwojennych. Oslabienie dyplomatyczne Polski to również jedna z przyczyn naszej katastrofy. Wola Narodu nakazała rządowi spełnienie historycznej roli podjęcia rękawicy, rzuconej przez Niemcy, jednak polityka zagraniczna rządów od roku 1935 zmniejszała stale znaczenie Polski jako czynnika antyniemieckiego, osłabiając naszą pozycję w chwili wybuchu wojny. (...)

To wszystko nie tłumaczy w niczym naszych czynników kierowniczych, jeśli wojnę z Niemcami przewidywano, bo nie można przypuścić, aby lekkomyślnie tylko pobrzękiwano u nas szabelką, bez wewnętrznej świadomości, że prędzej czy później do rozprawy orężnej z Niemcami dojdzie. Należało więc od wielu już lat robić przygotowania odmienne od tych, które stały się przyczyną naszej tak szybkiej wojskowej katastrofy. Do wojny nie byliśmy w końcu sierpnia 1939 r. gotowi i to jasnym jest dla każdego, nawet największego laika pod względem wojskowym. (...)

Wiele naszych wielkich jednostek (dywizji i brygad kawalerii) ustawiono kordonowo wzdłuż granicy z zadaniami osłony, bez sprecyzowania ich dalszych zadań, których po tym będąc w odwrocie, już do końca



Każdy jechał, jak chciał, i zabierał, co chciał – pisał gen. Stefan Rowecki. Nz. kolumna samochodów Poczty Polskiej.

wojny podobno nie dostały. Nie przewidziano żadnego oparcia dla wojsk naszych, gdyby nie udało się im uzyskać powodzenia w I okresie. Naturalna linia oporu wzdłuż Wisły, Narwi i Sanu nie została zupełnie przygotowana. Gdy w pierwszych dziesięciu dniach wojny wojska nasze zostały odrzucone na tę naturalną linię dalszego oporu, zastały tam jedynie nic niereprezentującą improwizację i nieprzyjaciel przekroczył ważne linie Sanu, Wisły i Narwi gdzie i jak chciał.

Już w pierwszych dniach wojny kierownictwo działaniami wymknęło się z rąk Naczelnego Dowództwa.

Na granicach naszych, ani w głębi kraju, nie pobudowano żadnych niemal fortyfikacji, z wyjątkiem Śląska i Helu. To, co gdzie indziej już w ostatnich tygodniach przed wojną, zrobiono, zakrawało niemal na żarty, te prymitywne okopiki, poprzedzone słabymi przeszkodami z drutów kolczastych.(...)

Już od wiosny wojna wisiała w powietrzu. Wszyscy wiedzieli, że Niemcy zmobilizowali szereg korpusów. My również częściowo zmobilizowaliśmy niektóre dywizje i posłali na pogranicze. Stały tam beczynnie przez wiele tygodni, zamiast z udziałem ludności cywilnej fortyfikować pewne ważne rejony.

W lipcu i sierpniu stało się widocznym, że Niemcy zmobilizują resztę

swych sił. W sierpniu wstrzymali komunikację kolejową i zabronili przelotów samolotowych. Było jasnym, że zaczęły się przesunięcia i koncentracje wojsk niemieckich na Wschodzie.

Podobno Anglia nie zgodziła się na wcześniejszą naszą mobilizację, aby nie „prowokować” Niemiec. Historia to kiedyś wyjaśni.

Myśmy tymczasem czekali. W rezultacie nasze zarządzenia mobilizacyjne zostały spóźnione. Ktoś u nas tutaj katastroficznie zawinił. W drugim

już bowiem dniu mobilizacji Niemcy, z zaskoczeniem zresztą, bez wypowiedzenia wojny (co należało chyba także przewidywać, bo od lat prasa wojskowa pełna była wynurzeń, że przyszła wojna zacznie się bez wypowiedzenia), zaatakowali nas na wszystkich frontach.

Wielokrotnie przeważające lotnictwo dosłownie zmiażdżyło i sparaliżowało nasz cały system komunikacyjny i łącznościowy. Rezerwiści spieszący do swoich ośrodków mobilizacyjnych byli atakowani, kolejowe transporty wojskowe dążące do rejonu koncentracji – porozbijane.

Szereg dywizji przybyło w nakazane rejony koncentracji w składzie 30-50% swojej artylerii i piechoty, bez łączności, bez taborów i zaopatrzenia

w żywność i amunicję. Nic dziwnego, że trudno im było sprostać w walce z pełnymi i świetnie wyposażonymi, dawno już zmobilizowanymi dywizjami niemieckimi. Cały system zaopatrzenia wojsk, sieć łączności, system dowodzenia otrzymały potężny cios. Było to jednak do przewidzenia dla tych, którym powierzono przygotowanie i prowadzenie wojny.(...)

Już w pierwszych dniach wojny kierownictwo działaniami wymknęło się z rąk Naczelnego Dowództwa, które, mając niemieckimi nalotami sparaliżowany swój system dowodzenia, nie zdołało go do końca wojny odtworzyć. Nie od rzeczy byłoby tu wspomnieć o roli dywersji niemieckiej na całym naszym terytorium. (...)

Szalona panika

Armie, grupy dywizji, czy nawet poszczególne dywizje, zaczęły odąd walczyć na własną rękę, bez łączności między sobą, bez zorientowania w ogólnej sytuacji i bez rozkazów, które, jeśli w ogóle nadchodziły, to były niezgodne z sytuacją wytworzoną na froncie. Powstał jeden wielki chaos, w którym nasze oddziały biły się nieraz dzielnie i uporczywie, ale w sposób nieskoordynowany i to wobec przeciwnika działającego planowo i właśnie dowodzonego jednolicie.

Ten kontrast był przygniatający. Zafałowało się wielu dowódców i wiele oddziałów. Kiedyś potrafimy z tego ▶

► wyciągnąć konsekwencje i winnych pociągnąć do odpowiedzialności.

Dziś z dumą możemy stwierdzić, że większość wojska wraz ze swoimi dowódcami spełniła uczciwie wobec kraju swój żołnierski obowiązek. Spełniła ten obowiązek mimo szalonej przewagi wroga ilościowej, a już przyniatającej, jeśli chodzi o lotnictwo i broń pancerną. (...)

Nie mamy powodów do biadań i rozpaczania. Wrzesień nie okrył niestawą narodu polskiego ani jego wojska. Bić się umieliśmy. Z chwilą uderzenia większości sił niemieckich na nas (w naszych warunkach strategicznych, uderzenie od zachodu, południa i północy) nawet wygrywając kilka bitew czy starć, musielibyśmy ulec i być odrzuceni na Wisłę czy nawet Bug. Gdybyśmy byli lepiej przygotowani, a w toku kampanii lepiej dowodzeni, nie przyszyłoby to Niemcom tak łatwo i tak szybko – może grudzień zastałby nas jeszcze walczących nad Wisłą, a w najgorszym razie nad Bugiem. Z chwilą jednak wkroczenia Rosji – najlepsze przygotowania nasze wojenne, najlepsze w wojnie tej kierownictwo nic by nie pomogło. Położenie było beznadziejne. Nie ma takiego wojska na świecie, które atakowane z frontu i ze skrzydeł przez przeważającego przeciwnika zdołałoby wytrzymać uderzenie jeszcze jednego, również potężnego wroga od tyłu.

Byliśmy świadkami szalonej paniki we wrześniu. Ludzi ogarnął jakby szal. Uciekali na ślepo przed siebie, robiąc, co mogli najgorszego. Rzucali bowiem cały swój dobytek, nierzad pracę całego swego życia, na pastwę losu. Uciekali, bo tam, gdzie byli – padały bomby czy granaty, tak jakby tam, dokąd śpieszyli, nie było tego samego. Uciekali na tułaczkę i poniewierkę stokroć gorszą niż najcięższy pobyt pod okupantem. Wraz z ludnością cywilną, niekierowaną, pozostawioną sobie, uciekały równocześnie władze administracyjne i władze bezpieczeństwa. Uciekali starostowie z całym personelem, burmistrzowie, władze więzienne, policja. Uciekały nawet straże pożarne, pozostawiając palące się osiedla. Uciekali lekarze, zamiast zostać przy szpitalach i rannych. Ogarnął wszystkich szal ucieczki i zapanował na całym obszarze działań wojennych oraz na tyłach wojsk walczących chaos

nieprawdopodobny. Nie wywarło to dobrego wpływu na bitność naszych oddziałów wojskowych, gdy wśród masy uciekinierów cywilnych zaczęli pojawiać się liczni żołnierze – dezterterzy, jak zwykle twierdzący, że pozostali ostatni z rozbitego przez Niemców oddziału. Jakim prawem i za jaką cenę dopuszczono do tak nieprawdopodobnej „dzikiej ewakuacji”? Niestety, tutaj winę ponosimy wyraźnie. W ostatnich latach bawiła się nasza administracja i w budowanie „sławojków”, i w malowanie parkanów, i w dziurawienie – robienie przewiewnych murów (ostatni wyczyn!...). Ale nikt nie przepracował należycie planów ewakuacji na wypadek wojny, a nade wszystko nie powiedziano, jak ona ma wyglądać, kto i kiedy się ewakuuje – kto zostaje. Nie wyrobiono w administracji dyscypliny i rozumnego posłuchu rozkazom. Gdy wybuchła wojna, zrobiono improwizację, która zamieniła się w ucieczkę wszystkich z zachodu na wschód, a po tym, gdy wkroczyli bolszewicy, z powrotem na zachód. (...)

Jakim prawem i za jaką cenę dopuszczono do tak nieprawdopodobnej „dzikiej ewakuacji”?

Niewątpliwie nasze władze administracyjne ponoszą odpowiedzialność również i za to, że dopuściły do takiej „dzikiej ewakuacji” ludności, zamiast wszelkimi siłami (radio, obwieszczenia, plakaty, bariery zaporowe) powstrzymać ją od tego. Ci zaś z władz administracyjnych, władz bezpieczeństwa (policja, straż więzienna) czy organów użyteczności publicznej (straż ogniowa, obsługa wodociągów, elektrowni, lekarze itp.), którzy niepotrzebnie lub przedwcześnie opuścili (a było ich niestety wielu) swoje stanowiska, będą musieli być pociągnięci w wolnej Polsce do bardzo surowej odpowiedzialności karnej – aby na przyszłość wykluczyć podobne wykroczenia.

Szalona ucieczka

Koroną ogólnego chaosu ewakuacyjnego, paniki, bezmyślnej ucieczki była niewątpliwie ewakuacja z Warszawy władz państwowych.

Jasną jest rzeczą, że w toku wojny, gdy stolica zostaje bezpośrednio zagrożona, głowa państwa, rząd,

główne organa funkcjonowania państwa muszą być usunięte, aby mogły dalej sprawnie pracować. Naczelnicy wódz, jak to już doświadczenia wojny 1914-1918 wykazały, powinien być z reguły od pierwszego dnia wojny poza stolicą.

Niestety, tego co się działo przy ewakuacji najwyższych czynników państwowych, rządu, ważnych organów państwowych z Warszawy, nie można znów inaczej nazwać jak „dziką ewakuacją”. Nikt nią nie kierował, jak nikt nic w tej sprawie nie przewidywał i nic nie przygotowano.

Każdy jechał, jak chciał, i zabierał, co chciał. Ważne, tajne akta państwowe pozostawiono, niepotrzebne osoby, rzeczy i przedmioty pozabierano. Tysiące państwowych samochodów naładowanych prywatnymi rzeczami, rodzinami, nawet z psami i kanarkami, opuszczało Warszawę, a akta lub przedmioty pierwszorzędnej wagi, jeśli chodziło o dalsze prowadzenie wojny czy też kierowanie państwem, pozostawiono w opuszczonych biurach lub wyrzucono wprost na ulicę.

Za powyższe wiele osób będzie musiało odpowiadać w przyszłości bardzo surowo. (...)

Niewątpliwie część rządu powinna była zostać w Warszawie, chociażby jako ekspozytura, aby nie wszystko w najcięższej chwili zrzucić na barki dzielnego prezydenta miasta Warszawy. Nie mają nic do roboty za granicą i nie powinni się byli ewakuować swego czasu ministrowie spraw wewnętrznych, opieki społecznej, sprawiedliwości, rolnictwa, oświaty i kilku innych jeszcze. Oni powinni byli zostać w Warszawie lub ich zastępcy przynajmniej, i do chwili, póki walczył żołnierz Polski, a ponosił śmierć i rany szary obywatel Rzeczypospolitej, być razem z nimi. (...)

Jesteśmy całkowicie pewni, że w wolnej Polsce specjalny trybunał, wyłoniony w tym celu, pociągnie do surowej odpowiedzialności moralnej i karnej wszystkich tych, co tutaj cośkolwiek zawiniли. (...)

Oprac. Paweł Dybicz

Śródtytuły pochodzą od redakcji

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Stara, dobra anarchistyczna gnoma, paremia, proverbium, sól attycka powiada, że gdyby wybory naprawdę mogły coś zmienić, to dawno by ich zabroniono. Jak w każdej tego typu mądrości są w niej i szczypta prawdy, i tyżka nieporozumienia, i kęsik fałszu, i ogryzek pustego jak dzban (dzban – przypomnę tylko – to słowo roku 2018, ale w innym znaczeniu) krytykanctwa, i garstka utopijnej nadziei. Wybory (idzie teraz o wybory polityczne do instytucji demokratycznych, takich jak parlament) często zmieniając wiele/u przedstawicieli/li, równie często generują niewielką zmianę. A czasem zmieniając niewiele/u – potrafią wywrócić stół politycznej gry do góry nogami. Będzie bez przykładów, bo – jak wiadomo – przykłady zawsze się znajdzie, jak się chce tezę uderzyć.

W ostatnim felietonie przed polskimi wyborami parlamentarnymi 2019 r. spróbuję się zastanowić, czy wybory i udział w nich mają sens same w sobie, uniwersalnie („zawsze i wszędzie wybierać będziesz”), czy jednak uczciwie byłoby powiedzieć: „Te wybory – tak, inne – nie”, a jeśli chodzi o te konkretne, to lepiej, czytaj: skuteczniej, z mojej perspektywy politycznej byłoby tych namawiać, a tamtych zniechęcać, jak nam Cambridge Analytica przykład

kogo zagłosuje, jeszcze jakaś część nie wie, czy w ogóle pójdzie na wybory, a ogromna społeczność wie, że nie pójdzie. My tu rozmawiamy – mam wrażenie – w gronie tych, co pójdą i nie mają wątpliwości, na kogo zagłosują, ale to nie w nas problem. Ci, którzy nie wiedzą, są gdzie indziej, nasze korytarze komunikacyjne się nie łączą, nasze autostrady poglądów się nie przecinają, nasze masy krytyczne się nie ścierają, nasze przestrzenie nie mają styczności. Więcej o nas wie Facebook niż rodzina, sąsiedzi, przyjaciele. I ci, którzy to wiedzą, korzystają z wiedzy portalu o nas samych, żeby na czyjeś zlecenie podrzucić nam sugestię zaangażowania lub zalecenie nicnierobienia. Zdecydują niezdecydowani. Nikt o niczym nie zdecyduje. Samo się zdecyduje.

Idę na wybory. Nie mam wątpliwości, na jaką listę będę głosował do Sejmu, na kogo do Senatu. Ale nie mam poczucia, że wiem, co się stanie. Raczej sceptycznie oceniam szanse, że Polska po tych wyborach przesunie się w taką stronę przyszłości, która przeze mnie i ludzi bliskich mi poglądami jest wyczekiwana, spodziewana, wymarzona. Tak czy owak wciąż żywię nadzieję na efekt samotnego kamienia z miłoszowej lawiny, opisaną w „Traktacie moralnym”

Wybory: święto, pogrzeb, gra?

data. Tak więc uczciwie byłoby jednak powiedzieć: „Nasi/nasze, idźcie i głosujcie na naszych/nasze, Wasi – siedzicie w domu, jedźcie na działkę, idźcie do kościoła, do kina, napijcie się, poleżcie, książkę poczytajcie, nie wychylajcie nosa spod koca”. Albo jakoś subtelniej: „Co tam będziesz skreślał, to jedna banda, wszystko złodzieje. Jeśli dotąd jeszcze nie, to od jutra, gdy ich wybierzesz, już tak. To i tak niczego zmieni. Może być tylko gorzej. Myślisz, że coś możesz? Nic nie możesz i taka jest prawda! Sam jeden światła nie zbawisz ani powiatu nawet. Tylko obiecują, a nawet, jak dadzą, co obiecali, to swoim i wszystkim innym niż ty. Po co będziesz to firmował? Zupę zjedz. Telewizję obejrzyj. Doktorat skończ. Naczynia umyj, śmieci wynieś – to jest prawdziwa zmiana, to jest prawdziwe życie, to jest prawdziwa polityka, tu i teraz, zmieniaj świat, zaczynając od siebie, a nie od tych pasibrzuchów z Wiejskiej”. Powyższe zniechęty nie są oficjalnym stanowiskiem politycznym żadnej z partii. Oficjalnie.

A do swoich: „Toż to nasze największe święto demokratyczne. Wybieramy godnych reprezentantów i reprezentantki. Obronimy konstytucję, trybunał, wolne sądy. Przywrócimy rozsądek i umiar. Twój głos się liczy. Twój głos jest ważny. Jak nie wybierzesz – wybiorą za ciebie. Zabierz głos, bo go stracisz. Nie bądź bezradny, głosuj! Nie rydzikuj, urna twoja mać”.

Spore ciśnienie. Ale tylko teoretycznie. Na 10 dni przed wyborami ok. 10% Polaków i Polek nie ma pojęcia, na

(„Nie jesteś jednak tak bezwolny, / A choćbyś był jak kamień polny, / Lawina bieg od tego zmienia, / Po jakich toczy się kamieniach. I, jak zwykł mawiać już ktoś inny, / Możesz, więc wpłynąć na bieg lawiny”). Naiwnie? Zapewne. Ale naiwni byli wszyscy, którzy kiedykolwiek decydowali się na zmianę tego, co wokół nich, walczący z niewolnictwem, feudalizmem, pracą dzieci, pracą bez przerwy, dyskryminacją płciową, rasową itd. Trzeba iść, wrzucić kartę do urny, choćby i białą (są kraje, w których starannie analizuje się strukturę głosów nieważnych, bo mówi ona sporo ważnych rzeczy o nas i naszym politykowaniu), bo na horyzoncie nie ma innych sposobów na korektę tego, co wokół nas polityczne. Same wybory do zmiany nie wystarczą, ale bez udziału w nich wszystkie inne nasze aktywności słabną i ślaniają się na nogach.

Zmieniamy, póki możemy, bo sprawy idą w złym kierunku. Kilkanaście, kilkadziesiąt sensownych osób w nowym parlamencie postawi tamę, choćby i werbalną, fali projektów złych, kuriozalnych, groźnych. Stworzą inną agendę, wprowadzą inny język. Jeszcze możemy w najbliższym otoczeniu znaleźć kogoś, kto się waha, i namówić go do udziału, pokazać, na kogo warto oddać swój głos.

Następny felieton będę pisał w niewiedzy, co się stanie 13 października. A nie mam wątpliwości, że to będzie ważny dzień dla kolejnych dekad. Idę i głosuję. Nie muszę trzy razy się zastanawiać, na kogo. I to już jest sporo. Czego także Czytelnikom i Czytelniczkom PRZEGLĄDU życzę.

Joanna Podgórska

Kierunek wyznaczył św. Augustyn, który nawet pożądanie w obrębie małżeństwa uznał za grzeszne: z żoną wolno obcować tylko z tęsknoty za dzieckiem. Siłą rzeczy wszelkie formy antykoncepcji zostały uznane za grzech, i to śmiertelny. Sama rozkosz stała się grzechem. Doprowadziło to św. Augustyna do absurdalnych wniosków, że wielożeństwo stoi wyżej niż miłość i pożądanie jednej kobiety: „Pochwalam raczej wykorzystywanie płodności wielu kobiet dla niesamolubnego celu niż ciała jednej ze względu na nią tylko. (...)”.

Św. Tomasz, najważniejszy filar katolickiej moralności, wielki Doktor Kościoła, na którego autorytet powołuje się on do dziś, potępił wszelką antykoncepcję. „Nieuporządkowane wydalenie nasienia” sprzeciwia się – jego zdaniem – dobru natury, dlatego po grzechu zabójstwa grzech „nieumożliwiający spółdenie” zajmuje drugie miejsce.

Nie wszyscy byli tak powściągliwi. Według jednego z najwybitniejszych Ojców Kościoła, św. Jana Chryzostoma, antykoncepcja była nawet gorsza od morderstwa. Papież Grzegorz Wielki zadekretował wprost: „Rozkosz nigdy nie może być bez grzechu”. Rzecz zatem należało stosownie uporządkować. Za czynności antykoncepcyjne, a więc grzechy przeciwne naturze, uznał Kościół stosunek przerywany, seks oralny i analny, a nawet współżycie w pozycji innej niż klasyczna. Trzeba było to również dobitnie małżonkom uświadomić, gdyż – jak przekonywał ludowy kaznodzieja Bernardyn ze Sieny – „są oni pogrążeni w żalosnej niewiedzy jak świnie w swym korycie, pełnym gnoju”. Od wczesnego średniowiecza służyły temu stosowne kodeksy, które regulowały szczegółowo, kiedy współżycie jest zabronione: we wszystkie niedziele i święta oraz w okresie postów przedświątecznych (a było tego niemało). Uta Ranke-Heinemann wyliczyła, że dawało to w sumie około pięciu miesięcy w roku. Do tego trzeba dodać zakazy współżycia w trakcie miesiączki, ciąży, połogu i karmienia. Wiernych straszono, że jeśli będą w tych dniach uprawiać seks, urodzą im się dzieci trędowate, epileptyczne albo opętane przez diabła.

Antykoncepcyjna obsesja Kościoła

Gdy zaczyna się debata o prawach reprodukcyjnych, zaraz włącza się Kościół i pilnuje, by polskie standardy nie zbliżyły się do tych obowiązujących w cywilizowanym świecie



Średniowieczna miniatura ukazuje wnętrze łaźni, w której uczują w wannach kobiety i mężczyźni – takie przedstawienia uciech ziemskich wcale nie należały wówczas do rzadkości.

Spowiednicy w konfesjonatach szczegółowo wypytywali wiernych o praktyki seksualne i naznaczali pokuty kościelne, najczęściej w postaci wieloletnich postów o chlebie i wodzie. Kary za seks oralny, analny i stosunek przerywany bywały wyższe niż za umyślne zabójstwo. (...)

Karlheinz Deschner w książce „Krzyż pański z Kościołem” opisuje podręczniki teologii moralnej, w których roztrząsa się kwestię, czy użycie języka w pocałunku małżeńskim może być dozwolone, i formułuje instrukcje, na ile milimetrów może on wnikać w usta współmałżonka,

żeby nie było grzechu. Mistrzem detalu był Alfons Liguori, kanonizowany patron spowiedników i moralistów, który w 1732 r. założył zakon redemptorystów. Ustalał „najwłaściwszą pozycję przy wytrysku męskiego nasienia i jego przyjęcia przez srom niewieści”, roztrząsał zagadnienie nierządu ze zwłokami, zastanawiał się, czy jest grzechem śmiertelnym odmowa czwartego stosunku tej samej nocy. (...)

Mimo sporów jedno w nauce Kościoła było absolutnie zasadnicze – nasienie musi trafić do pochwy. I tak zostało do dziś. W wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” w 2013 r. Małgorzata Terlikowska, żona katolickiego publicysty Tomasza Terlikowskiego, opowiadała, że przed laty miała problemy z zajściem w ciążę. Trzeba było poddać badaniu nasienie męża. Pytanie, jak je w sposób bezgrzeszny pozyskać. Masturbacja nie wchodziła w rachubę. Stosunek w prezerwatywie także. Chyba żeby ją ponakłować szpilką, by nie zamykać nasieniu drogi w stosowne miejsce. Dziś może nas to bawić. Może dziwić – zarozumiałe chyba nieco – przekonanie, że „Stworzyciela Nieba i Ziemi” żywo interesuje, dokąd trafia sperma Terlikowskiego. (...)

W nieugiętej postawie Kościoła wobec antykoncepcji przez wieki ani drgnęło. „Żadna przyczyna, nawet najpoważniejsza, nie usprawiedliwia zapobiegania ciąży”, ogłosił Pius XI w encyklice *Casti connubi* z 1930 r. O osobach stosujących antykoncepcję pisał: „Na te zbrodnicze czyny pozwalają sobie dlatego, że sprzykrywają sobie dzieci, zażywając pragną samej rozkoszy”. Hierarchów nie przekonywały żadne argumenty: bieda, głód, zagrożenie życia kobiety. Antykoncepcja to „zbrodnicza wolność”. A ludzkość wymyślała coraz skuteczniejsze metody antykoncepcyjne i coraz chętniej je stosowała.

Podczas gdy świat pracował nad nowymi metodami zapobiegania ciąży, Kościół nadal zajmował się metodami zapobiegania rozkoszy. Scholastyczne dywagacje nad grzesznością małżeńskich stosunków wcale nie odeszły wraz z głębokim średniowieczem. Jeszcze w XX w. toczyła się teologiczna dyskusja nad tzw. stosunkiem wstrzymywanym (nie mylić z przerywanym, który

uznano za grzech śmiertelny) jako dopuszczalną metodą antykoncepcyjną dla małżeństw, które z poważnych powodów muszą unikać ciąży. W kościelnym języku stosunek wstrzymywany to taki, gdy mężczyzna dopełni małżeńskiego obowiązku, ale wycofa się, nim akt zostanie dokonany i dojdzie do „wylania się nasienia”. Wtedy mężczyzna nie ma grzechu. Natomiast jeśli żona przeżyje przy tej okazji orgazm – grzeszy śmiertelnie. Ale do zgody było daleko. Dla jednych teologów stosunek wstrzymywany był mniejszym złem wobec innych metod, postrzegali go jako akt samoopanowania i „humanizacji ciała”. Dla drugich był głęboko niemoralny, bo w praktyce, z powodu braku umiejętności małżonków, sprowadza się w istocie do stosunku przerywanego, czyli takiego, podczas którego doszło do wylania nasienia, a zatem – według kościelnych reguł – „grzechu najcięższego, który należy do występków sprzecznych

Gdy świat pracował nad nowymi metodami zapobiegania ciąży, Kościół zajmował się metodami zapobiegania rozkoszy.

z naturą”. Wreszcie w 1952 r. kompromisowo, acz dość enigmatycznie wypowiedział się Watykan – księżom nie wolno mówić o stosunku wstrzymywanym tak, jak gdyby niczego nie można mu było zarzucić. Trudno nie pogubić się w tych subtelnościach.

Nadzieją na zmianę klimatu wobec stosunków małżeńskich był Sobór Watykański II, z jego hasłem *aggiornamento*, czyli „udziśnieniu”, dopasowania się do współczesnego świata. Po raz pierwszy w historii na sobór zaproszono wtedy jako audytorów małżeństwo – Joségo i Luz Marię Álvarez Icaza, współprzewodniczących Ruchu Rodzin Chrześcijańskich. Jak opisuje Zuzanna Radzik w książce „Kościół kobiet”, stało się to nieco przypadkiem. Początkowo zaproszony miał być sam José; delegat papieski, który zaproszenie wystosował, nie bardzo rozumiał, co miałyby na soborze robić jego żona – kobieta nieobeznana w sprawach międzynarodowych, bez publikacji czy jakiegokolwiek społecznego. Ale José się uparł. Twierdził stanowczo, że jego żona, matka 11 dzieci, z 12. w ciąży, będzie miała coś do powiedzenia na temat życia

rodzinnego. I tak małżonkowie Álvarez Icaza wspólnie wysłuchali projektu soborowej „Deklaracji o Kościele w świecie współczesnym”. Słyszając opis życia rodzinnego w nim zawarty, Luz María odruchowo parsknęła śmiechem. „Jako audytorka soboru próbowała wpływać na kształt deklaracji, pracując w podkomisjach, jednak najwyraźniej głos konserwatywnych biskupów przeważał. Szturchnęła męża, prosząc: »Powiedz coś«. »Ty coś powiedz« – odparł José, zachęcając żonę – opisuje Zuzanna Radzik. – Wstała i zwróciła się do członków komisji po hiszpańsku, bo łaciny przecież nie znała: »Wyobrażam sobie wyraz twarzy katolickich małżeństw na świecie, kiedy dowiedzą się, co myślicie o małżeństwie«. Zarzuciła im podejście legalistyczne, wytknęła słowa o kontrakcie, grzechu, pożądaniu. I mówiła dalej: »Skoro jestem jedyną zamężną kobietą na tym soborze, czuję się w obowiązku powiedzieć,

że kiedy współżyliśmy z mężem, dając życie naszym dzieciom, nie był to akt pożądliwości, lecz miłości. Jestem przekonana, że tak jest w przypadku wszystkich chrześcijańskich matek zachodzących w ciążę. Z całym szacunkiem muszę powiedzieć, że kiedy wasze matki was poczywały, również działo się to w miłości«. Luz María i José wspominali, że zgromadzeni najpierw nie rozumieli, a gdy tłumacz przełożył słowa Marii na łacinę, zrobili się czerwoni i zaczęli się śmiać. Ale słuchali dalej. Potem 24 kardynałów podeszło do niej, mówiąc, że nigdy by o tym sami nie pomyśleli”.

Coś natomiast drgnęło w sprawie metody kalendarzykowej. Pewne poluzowanie dopuścił już Pius XII, uznając, że jest moralnie usprawiedliwiona, o ile istnieją „poważne wskazania”. Wielu teologów, pamiętając, co św. Augustyn miał do powiedzenia na temat nierządu w małżeństwie, przyjęło to ze sceptycyzmem i obawą. Porównywali tę metodę do onanizmu, ostrzegali, że będzie skutkować szerzeniem się egoizmu i ochłodzeniem miłości małżeńskiej.

► Dopiero Jan Paweł II w adhortacji apostolskiej *Familiaris consortio* z 1981 r. uznał wprost przeciwnie – że seks w dni niepłodne może umacniać związek i ocieplać stosunki małżeńskie. Oto skutek zdumiewającego odkrycia Luz Marii: wstrzemięźliwa aprobata papieska dla metody kalendarzykowej (nazywana żartobliwie kanonizacją Ogino-Knausa, od nazwisk jej wynalazców). Jan Paweł II zalecał, by jej nie nadużywać, bo małżonkowie mogliby „z nierzetelnych powodów”

u nas standardy nie zbliżyły się ani o krok do tych, które obowiązują w cywilizowanym świecie. Jego stanowisko stale się utwardza. „Podstawowym zadaniem ludzi wiary jest być obecnymi w świecie polityki. Ich współdziałanie przy osiąganiu kompromisów politycznych ma zapewnić, aby ochrona wartości poddyktowanych przez chrześcijańskie sumienie była możliwie najpełniejsza – w określonych warunkach i okolicznościach ich działania. Kościół i każdy wierny jest odpowiedzialny

W Stanach Zjednoczonych wykonuje się kilkaset tysięcy takich zabiegów rocznie. W polskim prawie sterylizacja traktowana jest jak ciężkie uszkodzenie ciała, a lekarz, który jej dokonuje, może trafić na 10 lat do więzienia. Jedynie kilku lekarzy wykorzystuje lukę w prawie – karze podlega nieodwracalne pozbawienie płodności, a po podwiązaniu nasieniowodów nadal możliwe jest pozyskanie materiału do zapłodnienia in vitro. Tak jak Polki uprawiają turystykę aborcyjną, tak Polacy korzystają z turystyki sterylizacyjnej. Zabiegi są legalne choćby u sąsiadów – w Czechach czy Niemczech. U nas – jak wszystko, co związane z płodnością – zostały obłożone ideologiczną klątwą, a państwo pod naciskiem Kościoła wychodzi z założenia, że obywatela nie powinni mieć w tej kwestii zbyt wiele do powiedzenia. (...)

Antykoncepcja nie jest u nas kwestią medyczną ani społeczną, ale ideologiczną. Gdy w grę wchodzi jakiegokolwiek kwestie związane z seksualnością, poziom obsesji i absurdu w debacie publicznej sięga zenitu. Nie ma takiego głupstwa, którego nie wygłoszono by w dyskusji o antykoncepcji. Radiomaryjna posłanka Anna Sobecka wymieniła ją jednym tchem z pedofilią, prostytutką i pornografią.

W 2014 r. powstał dość dziwny dokument – „Deklaracja wiary lekarzy katolickich i studentów medycyny w przedmiocie płciowości i płodności ludzkiej”. Podpisało ją prawie 4 tys. lekarzy, studentów i pielęgniarzy. Wyryta na dwóch kamiennych

Antykoncepcja nie jest u nas kwestią medyczną ani społeczną, ale ideologiczną.

zacząć utrzymywać liczbę dzieci „poniżej progu moralnie właściwego dla danej rodziny”. Rozkosz seksualna przestała być już uznawana za grzech, ale stosunek, który jedynie ją ma na celu – jeszcze nie. Wolno już nie myśleć o poczęciu, ale nie wolno go wykluczać. Były pewne kłopoty z teologicznym uzasadnieniem, dlaczego akurat ten sposób zapobiegania ciąży jest dozwolony, a inne nie, ale jak zwykle udało się tego dokonać. I na dalszą zmianę stanowiska Watykanu na razie się nie zanosi.

Jednak wierni od dawna już nie mają ochoty cedować na Kościół kontroli nad swoim życiem seksualnym. Ponad 100 mln kobiet na całym świecie zamiast z pokorą przyjąć słowa kard. Ratzingera o tym, że sztuczna antykoncepcja odbiera im własny świat i sposób bycia, zaczyna dzień od małej, białej pigułki. I raczej z niej nie zrezygnują, bo dała im wolność. Była początkiem cywilizacyjnej zmiany. Kobiety uzyskały kontrolę nad własną płodnością i własną przyszłością. (...) Klęska nauczania Kościoła jest w tym przypadku całkowita i druzgocąca. Nawet w katolickiej Polsce jedynie kilka procent kobiet deklaruje, że nie stosuje antykoncepcji z powodów religijnych.

Stąd coraz silniejsza pokusa, by inkorporować zasady religijne do świeckiego prawa, obowiązującego wszystkich obywateli. Jeśli Kościół może to zrobić, robi to. A w Polsce może bardzo wiele. Gdy tylko zaczyna się debata na tematy związane z prawami reprodukcyjnymi, zaraz włącza się Kościół jako wielki hamulcowy i pilnuje, by obowiązujące

za prawidłową formację sumienia. Trzeba znać i rozumieć warunki działania w sferze publicznej, które rodzą nieustanne zagrożenia dla wierności w dokonywanych wyborach moralnych”, czytamy w dokumencie przyjętym w 2013 r. przez Zebranie Plenarne Konferencji Episkopatu Polski „O wyzwaniach bioetycznych, przed którymi stoi współczesny człowiek”. A ponieważ Kościół ma coraz więcej problemów z przekonaniem wiernych do swoich zasad, wywiera coraz większą presję, by wymusić je ustawowo. To niestety niesie wymierne koszty społeczne.

Dlatego politycy boją się tych tematów. Bez względu na to, kto rządzi, w tej kwestii ani drgnie. Państwo zachowuje się schizofrenicznie. Udaje np., że nastolatki nie współżyją seksualnie, bo przecież nie powinny. Może i nie powinny, ale współżyją.

Wierni od dawna nie mają ochoty cedować na Kościół kontroli nad swoim życiem seksualnym.

Prawo pozwala na stosunek z 15-latką, ale nie pozwala jej zachować się racjonalnie, bo do lekarza po antykoncepcję może pójść sama, dopiero gdy skończy 17 lat. Dziewczęta ryzykują zatem, stosując niepewne metody, tykają upolowane w internecie środki niewiadomego pochodzenia bez żadnej lekarskiej kontroli. Kilka tysięcy nastolatków rocznie zachodzi w niechcianą ciążę.

Dorośli Polak nie może odpowiedzialnie podjąć decyzji o sterylizacji, choć jest to najpopularniejsza na świecie metoda antykoncepcyjna.

tablicach została złożona na Jasnej Górze jako dar wotywny za kanonizację Jana Pawła II. Warto przytoczyć treść tego dokumentu w całości.

WIERZĘ w jednego Boga, Pana Wszechświata, który stworzył mężczyznę i niewiastę na obraz swój.

UZNAJĘ, iż ciało ludzkie i życie, będąc darem Boga, jest święte i nieetykalne:

– ciało podlega prawom natury, ale naturę stworzył Stwórca,

– moment poczęcia człowieka i zejścia z tego świata zależy wyłącznie od decyzji Boga.

Jeżeli decyzję taką podejmuje człowiek, to gwałci nie tylko podstawowe przykazania Dekalogu, popełniając czyny takie jak aborcja, antykoncepcja, sztuczne zapłodnienie, eutanazja, ale poprzez zapłodnienie in vitro odrzuca samego Stwórcę.

PRZYJMUJĘ prawdę, iż płeć człowieka dana przez Boga jest zdeterminowana biologicznie i jest sposobem istnienia osoby ludzkiej. Jest nobilitacją, przywilejem, bo człowiek został wyposażony w narządy, dzięki którym ludzie przez rodzicielstwo stają się „współpracownikami Boga Samego w dziele stworzenia” – powołanie do rodzicielstwa jest planem Bożym i tylko wybrani przez Boga

zadałam wszystkie te pytania prof. Bogdanowi Chazanowi, który oczywiście „Deklarację wiary...” podpisał, zarzucił mi, że „różną głupą”, i oskarżył o brak tolerancji.

Znany seksuolog, autor cyklicznych badań dotyczących seksualności Polaków, prof. Zbigniew Izdebski opowiada, że Polska ma na świecie opinię dość dziwnego, egzotycznego kraju, który zakazując aborcji, jednocześnie zniechęca do antykoncepcji. Gdy biorąc udział w międzynarodowych kongresach seksuologicznych, przedstawia wyniki badań na temat antykoncepcji w Polsce i podaje, że kilkanaście procent wybiera stosunek przerywany,

W niektórych krajach afrykańskich, gdzie dostęp do szpitali jest trudny, a śmiertelność okołoporodowa kobiet wysoka, wspomagane przez zachodnie fundacje rządy finansują programy bezpłatnej antykoncepcji. Po wioskach jeżdżą mobilne kliniki i wszczepiają kobietom implanty antykoncepcyjne o trzyletnim działaniu. Tanie, stosowane w Afryce implanty zostały w Europie wycofane z użytku, ale jest inne wyjście – spirala. Też tania, działa pięć lat, wymaga jednorazowego kontaktu z lekarzem, bezobsługowa, bezpieczna. (...)

Towarzystwo Rozwoju Rodziny we współpracy z fundacją wspierającą kobiety z marginesu przeprowadziło swego czasu akcję zakładania spiral na warszawskiej Pradze. Pomoc uzyskało ponad 30 kobiet, chętnych było o wiele więcej. Była to jednorazowa inicjatywa, a potrzebne są rozwiązania systemowe. Właściwą ścieżką wydaje się pomoc społeczna. Nie wymaga to nawet zmian w prawie. Zakup spirali można sfinansować z tzw. zasiłku celowego. Pracownikom pomocy społecznej nie wolno co prawda iść z podopieczną do lekarza, ale mogą pomóc zorganizować wizytę i dopilnować, by do niej doszło. I tak się gdzieś tam dzieje. Warunki są dwa: pracownikowi socjalnemu musi się chcieć i musi działać dyskretnie, żeby lokalny proboszcz się nie dowiedział.

Gdy w grę wchodzi jakiegokolwiek kwestie związane z seksualnością, poziom obsesji i absurdu w debacie publicznej sięga zenitu.

i związani z Nim świętym sakramentem małżeństwa mają prawo używać tych organów, które stanowią *sacrum* w ciele ludzkim.

STWIERDZAM, że podstawą godności i wolności lekarza katolika jest wyłącznie jego sumienie oświecone Duchem Świętym i nauką Kościoła i ma on prawo działania zgodnie ze swoim sumieniem i etyką lekarską, która uwzględnia prawo sprzeciwu wobec działań niezgodnych z sumieniem.

UZNAJĘ pierwszeństwo prawa Bożego nad prawem ludzkim:

- aktualną potrzebę przeciwstawiania się narzuconym antyhumanitarnym ideologiom współczesnej cywilizacji,

- potrzebę stałego pogłębiania nie tylko wiedzy zawodowej, ale także wiedzy o antropologii chrześcijańskiej i teologii ciała.

UWAŻAM, że – nie narzucając nikomu swoich poglądów, przekonań – lekarze katolicy mają prawo oczekiwać i wymagać szacunku dla swoich poglądów i wolności w wykonywaniu czynności zawodowych zgodnie ze swoim sumieniem.

Co to jest „teologia ciała”? Co z pacjentami, którzy będą używać „organów stanowiących *sacrum* w ciele ludzkim” poza sakramentem małżeństwa? Czy sygnatariusze „Deklaracji wiary...” odmówią im pomocy lekarskiej? Po co ten dokument podpisywali okuliści, dermatolodzy czy dentyści? Kiedy

zawsze któryś z uczestników zwraca mu uwagę, że to już nie jest uznawane za metodę antykoncepcyjną. Wtedy prowadzący obrady wyjaśnia: „Tak, ale Zbyszek jest z Polski”.

Mimo wszystko liczba Polek stosujących antykoncepcję stale rośnie. Z badań prof. Izdebskiego wynika, że im młodsze kobiety, tym chętniej po nią sięgają. W trudnej sytuacji są mieszkanki małych miasteczek, gdzie zazwyczaj przyjmuje jeden ginekolog powołujący się na klauzulę sumienia i jeden aptekarz, który zakupy swoich klientek omawia

Nie ma takiego głupstwa, którego nie wygłoszono by w dyskusji o antykoncepcji.

z proboszczem. W najtrudniejszej – kobiety z biedy i patologii. To one w desperacji sięgają po najbardziej drastyczną metodę – dzieciobójstwo. Według kryminologa prof. Brunona Hołysty w Polsce wykrywanych jest ok. 80 przypadków zabójstw noworodków rocznie. Trudno o dokładne statystyki, bo część z nich klasyfikowana jest jako dzieciobójstwo, czyli zabójstwo dokonane na skutek szoku poporodowego, a część jako zwykłe zabójstwo. Jeszcze trudniej oszacować, jaka jest skala dzieciobójstw niewykrytych.

Skoro mamy problem rodem z Trzeciego Świata, może należałoby próbować go rozwiązać stosowanymi w Trzecim Świecie metodami.

Ideałem byłby oczywiście program rządowy, na wzór tego, który wprowadziła Francja, by zapobiegać ciążom nastolatek. Ale u nas to ideał nie do zrealizowania w tej chwili. Słowo „antykoncepcja” paraliżuje polityków. A i „proboszcz” dowiedziałby się na pewno. I wyciągnął ciężkie armaty w postaci eugenicznych zapędów, uderzenia w rodzinę i w prawo naturalne.

Fragment książki
Joanny Podgórskiej
Spróchniały krzyż,
Wielka Litera,
Warszawa 2019



Eksperymenty na granicy bioetyki

Przekroczeń etycznych się nie zauważa

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Świat obiegrała wiadomość, że japoński biolog prof. Hiromitsu Nakauchi otrzymał zgodę nie tylko na wszczepienie do zarodka myszy komórek ludzkich, ale także na podtrzymywanie zwierzęco-ludzkiej ciąży powyżej dopuszczalnego okresu standardowego wynoszącego 14 dni. Jakie konsekwencje może mieć ten eksperyment, uwzględniając także szczytny cel przyświecający temu działaniu – wyprodukowanie ludzkiej trzustki do przeszczepów?

– Dotychczas naukowcy w Japonii byli zobowiązani do przerywania rozwoju zarodków zwierzęcych zawierających komórki ludzkie przed upływem 14 dni od zapłodnienia. Obecnie zezwala się na przenoszenie takich zarodków do macicy zwierzęcia i donoszenie ciąży przez to zwierzę. Naukowcy starali się o zgodę na takie eksperymenty już wcześniej. Po długiej debacie japońskie Ministerstwo Edukacji i Nauki ogłosiło, że w uzasadnionych przypadkach możliwe jest wydanie zgody przez odpowiednie gremia, co oznacza, że każda decyzja o dopuszczeniu do realizacji konkretnego projektu badawczego będzie podejmowana oddzielnie. Ocenie poddaje się w takich przypadkach np. to, czy ryzyko nie jest większe niż w przypadku poprzednich podobnych eksperymentów, czy nie pojawiły się nowe informacje o możliwych zagrożeniach itd.

O jakim ryzyku może być mowa w manipulacjach prowadzonych na embrionach?

– To w dużej mierze kwestia wiedzy fachowej. Najczęściej mówi się o niekontrolowanej proliferacji ludzkich komórek wszczepionych do organizmu zwierzęcego, a więc przeniknięciu ich np. do układu nerwowego i mózgu zwierzęcia, co – jak się obawiają niektórzy – mogłoby istotnie zmienić status etyczny tak zmodyfikowanych genetycznie organizmów. Nie sądzę, by w tym przypadku były podstawy do obaw. Jeśli w układzie nerwowym myszy zagnieździ się kilkaset czy nawet kilka tysięcy komórek nerwowych pochodzących od człowieka, nie będzie to zmiana, która uczyniłaby z tej myszy człowieka lub istotę znacząco do człowieka podobną. Obawy co do tego, że przeniknięcie ludzkich komórek nerwowych do układu nerwowego myszy może powodować uczłowieczenie myszy, świadczą o uproszczonym wyobrażeniu o tym, czym jest człowiek i człowieczeństwo, a także o tym, co jest moralnie istotne.

Standardy etyczne do wymiany?

Wspomniał pan o japońskim gremium, które długo rozważało, czy dać przyzwolenie na taki eksperyment. Czy w Polsce mamy podobną strukturę etyczną?

– W wielu rozwiniętych krajach istnieją narodowe komitety czy komisje bioetyczne, które zajmują się kwestiami etycznymi w badaniach naukowych oraz formułowaniem stosownych standardów i rekomendacji. Polska takiego komitetu nie ma. Istnieje u nas Komitet Bioetyki



PROF. PAWEŁ ŁUKÓW

– etyk, kierownik Zakładu Etyki Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego

przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk. Komitet powstał z inicjatywy polskiego środowiska naukowego i omawia ważne problemy bioetyczne oraz formułuje stanowiska. Istnieje też Komitet Etyki w Nauce Polskiej Akademii Nauk, który zajmuje się szeroko pojętą etyką akademicką, a więc nie tylko zagadnieniami etyki prowadzenia badań naukowych, ale również etycznymi aspektami np. awansu zawodowego czy relacji w miejscu pracy. Oprócz tego niektóre uczelnie wyższe, jak m.in. Uniwersytet Warszawski, powołują własne komisje ds. etyki badań naukowych, których zadaniem jest ocena etycznych aspektów badań naukowych prowadzonych w tych uczelniach. Nie mamy natomiast w Polsce krajowego komitetu bioetycznego powołanego na mocy ustawy.

Prof. dr hab. Paweł Łuków jest autorem książek: „Zrozumieć śmierć człowieka”, red., Warszawa 2015, „Etyka medyczna z elementami filozofii”, współautor T. Pasierski, Warszawa 2014, „Moralność medycyny. O sztuce dobrego życia i o sztuce leczenia”, Warszawa 2012, „Granice zgody: autonomia zasad i dobro pacjenta”, Warszawa 2005.

Naukowcy muszą tylko spełniać wymogi odpowiednich ustaw, np. o ochronie zwierząt?

– Nad przestrzeganiem standardów w badaniach naukowych, w których wykorzystuje się zwierzęta, czuwają lokalne komisje etyczne do spraw doświadczeń na zwierzętach. Działają na podstawie Ustawy o ochronie zwierząt wykorzystywanych do celów naukowych lub edukacyjnych z 2015 r. Natomiast badania medyczne z udziałem człowieka muszą uzyskać aprobatę komisji bioetycznych, które działają na podstawie Ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty z 1996 r. Komisje zaś kierują się odpowiednimi standardami etycznymi, co w praktyce oznacza, że badacze muszą równocześnie spełniać odpowiednie wymogi etyczne i prawne.

Wracając do opisywanych badań japońskich – jeśli ich rezultat będzie pozytywny i uda się wyprodukować odpowiedni narząd do przeszczepu, to standard 14 dni utrzymywania przy życiu zarodka zwierzęco-ludzkiego zostanie zmodyfikowany?

– Zapewne obecny eksperyment jeszcze nie przyniesie gotowej trzustki. Nie wiemy, jak to będzie przebiegało oraz czy nie pojawią się nowe trudności lub ryzyka. W przypadku powodzenia tego eksperymentu i następnych podobnych najpierw zapewne dojdzie do dyskusji o ewentualnym zmodyfikowaniu standardu w innych krajach. Z pewnością wielu pacjentów i transplantologów czeka na pozytywny rezultat, ale nic tutaj nie następuje błyskawicznie, bo mogą się pojawić nowe informacje i zagrożenia. Na razie przeszczepianie narządów pochodzących z ciał zwierząt natrafia na barierę immunologiczną. Nie mówiąc o tym, że niektóre osoby mogą mieć zastrzeżenia etyczne, ideowe, estetyczne itp. dotyczące przeszczepiania narządów odzwierzęcych ludziom.

Obowiązujące u nas standardy etyczne w sprawach związanych z życiem i ciałem człowieka są więc sukcesywnie, chociaż dosyć powoli, rozluźniane. Czy system tych zasad i geneza obowiązujących standardów wywodzą się z chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej?

– Nie powiedziałbym, że dochodzi do rozluźnienia standardów. Niektóre stają się łagodniejsze,

a inne surowsze. Powiedziałabym raczej, że standardy stają się coraz bardziej precyzyjne. To prawda, że większość standardów etycznych w nauce wywodzi się z tradycji zachodniej czy judeo-chrześcijańskiej. Czy wszystkie są zgodne z tym, co głoszą chrześcijanie? To ustalają sami wyznawcy lub przywódcy danego wyznania. To zaś, że obowiązujące standardy etyczne wywodzą się z naszego kręgu kulturowego, jest następstwem między innymi tego, że intensywne i zakrojone na dużą skalę badania naukowe najwcześniej rozwijały się głównie w kulturze zachodniej i siłą rzeczy tu najwcześniej dochodziło do nieprawidłowości etycznych. Do otwartego łamania standardów dochodziło w nazistowskich Niemczech. Są też przykłady nieetycznych badań prowadzonych po II wojnie światowej. Spora część

Nie mamy w Polsce krajowego komitetu bioetycznego powołanego na mocy ustawy.

tych etycznych naruszeń była spowodowana brakiem odpowiedniej świadomości. A to sprawia, że przekroczeń etycznych się nie zauważa. Mimo różnych reform edukacji uniwersyteckiej wciąż widać ogromną potrzebę kształcenia z zakresu etyki badań naukowych przyszłych i już pracujących badaczy. Jako recenzent projektów badań naukowych widzę, że cały czas istnieje potrzeba uzupełniania wiedzy etycznej.

Sklonować Einsteina?

Zapewne w związku z postępami nauki i intensyfikacją badań związanych z fenomenem życia pole do dyskusji o etyce nieustannie się poszerza. Jesteśmy po dobrej stronie mocy?

– Badacze z kręgu euroatlantycznego odgrywają w nauce wiodącą rolę, ale dołączają też nowe podmioty. Prace na gigantyczną skalę prowadzone są w Chinach. Informacje, które do nas docierają, mogą świadczyć o tym, że badania tam prowadzone nie zawsze są zgodne z obowiązującymi standardami międzynarodowymi. Na przykład dr He Jiankui ogłosił, że metodami inżynierii genetycznej doprowadził do tego, że jedna z niedawno uro-

dzonych bliźniaczek, których genom został poddany w momencie zapłodnienia modyfikacji dokonanej w warunkach in vitro, jest odporna na zakażenie wirusem HIV. Wątpliwości etyczne związane z tym eksperymentem spowodowały, że władze chińskie wszczęły śledztwo w tej sprawie. Mała jest szansa, by He Jiankui mógł opublikować wyniki badań w szanującym się czasopiśmie naukowym. Ostracyzm środowiska naukowego najczęściej jest skuteczny.

Ostracyzmem w naszym kraju objęta jest np. metoda in vitro.

– Na ogół nie jest to ostracyzm naukowców. Zapłodnienie pozaustrojowe nie jest eksperymentem i znajduje się w głównym nurcie uznanej przez naukę terapii niepłodności. Od strony wiedzy medycznej nie ma tutaj specjalnych kontrowersji,

co nie znaczy, że nie ma takich, którzy zgłaszają zastrzeżenia natury moralnej. Kościół katolicki ma poważne zastrzeżenia. Aktualne spory dotyczą spraw takich jak liczba komórek, które można jednorazowo zapłodnić, co robić z zarodkami niewykorzystanymi w leczeniu albo jak długo można je przechowywać i kto ma decydować o ich dalszym losie. Sprawa jest ważna, bo dotyczy ludzkiego życia. Choć potrzeba leczenia wydaje się oczywista, to leczenie niepłodności metodą uznaną na świecie i w świecie medycznym nie jest objęte finansowaniem Narodowego Funduszu Zdrowia. Zamiast tego niektóre samorządy decydują się wspomóc finansowo pacjentów starających się o potomstwo.

Coś podobnego mogło się zdarzyć tylko w Polsce?

– Niekoniecznie. Przepisy i podejście do tej sprawy są bardzo zróżnicowane w różnych krajach. Są kraje podchodzące do sprawy dość liberalnie i takie, których prawo jest bardziej restrykcyjne.

Czy można się spodziewać, że postęp pójdzie w kierunku klonowania osób szczególnie silnych i uzdolnionych, włączając w to nawet geny słynnych postaci historycznych z dalekiej przeszłości?

► – To są bajki. Przede wszystkim klonowanie – zakładając, że byłoby bezpieczne i wystarczająco niedrogie – to bardzo mało efektywna metoda rozmnażania ludzi. Ale zasadnicze pytanie dotyczy tego, po co ktoś miałby to robić. Jeśli ktoś myśli, że wystarczająco komórki Einsteina, aby stworzyć nowego geniusza, jest bardzo naiwny i niewiele wie o człowieku, a jeszcze mniej rozumie sprawy ludzkie. O rozwoju i potencjale człowieka decydują nie tylko geny, ale warunki życia, doświadczenie, edukacja itd.

Ostrożność bioetyków

Wydaje się, że takich bajek czy legend krąży w naszej przestrzeni publicznej znacznie więcej. Co jakiś czas odzywają pogłoski o porywaniu dzieci w celu uzyskania narządów do przeszczepów. A tymczasem drastycznie spadła liczba transplantacji. Czy rzeczywiście działa nielegalny rynek narządów?

– W Europie i Ameryce Północnej to mało prawdopodobne. W opiece nad pacjentem jest zaangażowanych tak wiele osób i wyspecjalizowanych ośrodków, że handlu narządami właściwie nie dałoby się ukryć. Bardziej rozpowszechnionym zjawiskiem w tej części świata jest turystyka transplantacyjna, tj. wyjeżdżanie przez obywateli krajów zamożnych do krajów uboższych w celu poddania się przeszczepowi.

Czy jednak popularyzacja osiągnięć współczesnej nauki i powszechna edukacja przełamie ideologiczne blokady w rozważaniu zwłaszcza kwestii początków życia, łącznie są komórek rozrodczych,

jak też zakończenia życia, czyli śmierci. Edukacja seksualna zdaje się być równie napiętnowana jak np. eutanazja.

– Edukacja seksualna była od dawna zideologizowana, co się wiąże z szerszym zagadnieniem kwestionowania reprodukcyjnych praw człowieka przez środowiska konserwatywne, które mają dominujący wpływ na edukację seksualną w Polsce. Środowiska te bardzo dobrze rozpoznają ten wymiar sprawy i kwestionując prawa reprodukcyjne, wyrażają swoją niechęć do zmian społecznych.

W sprawie eutanazji nie ma globalnego ani kontynentalnego konsensusu wśród etyków.

A eutanazja? Jest całkiem spora grupa ludzi, którzy domagają się prawa do zakończenia życia w jakiejś granicznej sytuacji.

– Ta kwestia należy do bardzo kontrowersyjnych. Nie ma globalnego czy kontynentalnego konsensusu, także wśród etyków. Wspomagane samobójstwo jest legalne np. w Holandii, Belgii, w kilku stanach USA, w Kanadzie. W Belgii, Holandii i w Kanadzie dopuszczalne jest też spowodowanie śmierci nieuleczalnie chorego przez lekarza na wyraźne żądanie tego pacjenta. Kwestia ta jest kontrowersyjna m.in. dlatego, że zmienia wyobrażenia o tym, co należy do powinności lekarzy. Tradycyjnie mówiło się, że lekarz ma obowiązek przywracać zdrowie, zmniejszać gwałtowność chorób i zapobiegać przedwczesnej śmierci. Wspomagane samobójstwo i dobrowolna

eutanazja kwestionują to wyobrażenie lub przynajmniej kładą je istotnie przeinterpretować.

Obszar zagadnień, którymi muszą się zajmować bioetycy, jest ogromny i wymaga zarówno kolosalnej wiedzy, jak i odpowiedzialności. Czy są gremia międzynarodowe, a może międzykulturowe, które wypracowują jakiś konsensus?

– W ramach programów finansowania badań naukowych ze środków Unii Europejskiej działa zespół do spraw oceny aspektów etycznych projektów badań naukowych. Istnieją organizacje ponadnarodowe, jak

np. CIOMS (Council for International Organizations of Medical Sciences), parasolowa organizacja zajmująca się zagadnieniami etycznymi w badaniach naukowych z udziałem człowieka afiliowana przy UNESCO i współpracująca z WHO. W ramach UNESCO powstała Powszechna Deklaracja o Bioetyce i Prawach Człowieka. Rada Europy, do której należy Polska, ma Konwencję o ochronie praw człowieka i godności istoty ludzkiej w dziedzinie zastosowania biologii i medycyny. Jest więc sporo gremiów, którym na sercu leżą kwestie etyczne w badaniach naukowych i w medycynie i które biorą udział w wypracowywaniu konsensusu etycznego w badaniach naukowych. **Bioetycy są więc w znacznej mierze sami sobie żeglarzem i okrętem. Czy dominuje w ich środowisku postawa zachowawcza i konserwatywna, czy pełna zrozumienia dla postępu w naukach?**

– Środowisko etyczne jest zróżnicowane. Dominuje jednak postawa ostrożności. Niewielu bioetyków reaguje na nowe technologie na zasadzie „nie ma problemu”. Przeważa świadomość, że większość zmian technologicznych, organizacyjnych, społecznych itp. może coś poprawić, ale może też coś zepsuć lub kogoś skrzywdzić. Zastanawiając się nad takimi zmianami, etyk zadaje sobie pytanie „Co tu może pójść nie tak?”. Na tym polega znaczna część społecznej roli etyka: zidentyfikować problemy etyczne, zanim się one pojawią.

Bronisław Tumiałowicz

Po ciężkiej chorobie odszedł

Jerzy Szutowski

Właściciel legendarnego pensjonatu „Denis” w Piaskach koło Elku.

Otwarty. Kontaktowy. Sprawny organizator. Miłośnik Mazur.

Oryginał, z dużym poczuciem humoru.

Żonie Anecie i Synowi Danielowi

serdecznie współczuję

Jerzy Domański

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Historia nas sprawdza

Wpanoramicznym oknie mojego hotelowego pokoju krajobraz miasta z wieżami kościołów. W Poznaniu konferencja lekarzy wszelkich specjalności, wśród wielu referatów dwugłos o depresji, mój i M. – przyjaciela psychiatry. Kilkaset osób na sali. Nie mam nawet cienia tremy, tak pewnie się czuję w tym temacie, niestety. Potem z grupą lekarzy wykładowców rozmowy, oczywiście głównie o chorobie PiS, to nowotwór. Nikt nie pyta, kto ma inną diagnozę, ta jest oczywista. Serdecznie z prof. Zbigniewem Izdebskim, znanym seksuologiem, którego poznałem wiele lat temu. Z jego badań wynika, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat o 20% zmalała w Polsce grupa ludzi uprawiających seks. Jednym z głównych powodów są stres i brak czasu, ale muszą być też inne przyczyny. Żartuję: „A może to przez PiS?”. Ta partia jest bliska tezy, że seks powinno się uprawiać tylko w celach prokreacyjnych, inaczej jest animalistyczny. Tak uważa naczelny kapłan PiS abp Jędraszewski. No i wzorzec polskości, prezes, w ogóle nie wykonuje tych dziwacznych czynności.

Po swoim wystąpieniu widzę w smartfonie zdjęcie. Na nim ja mówiący z trybuny. Kto je wystąpił? To znajoma, od lat niewidziana. Jak to, to ona jest sali? Skarży się potem, że minąłem ją na korytarzu i nic, a w czasie wykładu uśmiechała się do mnie, a ja znowu nic. Jakbym jej nie znał. Pomyślała, że celowo. A to tylko mój chorobliwy brak pamięci do twarzy. Kiedyś spotykając kogoś i czując, że chyba go znam, ale – do licha – kto to, mawiałem: „Proszę mi wybaczyć i się przedstawić, mam alzheimera”. Ludziom jednak wydłużały się oblicza, więc teraz tylko tłumaczę, że mam taką ułomność. Ile miałem przykrości z tego powodu, ileż przykrości innym sprawiłem!

A ze znajomą serdecznie do późnej nocy. Jest lekarzem reumatologiem. Nie widzieliśmy się 13 lat. Tak szczerze i ciepło można rozmawiać tylko z kobietami. Ilu to ludzi umarło w międzyczasie. I znowu o inwazji barbarzyńców na Polskę. Ma kilku wśród znajomych. Szok. Mówi: „Czasami odnoszę wrażenie, że mają inną budowę mózgu”.

Nazajutrz spaceruję po Poznaniu, ładnie, dostаточно. Nie był zniszczony przez wojnę, a dawna tkanka miasta, stopniowo odnawiana, jest piękna. I jest trochę dobrej, nowej architektury.

Dworzec. Tu spotkałem ponad rok temu reżysera Ryszarda Bugajskiego. Przypadkiem. Zdawało mi się, że zmalał, a zawsze był taki postawny, zwalisty nawet. Zdu-

miał mnie, bo serdecznie się przywitał. A gniewał się o jakieś głupstwo przez kilkanaście lat. Już wiem, że był śmiertelnie chory, stąd łatwość wybaczenia.

Zbliżają się wybory. Afera goni aferę, a PiS nie spada w sondażach. Coraz częściej słyszę, jak ludzie mówią: „Oni też są złodziejami, ale dają, a tamci kradli i niczego nam nie dawali”. A prezes znowu obiecuje i prognozuje: „W Polsce energiczni ludzie – dobrzy, przedsiębiorczy ludzie – muszą mieć szansę. Muszą mieć szansę znaleźć się także bardzo wysoko w tych terenach zastrzeżonych dzisiaj dla profitentów postkomunizmu. Polska elita ekonomiczna musi być inna, nowa”. Pięknie i jasno powiedziane. Kolejny dowód, że Kaczyński pragnie stworzyć nowego człowieka. Jak komuniści w czasach stalinowskich. Reforma wyższych uczelni ma służyć temu, by weszły tam nowe kadry. To już praktykowano po 1968 r., przyszli tzw. szturmocenci. Teraz będą pisdocenci. Polskie wyższe uczelnie do dzisiaj liżą rany po tamtym zabiegu. Gliński, zainspirowany prezesem, mówi, że muszą też powstać nowe elity w kulturze. A więc patriotyczni pisarze, filmowcy, malarze. Podpowiadam Glińskiemu, że dużo jest do zrobienia na froncie książki, ukazuje się wiel-

ka liczba tytułów szkodliwych dla polskiego ducha. Można się pocieszać, że jesteśmy w ogonie Europy, gdy chodzi o czytelnictwo, ale problem jest. Pre-

zes tu pewnie też coś wymyśli. To ma charakter obłędu. W środku Europy, w XXI w. formułowany jest program skonstruowania nowego człowieka, ulepszanego Polaka, Europejczyka wyleczonego z liberalnej choroby, narodowego konserwatywnego katolika z kotлетem schabowym na sercu. Powodzenia.

Na promocji biografii Andrzeja Żuławskiego, duża kinowa sala pełna po brzegi. Ale o tej książce i o Andrzeju w następnym felietonie. Jaka jest skala naszych emocji, pokazuje wystąpienie Daniela Olbrychskiego, czytał fragment książki. W puencie wieczoru wygłosił płomienne antypisowskie orędzie i wezwał wszystkich, by szli na wybory. Dostał wielkie oklaski. Ja też wszystkich namawiam: idźcie. Historia mówi nam – sprawdzam. Chcecie dyktatury czy wolności?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Mai Thi Nguyen-Kim

Czy właśnie wygodnie siedzicie? Może więc powinniście jak najszybciej wstać, albowiem:

– siedzenie jest jak palenie papierosów;

– kto długo siedzi, wcześniej umiera;

– w Niemczech dwa razy więcej ludzi umiera z powodu braku ruchu niż z powodu palenia papierosów.

Często podróżuję służbowo. Jestem wówczas przeważnie *in action*, ale kiedy pracuję w domu, ruszam się stanowczo za mało. Czasami jest naprawdę źle, bo pisanie wymaga ode mnie ogromnej pasji i wiele czasu. Często moja praca w domu wygląda następująco: wstaję razem z Matthiasem i prosto z łóżka wskakuję na krzesło przed komputerem, by „tak na szybko sprawdzić mejle”. Godzinę później w drzwiach staje Matthias – pozornie godzinę, bo tak naprawdę jest 18. A ja ciągle jeszcze jestem w piżamie i mam za sobą 11 godzin pracy. Tym bardziej więc powinnam zwracać uwagę na to, aby odpowiednio dużo się ruszać. Bo siedzenie jest jak palenie papierosów – to „naukowo udowodnione”. (...) Bardzo, ale to bardzo ogólna zasada: jeśli coś jest „naukowo udowodnione” i jednocześnie zwariowane, to albo wcale nie jest naukowo udowodnione, albo wcale nie jest zwariowane. A w stwierdzeniu: „siedzenie jest jak palenie papierosów” jest wiele prawdy, ale też wiele przesady. Zaczniemy od złych wiadomości – tych prawdziwych. Choroby układu krążenia, nadwaga, cukrzyca typu drugiego, rak i depresja – wszystkie te choroby należy łączyć z *sedentary lifestyle*, jak nauka nazywa długie siedzenie. Chciałabym się dowiedzieć, jak długo przesiadywali nasi przodkowie. Czy oni też przy każdej okazji siedzieli w kucki na kamieniu albo na ziemi? I czy właśnie dlatego w którymś momencie zaczęliśmy robić krzesła? A może długie siedzenie zaprzecza naszej biologii i jest (niebezpiecznym) zjawiskiem kulturowym? Eksperci skłaniają się ku temu drugiemu stwierdzeniu.

W artykule „Siedzenie to dziś jak palenie papierosów: gdzie jesteśmy?” dr Benjamin Baddeley pisze:

„Gdyby przybył z kosmosu zwiedziciel naszej planetę, byłby zdumiony

Siedzenie to to samo, co palenie papierosów

Słuszne decyzje możemy podjąć dopiero wtedy, kiedy coś dokładnie zrozumiemy

nowoczesnym stylem życia ludzi, a szczególnie dziwiłby go nasz stosunek do wysiłku fizycznego. Po 6 mln lat bycia myśliwym i zbieraczami można zaobserwować, że ludzie zaszewniają się w ciepłych pomieszczeniach, siedzą w wygodnych fotelach (...). I co paradoksalne, tych samych ludzi można zaobserwować w trakcie spędzania »wolnego czasu«, kiedy bez żadnego wyraźnego powodu, nie zważając na pogodę, biegają w kółko albo, co jeszcze bardziej osobliwe, wydają pieniądze na wizyty na siłowni (...).”

No tak, a ja wydaję pieniądze na siłownię i wcale tam nie chodzę. To taka szczególna forma bycia cichym udziałowcem, którą przypuszczalnie dzieli z wieloma biernymi członkami fitness klubów.

Rzeczywiście jesteśmy gatunkiem, który coraz częściej pada ofiarą *non-communicable diseases* (w skrócie NCDs). To choroby, które nie są zakaźne, ale rozprzestrzeniają się jak współczesne epidemie. Chroniczne schorzenia, które postępują powoli. Cztery główne kategorie NCDs to choroby układu krążenia (jak zawał serca i udar), rak, chroniczne choroby płuc i cukrzyca typu drugiego. Te trzy ostatnie odpowiedzialne są za 71% zgonów na całym świecie, zgodnie z danymi WHO rocznie umiera z ich powodu 15 mln ludzi między 30. a 69. rokiem życia. Nie piszę tego po to, by zepsuć wam humor. Piszę dlatego, że chorób NCDs w większości da się uniknąć. Na główne czynniki ryzyka mamy wpływ: palenie papierosów, nadmierne spożycie alkoholu, niezdrowe odżywianie się – oraz brak ruchu.

Od dawna wiemy, że brak ruchu jest dla nas niekorzystny, a sport bardzo dobry. Trafia nam do przekonania stwierdzenie, że niewiele się ruszamy, siedząc. Ale jak dalece jest to niebezpieczne?

Ten, kto jest przebiegły, musi jedynie sprawdzić w Google hasło „Siedzenie to dziś jak palenie papierosów”. Można znaleźć kilka artykułów na ten temat. Często czytamy, że regularne uprawianie sportu nie usuwa szkód związanych z długotrwałym siedzeniem. Ważne jest, aby nie siedzieć długo bez przerwy. Przynajmniej raz na godzinę należy wstać, a najlepiej używać takiego biurka, przy którym się stoi, inaczej – w efekcie długiego siedzenia – zmarnujemy wszystkie korzyści zdrowotne, na które w pocie czoła pracowaliśmy w czasie wolnym. Patrząc na to od tej strony, siedzenie to nie tylko zaniechanie zdrowego ruchu, ale też aktywne szkodenie zdrowiu.

Co jest prawdą w tego typu wypowiedziach? Najpierw musimy zaakceptować fakt, że w nauce często nie ma krótkich – i jednocześnie poprawnych odpowiedzi. (...) Kto chce myśleć naukowo, nie może zadowalać prostą odpowiedzią.

Przykład: powiedzmy, że zapraszam przyjaciół na kolację. Kolega z pracy, nazwijmy go Paul, jest u mnie pierwszy raz. Ani nie wiem, co lubi jeść, ani ile normalnie zjada. Podaję moje ulubione risotto, które z reguły wszyscy goście chwala. I tylko Paul nie może się uporać ze swoją porcją. Pytanie: dlaczego Paul nie zjadł wszystkiego?

Odpowiedzi mogą być różne:

Paulowi nie smakowało.

Paul nie był głodny.

Paul generalnie nie jada dużo albo akurat jest na diecie.

Tak czy owak, odpowiedź nie musi być skomplikowana, prawda? A teraz zapytajcie naukowca. On ująłby sprawę w następujący sposób:

„Paul zjadł mniej niż wszyscy uczestnicy przyjęcia. Możliwe więc, że Paul albo zjadł mniej niż przeciętnie, albo pozostali goście zjedli więcej niż przeciętnie. Paul był jedy-



nym gościem, który nie zjadł wszystkiego ze swojego talerza. Także w przeszłości inni goście zjadali stale większe ilości tego samego risotto. Wszystko razem jednoznacznie wskazuje na to, że Paul ma jakiś powód do tak powściągliwego zachowania.

Przyczyny mniejszych ilości jedzenia mogą być bardzo różnorodne. Jedną z nich może być mniejsze niż przeciętnie odczuwanie głodu przez Paula, przy czym w tej chwili nie możemy ustalić, czy to ogólna zasada. Możliwe, że Paul zjadł na obiad więcej niż przeciętnie albo że generalnie wieczorem niewiele jada. Inną przyczyną mogą być upodobania smakowe Paula. Możliwe, że jedzenie mu nie smakowało. Mogło to wynikać z faktu, że generalnie nie lubi risotto na bazie kukurydzy. Przeciwno temu przemawiają jednak wypowiedzi Paula, które świadczyły o przyjemnych doznaniach smakowych. Choć w przeszłości zaobserwowano wielokrotnie, że takie wypowiedzi niekoniecznie muszą odpowiadać prawdzie, wzmacniają one społeczne związki z gospodarzem czy też powinny świadczyć o przestrzeganiu innych etykiet społecznych. Ale ponieważ obecnie nie posiadamy informacji ani o innych upodobaniach żywieniowych Pau-

la, ani o społecznych formach jego zachowania, należy traktować taką możliwość z dużą ostrożnością. Możliwa jest także kombinacja kilku przyczyn, przy czym nie jesteśmy w stanie ocenić wagi ani znaczenia różnych czynników. Konieczne są dalsze badania”.

Jesteście tam jeszcze? A może wyłączyliście już swoje mózgi? Jeśli jeszcze nigdy nie czytaliście opracowania naukowego, wyobraźcie sobie, że wygląda ono dokładnie tak. Nie przesadziłam. Jeśli zamiast tego przeczytamy artykuł w gazecie, z reguły nie będzie on napisany tak suchym i beznamiętnym językiem. To oczywiście sztuka dobrego dziennikarstwa naukowego, ale czasami „lżejszy” tekst może prowadzić do fałszywej – albo zbyt uproszczonej – interpretacji wyników badań.

Problem w tym, że niełatwo sprawdzić faktyczne wyniki badań na podstawie artykułu w gazecie. Oczywiście można się powołać na badania źródłowe, ale wyobraźmy sobie, że co czwarte słowo rozprawy na temat risotta jedzonego przez Paula będzie fachowym terminem – a to właśnie realny świat publikacji naukowych. Takie terminy są niezrozumiałe na różnych płaszczyznach! To

po prostu inny język – język fachowy. Jest to tak szczegółowy i zróżnicowany bełkot, że cholernie trudno wyłapać z niego sedno sprawy. (...)

Jasne staje się, jak ważny jest medialny przekaz nauki, bo jeśli sami chcielibyśmy przeczytać dane wyniki badań, często daleko byśmy nie zajechali. Nie mówiąc już o tym, że wiele wyników w ogóle nie jest dostępnych publicznie (...). Dlatego tak ważne jest dobre, rzetelne dziennikarstwo naukowe.

Każdy dziennikarz wie, że lubimy proste informacje. I rozumiame nagłówki. A najlepiej, żeby były proste i dramatyczne! I tak powstają nagłówki w rodzaju: „Siedzenie jest jak palenie papierosów” albo „Paul nie nawidzi risotta z kukurydzą”.

Szum na temat niebezpieczeństwa, jakie niesie siedzący tryb życia, w międzynarodowych mediach stał się tak głośny, że stało się to przedmiotem badań. Australijscy naukowcy zajmujący się komunikacją ocenili ok. 50 artykułów na ten temat. Wyniki są bardzo interesujące:

1. W około jednej trzeciej tekstów wyjaśniano, że długie siedzenie jest tak szkodliwe, iż całkowicie znosi korzystne dla zdrowia efekty uprawiania sportu. Stwierdzenie, że to równoważne z paleniem papierosów, wcale nie jest wobec tego na wyrost. Ale czy to prawda? Powiem krótko: nie! Jeśli więc w panice poderwaliście się z krzeseł, spokojnie usiądźcie. Istnieje wiele przesłanek naukowych wskazujących na to, że sport i ruch całkowicie kompensują efekty długiego siedzenia. Tym, którzy długo siedzą, zaleca się codzienny ruch przez godzinę do półtorej. A jaka to różnica, czy będę się codziennie „trochę” ruszać, czy „odrobienię” moją całotygodniową powinność sportową w jednym dniu? Tak zwani *weekend warriors* – weekendowi wojownicy, którzy uprawiają sport tylko jeden do dwóch dni w tygodniu, mogą w ten sposób skutecznie przeciwdziałać efektom długiego siedzenia. (Słowo „tylko” z poprzedniego zdania powoduje, że mam coraz większe wyrzuty sumienia, kiedy to piszę).

Niebezpiecznie jest komunikować wszem i wobec, że siedzenie to sposób na zniszczenie sobie zdrowia. Niektórzy, słysząc hasło: „siedzenie jest jak palenie papierosów”,

► natychmiast zabiorą się do wygrzebywania z szafy butów do biegania. Ci sami po Bożym Narodzeniu czują motywację, aby pędem udać się do fitness klubu w celu zbicia kalorii po świątecznych plackach i pieczeni z gęsi. Należę do ludzi, którzy w efekcie czują coś w rodzaju negatywnej motywacji i myślą: Teraz mogę olać siłownię, bo to już i tak nie ma sensu.

Jeśli spojrzeć od strony naukowej, siedzenie powinno się postrzegać jako bagatelizowanie ryzyka. Kiedy planujemy czas na ruch i sport, powinniśmy wprowadzić do równania również długie siedzenie. Tyle że wcale nie jest łatwiej doprowadzić do „krótszego siedzenia” niż do większej ilości sportu – to także fakt poparty naukowo. A jeśli dokładniej się przyjrzeć badaniom na temat weekendowych wojowników, należałoby

że bez wyrzutów sumienia mogę siedzieć w biurze, a przed telewizorem powinnam stać? To przykład na to, że z samego liczenia nie wynikają żadne sensowne fakty. Pozwólcie mi wyjaśnić, w jaki sposób powstaje ta współzależność. W biurze pracuje ktoś o wysokim statusie społeczno-ekonomicznym, odpowiednim wykształceniu i określonym standardzie życia. To czynniki ogólnie sprzyjające, jeśli chodzi o lepsze zdrowie. Patrząc więc od strony statystyki – ludzie bogatsi są zdrowsi.

Wysoki poziom „konsumpcji” telewizji jest za to związany raczej z niskim statusem społeczno-ekonomicznym, niskim poziomem wykształcenia i wyższym wskaźnikiem bezrobocia. Te czynniki korespondują z gorszym zdrowiem psychicznym i fizycznym, a również z niezdrowym

to ja jestem odpowiedzialna za to, aby wprawić w ruch swoje mięśnie. Ale jest też wiele innych czynników, które wpływają na siłę mojej woli. Na przykład czerpię zyski z dobrobytu, który umożliwia mi wydawanie pieniędzy na siłownię (a nawet jestem na tyle zamożna, że moja składka członkowska nie stanowi dla mnie dostatecznej motywacji, aby w ogóle udać się do fitness klubu). Poza tym jestem niezależna, nie mam nad sobą szefa ani kolegów, którzy patrzyliby na mnie krzywo, kiedy co godzinę wstaję z fotela i robię kilka pajacyków. I o ile umiem to dobrze ocenić, cieszę się zdrowiem psychicznym na tyle, że umożliwia mi ono troskę o moje zdrowie fizyczne.

„Po prostu więcej się ruszać”. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Fakt, że 80% chorób NCDs występuje w krajach o niższych dochodach, jest związany nie tyle z siłą woli ich obywateli, ile z ich statusem społeczno-ekonomicznym i wieloma kompleksowymi współzależnościami.

Jeśli chcemy zwalczać NCDs, istnieje wiele środków, po które możemy sięgnąć. Wszystko rozpoczyna się od edukacji i informacji (...).

Co uznam za przydatne w mojej zawodowej codzienności? Nie będę robić sobie wyrzutów z tego powodu, że nie daję rady regularnie chodzić na siłownię, przynajmniej dopóki nie skończę tej książki. Zamiast tego każdego dnia zrobię sobie godzinną przerwę, wstanę z biurka i wykonam 20 pajacyków. Albo wieczorem pójdę na spacer. Albo jedno i drugie. To wy decydujecie o tym, co uznacie za korzystne dla siebie. Przede wszystkim jednak nie możemy się zadowalać krótkimi i prostymi odpowiedziami, lecz przeczytać wiele stron na dany temat. Bo słuszne decyzje możemy podjąć dopiero wtedy, kiedy coś dokładnie zrozumiemy.

A więc teraz zrobię sobie przerwę na ruch. Idźcie ze mną?

Nie możemy się zadowalać krótkimi i prostymi odpowiedziami.

codzienne siedzenie skrócić o kilka godzin, aby uzyskać podobne efekty, jakie przynosi uprawianie sportu przez jeden do dwóch dni w tygodniu. Jeśli chcemy wybrać: mniej siedzenia czy codzienny spacer, ewentualnie intensywny sport raz w tygodniu – powinniśmy najpierw zadać sobie pytanie: którą z tych możliwości wdrożymy najszybciej?

Działa tu ta sama zasada jak w przypadku diet: skuteczna jest ta, w której wytrwam. Wówczas można o wiele bardziej konstruktywnie zinterpretować wszystkie wyniki badań naukowych: nasze zdrowotne portfolio ruchu będzie bogatsze o kolejną aktywność – mniej siedzenia! Można na to spojrzeć jak na szansę dla ludzi, którzy nie chcą albo nie mogą uprawiać żadnego sportu. Chociaż nagłówek: „Siedzenie jest jak palenie papierosów” z pewnością bardziej do nas przemawia niż: „Nowy sport – mniej siedzieć”.

2. Autorzy jednej czwartej artykułów podkreślali, że szczególnie zagrożeni są pracownicy biur.

Jasne, w biurze dużo się siedzi. Ale jeśli spojrzeć na statystyki, można stwierdzić coś bardzo interesującego: siedzenie siedzeniu nierówne. Ktoś, kto siedzi długo w biurze, żyje zdrowiej niż ktoś, kto siedzi długo przed telewizorem. Czy to oznacza,

sposobem odżywiania się. Weźmy bowiem pod uwagę, że nadużywając siedzenie przed telewizorem, jesteśmy narażeni na bodźce w postaci reklam niezdrowego jedzenia.

Jak widać, ustalenie wpływu siedzenia na zdrowie na podstawie powyższych danych jest praktycznie niemożliwe. Mówiąc inaczej: to, że oglądanie telewizji jest związane z wysokim ryzykiem wystąpienia NCDs, nie oznacza, że siedzenie w tym kompleksowym równaniu stanowi niebezpieczeństwo.

Jedno natomiast możemy stwierdzić z całą pewnością: *noncommunicable diseases* są ściśle związane ze statusem społeczno-ekonomicznym. W perspektywie międzynarodowej okazuje się, że 80% NCDs dotyczy krajów o niższym poziomie dochodów. Jest to o tyle istotne, że typowy urzędnik – patrząc globalnie – nie jest najczęstszą ofiarą NCDs.

3. Autorzy ponad 90% artykułów twierdzą, że każdy sam odpowiada za to, czy się rusza.

Czy tak faktycznie jest? Jesteśmy w stanie uniknąć ryzyka związanego z zapadaniem na choroby NCDs, bo mamy wpływ na czynniki za nie odpowiedzialne. W tym miejscu muszę wyjaśnić to dokładniej, aby nie popełnić błędu autorów większości artykułów na ten temat. Oczywiście

Fragment książki
Mai Thi Nguyen-Kim *Śmierć przy myciu zębów. Chemia dla zabieganych*, przekład Anna Makowiecka-Siudut, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019



Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkała

Problem z finansowaniem artystów – zwłaszcza tych, którzy zajmują się działalnością niekomercyjną, taką jak poezja, performance, progresywna choreografia, teatr krytyczny itd. – wydaje się coraz pilniejszy. Cenzura finansowa jest mniej widoczna niż cenzura merytoryczna, ale nie mniej dotkliwa. W „Berlińskiej depresji” Anda Rottenberg opisała, jak szef BWA w którymś z mniejszych miast poprosił artystę, żeby sam się ocenzurował, wymieniając prace na mniej kontrowersyjne, bezpieczniejsze. „Nawet rozumiem rozterkę biednego prowincjonalnego kierownika galerii bez środowiskowego zaplecza, który w dodatku jako jeden z niewielu dostał dużą ministerialną dotację. Wyobraźnia mu podpowiada same przykrości (...). Więc co on ma teraz zrobić, żeby nie wyjść na świnię i jednak nie stracić pracy?”. I przypomniała mi się rozmowa, którą usłyszałam na jakimś wieczorze literackim: jeden facet radził drugiemu, żeby ubiegając się o stypendium, nie używał w podaniu tytułu „Gazeta Wyborcza”. Trwa także

i cyzelująca frazy, chłodna Bishop nie mogła wybaczyć przyjacielowi, że wciąga do wierszy listy swoich kochanek (Lowell reprezentuje konfesyjny nurt w poezji amerykańskiej). – Życie jest ważniejsze od literatury – pisała Bishop, dając wyraz swojemu oburzeniu. Ale Lowell był innego zdania, utożsamiał życie z literaturą. W jego listach oczywiście widać talent, ale także pośpiech, chaos, w którym Lowell żył i czuł się dobrze – wreszcie zorientowanie na życie literackie. Jego wypowiedzi i opinie wydają się autentyczne. Natomiast jak można wierzyć w szczerość listów Heideggera i Arendt? Pewien filozof złośliwie napisał, że ta *power couple* dobrze zdawała sobie sprawę z „monumentalności” swojego romansu. Profesorska anegdota głosi, że swoje listy od razu złożyli w bibliotece Pruskiej Akademii Nauk.

Tu pojawia się odwieczne pytanie, czy autorzy, pisząc listy lub dzienniki, zdają sobie sprawę z tego, że piszą literaturę (to znaczy, że ktoś będzie to czytać), czy dyskutują sami ze sobą, dając upust jakimś wstydliwym namiętnościami

Nie mogę ci tego powiedzieć

środowiskowy spór, dotyczący publikowania/niepublikowania tekstów w dotowanym przez Instytut Literatury piśmie „Napis”. Awantury w mediach społecznościowych, wypowiedzi poetów i krytyków, wiersze („Ale / o co ci chodzi? Robią dla szatana, / bowiem mają rodziny. I puste lodówki”) – to już część pejzażu tzw. polskiego życia kulturalnego. A gdybyśmy zaczęli wymieniać tych, którzy zmuszeni byli opuścić swoje miejsca pracy (galerie, muzea, teatry), ponieważ nie wprowadzili cenzury/autocenzury, to zrobiłoby się nam po prostu przykro.

Nagle znów można wylecieć z pracy, pokazując „niewłaściwy” obraz, spektakl, pisząc „niesłuszny” tekst. Powraca więc nie tylko temat cenzury, ale i autocenzury, którą trudniej dostrzec, bo wydaje się „prywatna”, „osobista”, bo polega czasem na drobnej nielojalności, autoagresji tak kameralnej, że aż niewidocznej: zmianie tematu teatralnego przedstawienia, pominięciu jakiegoś nazwiska. Cenzura demoralizuje nas także dlatego, że to my hodujemy w sobie cenzora. A razem z nim pojawia się strach. Panika, że ktoś obok nas stanął do zdjęcia, że wystawiliśmy prace malarza, który krytycznie się wypowiedział o ministrze, że jeśli zagłosujemy za jakimś projektem, to staniemy się jakimiś NIMI. W Polsce trwa wojna. W teatrach szeregowi pracownicy wolą na wszelki wypadek nie rozmawiać z nikim.

W obszarze literatury autocenzura ukazywała inne oblicza, subtelniejsze. Do historii przeszedł na przykład spór poetki Elizabeth Bishop z Robertem Lowellem. A ponieważ przyjaciele prowadzili długą i ożywioną korespondencję – możemy (np. w archiwalnym numerze „Literatury na Świecie”) bliżej przyrzeć się tej intelektualnej sprzeczce. Chodziło o poezję, ale też o – że tak powiem – morale. Powściągliwa

albo po prostu – rozpisują się? Jak głębokie jest to rozróżnienie, pokazują „Dzienniki” Gombrowicza – literacko doskonale wystylizowane, skorygowane, gotowe do druku. I „Kronos” tego samego autora – dziennik, który miał nigdy nie ujrzeć światła dziennego: pozbawione wdzięku, żmudne zapiski z historii choroby, lakoniczna, chłodna ekspresja starzejącego się, cierpiącego ciała. Żadnych walorów literackich, ale też żadnej cenzury. To nie precyzyjna, wystawiona na pokaz persona, tylko fizjologiczna opowieść, którą zwykle chowamy przed światem. Dopracowane fabularnie i stylistycznie dzienniki Virginii Woolf i Sylvii Plath (nawet biorąc pod uwagę potężną pracę badaczy, którzy je opracowali) czyta się jak dobrą prozę, albowiem są dobrą prozą i tyle. Jednak przypomnijmy sobie awanturę, jaka wybuchła jakiś czas temu po wydaniu „Dzienników” Kisielewskiego. Że napisał o tym czy tamtym autorytecie, że to idiota. Że obrzucił mięsem kilku żyjących jeszcze wówczas intelektualistów i polityków. Mimo niewątpliwej literackiej i historycznej wartości opublikowano „Dzienniki” dopiero pięć lat po śmierci autora, który zresztą cenzury nie uznawał i wycofywał swoje felietony z tygodników, kiedy te chciały w jego felietony ingerować.

Zawsze jest w nas trochę autocenzury i – powiedzmy otwarcie – na szczęście. Poza nią często jest już tylko hejt, niezapśredniczony impuls, stara dobra spontaniczna nieważność. Gorzej, jeśli autocenzura jest wynikiem cenzury, która staje się systemowym wymuszaniem na ludziach spełniania oczekiwań jakiejs władzy. Od czegoś takiego nas uchroni, nasza biedna ojczyzna. Na to sobie nie pozwalamy, bo nas pochłonie krok po kroku – jak w wierszu Czesława Miłosza – obojętność.

KTO JESZCZE SCHOWAŁ SIĘ W SZAFIE?

Spokojne angielskie miasteczko. Dom pastora Lionela Toopa oraz jego pięknej i wywołanej żony Penelopy Toop, budzącej zgorzelenie wśród nobliwych mieszkańców. Niechęć do niej przejawia zwłaszcza wścibska stara panna Skillon, skrycie podkochująca się w przystojnym duchownym. Gdy podczas nieobecności pastora jego żonę odwiedza niezapowiedziany gość – kolega sprzed lat, z czasów teatralnych – rusza lawina nieoczekiwanych zdarzeń. Anna Czaratorska-Niemczycka, Aleksandra Domańska, Stefan Pawłowski, Maciej Damięcki, Piotr Zelt, Olga Bończyk to aktorzy, których mieliśmy okazję podziwiać na premierze w Teatrze Capitol. „O co biega?” to jedna z najzabawniejszych światowych komedii. W pełnej zaskakujących zwrotów akcji historii do samego końca nie wiadomo, kto jeszcze pojawi się nagle w drzwiach lub wyskoczy z szafy.

Philip King, „O co biega?”, przekład Bożena Sławińska, reż. Marcin Sławiński, Teatr Capitol, premiera 23 września



WOJNA JAK BÓL

Spektakl nosi tytuł „Dobrze ci tego nie opowiem” i zgodnie z zapowiedzią nie opowiada „dobrze” o wojnie. Nie jest to jednak ani asekuracja, ani porażka autorki, która gromadzi argumenty o nieprzekazywalności doświadczenia wojny. Pewnie można by je porównać do fizycznego bólu, który mijając, pozostawia po sobie świadomość zaistnienia, ale nie sposób go w pamięci odtworzyć ani nawet opowiedzieć.

Przedstawienie, sprawiające wrażenie etiud aktorskich na zadany temat, składa się więc z kilku monologów, dowodzących, że o wojnie opowiedzieć się nie da. Co najwyżej można próbować zarysować sytuacyjne



kontury, np. widok leżącego rannego (?) żołnierza. Karasińska korzysta tu z własnego wynalazku, który wypraktykowała w poprzednich realizacjach (m.in. „Ewelina płacze” w TR Warszawa): ogrywa teatralność, dzieli się z widzami za pośrednictwem swoich

postaci informacjami o przygotowaniach do spektaklu, ujawnia własną bezradność w wyłuszczeniu tematu. Kolejno pojawiają się przed nami: asystentka reżyserki, żołnierz uniwersalny, pacyfistka i dziewczyna zafascynowana przemocą. Ich wypowiedzi krążą wokół tematu, ale pozostawiają widza z samym sobą – musi odpowiedzieć na pytania, czym jest wojna i czy wojenne doświadczenie można przekazać. Po tej godzinie lekcyjnej o wojennej traumie (spektakl trwa ok. 45 minut) jednego można być pewnym: nie da się od niej uwolnić.

Tomasz Miłkowski

„Dobrze ci tego nie opowiem”, tekst i reżyseria Anna Karasińska, spektakl Komuny Warszawa na scenie Teatrgaleria Studio, 8 września

NA POWAŻNIE

PRZYPowieść o PRZEMOCY

Wyjątkową kreatywnością wykazała się młoda reżyserka i śpiewaczka Bożena Bujnicka, inscenizując kameralną operę Haendla „Aci, Galatea e Polifemo”. Wyobraziła sobie bohaterów aforyzmu muzycznego opartego na starożytnym micie jako współczesny trójkąt: para zakochanych i wpływowy, brutalny „opiekun” dziewczyny. Wprowadziła na scenę dodatkowo sześcioro epizodystów, którzy tworzą realne tło tej symbolicznej historii, salę lekcyjną, mieszkanie opiekuna, porachunki osobiste. Pojawiają się nawet ratownik medyczny i policjantka. Widownia śledzi akcję w napięciu, słuchając genialnej muzyki.

Bronisław Turmawicz



G.F. Haendel, „Aci, Galatea e Polifemo”, kier. muz. Krzysztof Garstka, reż. Bożena Bujnicka, Festiwal Oper Barokowych na scenie Mała Warszawa, premiera 15 września

MIEDZY OKŁADKAMI

Stephen King

INSTYTUT

tłum. Rafał Lisowski

Albatros, Warszawa 2019

O dylemacie moralnym nie ma co tu mówić. Wiadomo, po czyjej stronie się opowiedzieć. Role są rozpisane na dobrych i złych, motywacji tych złych nie da się przyjąć. Hasło: poświęcenie jednostki dla dobra ogółu, staje się po lekturze „Instytutu” bredzeniem szaleńca. Jeżeli jednostka zostaje poświęcona nieświadomie, wbrew woli, bo ktoś gdzieś tak zdecydował, szczególnie gdy poświęcanym jest dziecko, nie sposób uznać, że dzieje się to w imię wyższego dobra. Upatrzone dzieci są porywane, a ich rodzice likwidowani. To właśnie spotkało Luke’a Ellisa, nastoletniego geniusza. Ale nie jego wybitna inteligencja zwróciła uwagę ludzi z Instytutu, ona nie jest im potrzebna. To jak wziąć ultraszybki laptop i tłuc nim komary. W Instytucie dzieci traktuje się jak jego własność, a z nią można robić wszystko. Decydowanie o czyimś życiu szybko deprawuje – przypominają się sceny z Abu Ghraib. Nie da się tego czytać bez wściekłości.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

CZARNY MERCEDES

reż. Janusz Majewski, prod. Polska, już w kinach

Dla fanów retro przejażdżka „Czarnym mercedesem” będzie do zniesienia. Jeśli jednak od pięknych kadrów i urodziwych ludzi w zachwycających szatach wolicie piękno scenariusza i gatunkową czystość, lepiej nie podjeżdżajcie pod kino. Janusz Majewski zekranizował własną książkę, w której rzeczywistość okupacyjnej Warszawy pokazuje w tle kryminalnego dochodzenia. Od noża zginęła Aneta (Maria Seweryn), młoda Żydówka, która chroniła się przed nazistami pod dachem swojego profesora (Artur Żmijewski). 88-letni twórca podsuwa kolejne tropy, ale bardziej od dociekania, kto i dlaczego zabił, uwagę przykuwają postaci pojawiające się w epizodach. Przemysław Bluszczy,



Andrzej Seweryn czy Izabela Dąbrowska charyzmą nadrabiają nieścisłości logiczne. Ich postaci to także dowód na doskonały słuch Majewskiego, przynajmniej do dialogów. Erotyczno-egzystencjalne tyrady mają tu taką moc jak w nieodżałowanych „Zaklętych rewirach” czy „Zazdrości i medycynie”. Ogólnie jednak „Czarny mercedes” stoi od nich tak daleko jak Paryż od Dakaru.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

PO/WY/MIARY
Dorota Nieznalska,
Jörg Herold,
Katarina Pirak Sikku

W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej trzej artystów pochyla się nad pseudonaukowymi badaniami antropologicznymi wykorzystywanymi przeciwko człowiekowi. Poprzez sztukę zadają pytania, jak wytłumaczyć niechęć wobec obcych. Punktem wyjścia wystawy jest wieloczołnowa instalacja Nieznalskiej, która powstała jako efekt badań artystki w archiwum Instytutu Niemieckich Prac na Wschodzie założonego przez Generalnego Gubernatora Hansa Franka w Krakowie w 1940 r. Jedną z sekcji instytutu zbierała dokumenty mające dowiedzieć, że wybrane grupy nie nadają się do germanizacji i powinny zostać zlikwidowane.

WROCŁAW, PAWILON CZTERECH KOPUŁ, DO 24 LISTOPADA



FESTIWAL



RÓŻEWICZ OPEN FESTIWAL

To największe wydarzenie artystyczne poświęcone twórczości braci Różewiczów – Janusza, Stanisława i Tadeusza – organizowane jest po raz kolejny w Radomsku. To tu rodziły się ich twórcze inspiracje. Sercem festiwalu jest Miejski Dom Kultury. Festiwal od lat łączy pokolenia czytelników i różnych artystycznych gustów. I tym razem program konstruowany został tak, aby coś dla siebie znaleźli zarówno koneserzy sztuki, jak i miłośnicy lżejszych form. W tym roku zdecydowano się na poszerzenie formuły wydarzenia. Osią będzie konfrontacja tekstów głównego patrona festiwalu Tadeusza Różewicza ze spuścizną literacką Witolda Gombrowicza. Festiwal rozpocznie panel dyskusyjny „Różewicz vs Gombrowicz” z udziałem reżyserki Magdaleny Miklasz, aktora i pedagoga Jarosława Bielskiego oraz teatrolog Joanny Lisiewicz. Spotkanie poprowadzi prof. Barbara Osterloff, dyrektor artystyczny ROF. Wstęp na większość wydarzeń jest wolny. Szczegóły: www.rozewiczopen.pl.

RADOMSKO, 9-14 PAŹDZIERNIKA

35. WARSZAWSKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY

Impreza bez której trudno wyobrazić sobie jesień w Warszawie. Na 35. WFF zobaczymy m.in. najnowszy dokument Mayi Newell o aborygeńskim 10-letnim uzdrowicielu, „Naszą matką Polskę” Mateja Bobrika o młodych Japończykach studiujących polonistykę, film Alexa Gibneya o Michaile Chodorkowskim, hit nagrodzonego na WFF w 2008 i 2015 r. Rúnara Rúnarssona z Locarno – „Echo”, „Lalkę” Mouni Meddour pokazywaną w Cannes, nowe filmy Takashiego Miike i Sophie Hyde z Sundance, a także fantastyczne portrety muzyków: „Liam Gallagher: Tak było”, długo oczekiwany „Mystify: Michael Hutchence” i fascynująca rzecz o francuskich rockmankach – „Ech, te dziewczyny!”. To tylko niektóre z tytułów zgromadzonych w sekcjach: Pokazy Specjalne, Odkrycia i Dokumenty. Wszystkie znajdziemy na stronie www.wff.pl.

WARSZAWA, KINOTEKA, MULTIKINO ŻŁOTE TARASY, 11-20 PAŹDZIERNIKA



WYTWÓRNIĄ FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH ORAZ KINO ŚWIAT PRZEDSTAWIAJĄ

KAŻDY MA COŚ DO UKRYCIA



REŻYSERIA
JANUSZ MAJEWSKI



CZARNY MERCEDES

ŻMIJEWSKI DĘBSKA MILIĆEVIĆ ZIELIŃSKI LINDA
SEWERYN BOHOSIEWICZ STENKA

WYTWÓRNIĄ FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH, TELEWIZJA POLSKA S.A. PREZENTUJĄ FILM „CZARNY MERCEDES” WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
WYSTĘPIJĄ MARIA DĘBSKA, ARTUR ŻMIJEWSKI, ALEKSANDAR MILICEVIĆ, ANDRZEJ ZIELIŃSKI, ANDRZEJ SEWERYN, BOŻUSŁAW LINDA, MARCEL SABAT, SONIA BOHOSIEWICZ, ANDRZEJ MASTALIŃSKI,
DANUTA STENKA, NATALIA RYBICKA, IZABELA DĄBROWSKA, MARIAN OPIAŃSKI, WIKTOR ZBOROWSKI, ANDRZEJ BARANOWSKI, PRZEMYSŁAW BUŚCZ, ŁUKASZ SIKORA, ANTONI KRÓLIKOWSKI, DANIEL PASSENT, VADIM BRĘDZKI
GŁÓWNY SCENARIUSZ ANETA BRZOZOWSKA, MONIKA JAN-LECHTAŃSKA WYSTĘPIJĄ ELŻBIETA RADKE, PRZEMYSŁAW BUŚCZ, ANDRZEJ SZENAJCH SCENARIUSZ ANDRZEJ HAJNISKI DOKUMENTALNA REŻYSERKA INGA PALACZ
REDAKTOR KRZYSZTOF JASTRZĄB POLITYKA PAWEŁ ŁUCEWICZ POKAZAŁ MILENIA FIEDLER, MARIUSZ KUŚ REŻYSEROWIŁA REDAKTOR PAWEŁ MANTORSKI JEDYŃCĄ AREK TOMIAK PSC DYSTYBUCJA KINO ŚWIAT
REDAKTOR MACIEJ MUZYCZUK PRODUCENT WŁODZIMIERZ NIDERHAUS SCENARIUSZ REŻYSER JANUSZ MAJEWSKI



KINO ŚWIAT

W KINACH OD 4 PAŹDZIERNIKA



KINO ŚWIAT
W SPRZEDAŻY



eprasa.pl 6c9acf54e8

Profilaktyka wyborcza

Edward Mikołajczyk

Chyba długo jeszcze żadna matka Angielka nie pozwoli, aby jej synek miał na imię Boris. I to niezależnie od tego, dokąd zaprowadzi Zjednoczone Królestwo dzisiejszy (stan na 1 października 2019 r.) premier Johnson. Bynajmniej nie rozstrzygnie o tym powodzenie albo niepowodzenie brexitu. Najmniejszego znaczenia nie będzie mieć nawet okoliczność, czy Wielka Brytania zaprzestanie wreszcie wkurzać Francuzów, w czym się wyspecjalizowała, oraz pozostałych członków UE. O nieprzedłużaniu linii Borisów decydować będzie szacunek dla elementarnej uczciwości, czyli to, co u Borisa nie występuje.

Johnson ma za sobą karierę dziennikarską pełną rozwodów z uczciwością. Nie wyzbył się kłamstewek, kiedy dostał partyjną tekę premiera. Przegiął, kiedy okłamał królową, objaśniając majestatowi przyczyny zawieszenia prac parlamentu. Tego się nie wybaczają, bo na Wyspach tak się nie robi.

Mimo kolosalnych różnic ustrojowych podobny los czeka w Polsce imię Jarosław. Historyczny proces może się rozpocząć już w najbliższą niedzielę. Nie pomoże nam królowa, ale wystarczy, aby lud Warszawy i całej Polski wziął coś na odświeżenie pamięci, zanim stanie przed urną.

Mieliśmy dość czasu, aby zlustrować grupę Kaczyńskiego, przyjrzeć się dokładnie podniebieniu wodza i prześwietlić duszę jego ludzi. Oni zbudowali nam system wybiórczego prawa i wybiórczego zaufania. Bardziej rozstrój niż ustrój, oparty na prawie, spod którego Kaczyński

Jarosław jest suwerennym ciałem zastępującym całą demokrację w Polsce.

wyjmuje sobie kogo chce i kiedy chce, oraz na jednostkowym zaufaniu, którego jedynym depozytariuszem jest ten sam Kaczyński – personalny i zawiadowca całego kraju.

Dodatkowo wódz załatwił sobie i pomazańcom krzyżki, niczym dawniej „ordery, jedwabiem na sukni wyszywane”, jak pisał znawca obyczajów w czasach Augusta III Jędrzej Kitowicz. Kiedyś w Rzymie ktoś tak naznaczony był nietykalny. Dzisiaj też nad Wisłą nie do ruszenia są ludzie z grupy K. Każdy ma glejt. Nawet najbardziej niegodziwy uczynek członka tego ugrupowania

zawiera w sobie partyjną, kościelną i narodową jednocześnie obietnicę świętości.

Mniej pobożni od nas Włosi wymyślili, że wtedy krzyżek był po to, „aby kto nie ojszczał” właściciela, objaśniał Kitowicz, co detalicznie brzmiało *pur non pisiare*. Tak bowiem było, że jeżeli właściciel jakiegoś muru nie mógł sobie dać rady z przechodniami nieustannie „wypuszczającymi urynę” w tym miejscu, rysował krzyżek i pisał na murze: „*Per amorem dei nolite pisiare*”, czyli: „Nie moczcie, na miłość boską”. I tak zaczęto mówić o każdym, kto

przypiął sobie krzyżek, że robi to, aby uniknąć nieprzyjemności moczenia.

Tymczasem rodzima grupa narobiła już tyle gnoju, że grzęzawisko zaczyna wciągać całą Polskę. Za przykładem grupowego, który latami co miesiąc stawał na taborecie i wciskał ludziom brednie smoleńskie, dzisiaj cynicznym kłamstwem biegle posługuje się już każdy nominowany przez niego urzędnik.

Prezydent Warszawy obiecał niedawno najstarszym mieszkańcom stolicy badania profilaktyczne na koszt miasta. Stosowna agencja rządowa, a więc

instytucja – jak wszystkie – obsadzona przez grupę Kaczyńskiego, powiedziała: hola, hola, takimi badaniami nie można uszczęśliwiać wszystkich, a tylko tych, których da się zaliczyć do określonej grupy ryzyka w odniesieniu do danej, czyli wskazanej, choroby. Do tej pory ludzkość uważała, że profilaktyka to badanie zdrowych, czy przypadkiem nie są na coś chorzy. Pod rządami grupy Kaczyńskiego profilaktyka ma się zajmować chorymi.

Dodatkowo niepożądanym skutkiem ubocznym badań profilaktycznych w rozumieniu zaordynowanym przez grupę K. byłaby „nadwyczerpalność poszczególnych jednostek chorobowych”. W tej sprawie trzeba wymagać od emerytów więcej wyrozumiałości. Rząd jeszcze nie apeluje, żebyście umierali przed terminem, chce wam tylko wybić z głowy kolejkę do lekarza i narażanie Narodowego Funduszu Zdrowia na nowe koszty. Bez badań można przecież radośniej i z takim samym skutkiem dla zdrowia spędzać czas, oczekując na nieuchronność.

W odróżnieniu od Borisa Jarosław nie musi się spowiadać ani tłumaczyć królowej, dlaczego zawiesił Sejm. Boris musi, bo jest częścią demokracji brytyjskiej. Jarosław jest suwerennym ciałem zastępującym całą demokrację w Polsce. W niedzielę jest szansa, żeby mu ulżyć. Profilaktyka wyborcza zaleca zdejmowanie ciężarów ze zmęczonych ramion.



Dorota Bartosiewicz

Ośmiokrotny bypass hamburger i shake, który w 90% składa się z masła – tak wygląda menu restauracji Heart Attack Grill w Las Vegas. Pusta kaloria na pustej kalorii. Do wyboru też frytki smażone na smalcu, wódka z pełnotłustą bitą śmietaną i np. kanapka z „Księgi rekordów Guinnessa”, która ma dokładnie 9982 kcal. Skład: kotlety ociekające tłuszczem, kilkadziesiąt plastrów bekonu, cheddar i majonez. Obraz potęgują jeszcze slogany: „Tu zwalczamy anoreksję” i „Nagłe zmiany wagi są szkodliwe dla zdrowia. Pomożemy ci utrzymać wagę”. Jest jeszcze obietnica: „Otyli, jedzą za darmo” (powyżej ok. 160 kg) – przed wejściem stoi waga.

Od prawie 15 lat Heart Attack Grill chwali się tym, że serwuje najbardziej niezdrowe jedzenie na świecie. Ba, największą popularność restauracja zanotowała w 2011 r., kiedy z powodu powikłań związanych z otyłością zmarł jej rzecznik. John Alleman miał 29 lat, a ważył 260 kg. Ale restauracja w Los Angeles to wyjątek. Najczęściej firmy robią, co mogą, żeby tylko ukryć fakt, że sprzedają śmieciowe jedzenie.

Co się kryje w jogurcie?

– Hamburgery, frytki, pizze, hot dogi, kebaby, zapiekanki – intuicyjnie czujemy, że to *fast food*. Rzeczy szybko przygotowywane, za to mocno przetworzone. Podawane z reguły na ciepło, ale serwowane na poczekaniu, do tego jedzone w biegu – mówi Anna Patrzalek, członkini Polskiego Towarzystwa Dietetyki i autorka książki „Dylematy mamy i taty w kuchni”. Na ogół tanie, za to bardzo kaloryczne – z dużą ilością tłuszczów i węglowodanów, a śladową witamin i minerałów. Nie przynoszą też korzyści naszemu zdrowiu produkty zaliczane do kategorii *junk food* (śmieciowe jedzenie), jak np. popcorn, chipsy i coca-cola.

Anna Patrzalek problem nagłaśnia od lat. Mimo to nadal wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy z pułapek rzeczy pozornie zdrowych. – A przecież są i inne mało oczywiste produkty, które tylko sugerują, że są zdrowe. W rzeczywistości są szkodliwe, a regularnie spożywane przez dłuższy czas stają się nawet zabójcze dla or-

Śmie(r)ć na talerzu

O tym, że fast food działa jak narkotyk, wie wielu. Ale niewiele osób zdaje sobie sprawę, że żywność reklamowana jako zdrowa też jest szkodliwa



Od prawie 15 lat Heart Attack Grill w Las Vegas serwuje najbardziej niezdrowe jedzenie na świecie.

ganizmu. Głównie dlatego, że dostarczają ogromnych ilości np. cukru. I to też jest śmieciowe jedzenie!

Przykładami mogą być choćby popularne jogurty owocowe („które owocowe często są tylko z nazwy”) i wody smakowe („z wodą mają tyle wspólnego, że z reguły stoją obok niej”). W tych pierwszych czasami owocowe nie ma wcale albo jest ich mniej niż 5%, są za to aromaty i sztuczne barwniki. Do tego nawet cztery łyżeczki cukru na szklankę, podczas gdy dzieci w wieku przedszkolnym powinny zjadać go maksymalnie pięć łyżeczek dziennie. W wodach smakowych cukru potrafi być nawet osiem łyżeczek, czyli podobnie jak w butelce popularnego napoju gazowanego. – A że producent nie może napisać woda, bo nie można nazwać wodą czegoś, co jest posłodzone, łapie się różnych zamienników nazw. To sprytnie omijanie prawa – przestrzega przy tym Anna Patrzalek.

Zdaniem przedstawicieli branży innymi tego typu produktami mogą być płatki śniadaniowe, w tym kulki miodowe albo czekoladowe, które

ani miodu, ani czekolady w składzie nie mają, za to olbrzymie ilości cukru. Podobnie napoje kakaowe, w których 80% proszku stanowi czysty cukier. Uważać należy nawet na kaszki dla niemowląt, które także często są dosładzane.

Nie mniejszym problemem mogą być parówki. W tym przypadku chodzi o sól. I to nawet w produktach wysokiej jakości. – W jednej parówce potrafi być nawet gram soli – ostrzega Anna Patrzalek. Z czym to porównać? – Dość powiedzieć, że kiedy zjem dwie parówki z kromką chleba i ketchupem, spożyłam już dzienną dawkę soli. W jednym posiłku, a gdzie obiad i kolacja, nie wspominając o różnego rodzaju przekąskach?! – alarmuje.

Dla porównania – średnia zawartość soli w 100 g pizzy wynosi 1,53 g, przy czym wartości te wahają się od 1,15 g w marghericie do 1,95 g w pepperoni. Innymi słowy: sól zawarta w całej średniej pizzy (516 g), w zależności od jej rodzaju, przekracza maksymalne dzienne spożycie soli określone przez WHO od 137 (pizza margherita) do 174% (mięsna)! Jak

pokazały też ostatnie dane Instytutu Żywności i Żywienia, porcja frytek dostarcza od 6,1 do 55% zalecanego spożycia soli (w zależności od miejsca zakupu). Ale wysoka jest też w nich zawartość nasyconych kwasów tłuszczowych – 51,12% wszystkich kwasów tłuszczowych, a także 6,42% izomerów trans. Tylko nieco niższe zawartości nasyconych kwasów tłuszczowych były w pizzy, kebabach i hamburgerach.

Fast food w szpitalu

– Nasze jedzenie jest bez wątpienia złe dla twojego zdrowia. Ale to kuchnia, dla której warto umrzeć – potwierdza w jednym z wywiadów Jon Basso, właściciel restauracji Heart Attack Grill. A i tak tłumy chętnie płacą u niego 29 dol. za megakanapkę z ośmioma kotletami i 40 plasterkami bekonu.

Także dietetycy podkreślają, że klienci tak łatwo nie zrezygnują ze śmieciowego jedzenia. Warzywa i owoce, które powinny być podstawą zrównoważonej diety, są coraz droższe. Śmieciowe jedzenie z kolei nie tylko tańsze, ale też łatwo dostępne, jest już wszędzie: na stacjach benzynowych, w centrach handlowych, lunaparkach, na lotniskach, a nawet w szpitalach. Przy tym szeroko promowane i umieszczane obok zdrowych produktów. Na ich opakowaniach

jedzenie dobrze nam się kojarzy – z wycieczką z kolegami ze szkoły albo przedszkola, wyjściem gdzieś z rodzicami. Czyli jak przyjemność, zabawa, fajny czas, to obowiązkowo *fast food*. Potem zapisuje się to głęboko w podświadomości. Efekt? Na poprawę humoru także chętnie sięgamy po puste kalorie – biją na alarm eksperci.

Mało tego, dowiedziono, że powrót do zdrowej diety może z czasem okazać się trudniejszy. Wywoływać złość, agresję i przygnębienie. W końcu pozabawiamy się przyjemności z jedzenia. Ponadto takie produkty silnie uzależniają. „*Junk food*” zmienia aktywność mózgu w sposób

W wodach smakowych potrafi być nawet osiem łyżeczek cukru.

podobny do narkotyków, w tym np. kokainy i heroiny”, dowiedli jeszcze w 2008 r. Paul Johnson i Paul Kenny z The Scripps Research Institute. Głównie dlatego, że zmniejsza wrażliwość ośrodków przyjemności w mózgu. To znaczy, że aby osiągnąć ten sam stopień przyjemności, musisz z czasem przyjmować coraz większe ilości niezdrowego jedzenia. W skrajnych przypadkach po zjedzeniu niezdrowego posiłku już myślisz o kolejnym.

W USA 37% osób po 20. roku życia żywi się *fast foodem* codziennie, pokazało badanie Boston University.

rykański Narodowy Instytut Zdrowia, który podkreśla, że z powodu nadwagi umiera 300 tys. osób rocznie, ale także krajowe ośrodki – 70% Polaków ma nadwagę i otyłość, a blisko 30% z nich nie skończyło 18. roku życia. Jedną z przyczyn tej epidemii może być właśnie śmieciowe jedzenie.

– Badania naukowe dowodzą, że izomery trans niekorzystnie wpływają na układ sercowo-naczyniowy. Powodując zaburzenia lipidowe, podnoszą ryzyko zawału serca i udaru. Nadmierne spożycie soli – z uwagi na zawartość sodu – też wywołuje niekorzystne skutki dla zdrowia. Prowadzi do rozwoju nadciśnienia

tętniczego, a także zawału serca i udaru mózgu. Może także w istotny sposób zwiększać zachorowalność na raka żołądka i osteoporozę – tłumaczy te zależności dietetyk Diana Wolańska-Buzalska z Instytutu Żywności i Żywienia w Warszawie.

Wśród chorób zależnych od diety wlicza się też: cukrzycę, miażdżycę oraz astmę i alergię – głównie dlatego, że *fast food* obciąża układ odpornościowy, który reaguje podobnie jak na infekcję bakteryjną. Ale mówi się i o trudnościach z zajęciem w ciążę, i o kłopotach z nauką (o 20% gorsze wyniki w czytaniu, matematyce i innych przedmiotach ścisłych). Diana Wolańska-Buzalska:

Dwie parówki z kromką chleba i ketchupem to dzienna dawka soli.

aż się roi od informacji typu „Magnez i wapń dla zdrowych kości” czy np. „10 witamin”. – Chętnie to łykamy, bo nie patrzymy na informacje o zawartości cukru. Przecież jakbym powiedziała mamie, żeby zrobiła dziecku kakao i wsypała do niego trzy łyżeczki cukru, to prawdopodobnie puknęłaby się w czoło i powiedziała: „Chyba pani zwariowała?! Jak ja mogę tak postoić mleko, które samo w sobie już jest słodkie”. Tymczasem działamy bezrefleksyjnie; według przepisu na opakowaniu. „No, ale to jest zdrowe kakao”, usłyszalabym pewnie na koniec – zapewnia Anna Patrzalek z Polskiego Towarzystwa Dietetyki.

Jednorazowe zjedzenie frytek czy pizzy problemem nie jest. Gorzej, że jest to też kształtowanie złych nawyków żywieniowych. Bo śmieciowe

Polskich statystyk nie ma – CBOS podało tylko, że po słodycze i ciasta sięga każdego dnia 22% Polaków. Efekty?

Epidemia

– Po miesiącu jedzenia wyłącznie w McDonald’s przytyłem 11 kg, mam odfuszoną wątrobę, o 65 jednostek wyższy poziom cholesterolu. Zawartość tkanki tłuszczowej wzrosła z 11 do 18%, a ryzyko zawału i choroby wieńcowej ponad dwukrotnie. Prawie cały czas czuję się przygnębiony i wyczerpany. A moje życie seksualne leżało – przyznawał dziennikarz Morgan Spurlock w filmie „*Super Size Me*” z 2004 r.

Teraz o zagrożeniu *junk foodem* mówią już wszyscy. Nie tylko ame-

– Zgodnie z zaleceniami zdrowego żywienia codzienna dieta powinna być bogata w produkty nieskoprzetworzone. Należy unikać spożycia cukru, ograniczać spożycie soli oraz produktów będących źródłem izomerów trans nienasyconych kwasów tłuszczowych. W prawidłowo zbilansowanej diecie nie ma miejsca na tego typu żywność.

Co w tej sytuacji robią producenci śmieciowego jedzenia? Bary i restauracje z *fast foodem* serwują coraz większe porcje; tym samym dostarczają jeszcze więcej kalorii. Największy skok dotyczy deserów (62 kcal na dekadę) i dań głównych (30 kcal na dekadę). Heart Attack Grill i na to znalazł sposób – tych, którzy nie są w stanie zjeść całej porcji, poddaje publicznej chłości; klapsy wymierzają pracownicy restauracji. ■

Jak ratować lodowce Antarktydy?

Francuzi myślą o pokrywaniu lodowców alpejskich osłonami odbijającymi promienie słoneczne. Na Antarktydzie nie wchodzi to w grę



Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego powstała w 1977 r.



Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

PROF. STANISŁAW RAKUSA-SUSZCZEWSKI

– badacz Antarktydy

Czy Polska ma zapewniony skrawek Antarktydy do eksploracji i eksploatacji?

– Podpisaliśmy Układ Antarktyczny z 1959 r., który zamraża wszystkie pretensje terytorialne. Zdajemy sobie jednak sprawę, że w którymś momencie pretensje mogą odżyć. Polska jako jeden z 28 krajów umowy ma takie same prawa jak pozostali. Na razie na pewno nie można eksploatować zasobów mineralnych Antarktydy. W tej sprawie obowiązuje moratorium. Można natomiast eksploatować żywe zasoby Antarktyki, czyli obszaru Antarktydy, otaczającego ją Oceanu Południowego i położonych na nim wysp, w ramach konwencji o ochronie żywych zasobów, której Polska też jest sygnatariuszem. Są w niej określone warunki, czas, miejsca i limity. **Antarktyda to ogromny ląd, w dużej części pokryty największym na świecie lądolodem. Czy prowadzone tutaj obserwacje dają pojęcie o postępach globalnego ocieplenia na Ziemi?**

– Oczywiście tak, ale z zastrzeżeniami. Nie uwzględniamy tutaj trwającego miliardy lat stopniowego

ochładzania się Układu Słonecznego, bo zjawisko globalnego ocieplenia przebiega w znacznie mniejszej skali setek czy tysięcy lat. Przewiduje się np., że jeśli topnienie lodowców będzie przebiegać tak szybko jak obecnie, to do 2100 r. powierzchnia mórz i oceanów podniesie się o ok. 1 metra. Trzeba też zauważyć, że procesy ocieplania inaczej przebiegają na półkuli północnej, czyli w Arktyce, a inaczej na półkuli południowej, czyli w Antarktyce.

Na czym polega specyfika Antarktydy?

– Uważa się, że wschodnia Antarktyda może się ochładzać, a zachodnia, gdzie znajduje się m.in. Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego, może się ocieplać.

Ale jest przecież ogólna tendencja – ocieplenie.

– Anomalie występujące na Antarktydzie są wynikiem działania również prądów pacyficznych: El Niño i działającego przeciwnie, chłodząco, La Niña. Ogólna tendencja wskazuje

jednak na wzrost temperatury. Międzynarodowy raport z 2017 r. wykazuje wzrost temperatury w skali globalnej od 1,5 do 1,8 st. C na stulecie.

Niedawno media alarmowały, że z Antarktydy oderwał się kawał lodowca długości 200 km i płynie na północ.

– I co z tego? W stosunku do ogromnego obszaru zajętego przez lodowce jest to tyle co przyszc. Oczywiście topnienie lodu jest jednym z przejawów ocieplenia, ale nie jedynym. Bo to na półkuli północnej są bardziej niepokojące zjawiska. Istnieje zagrożenie rozmrożeniem ogromnych obszarów na Syberii i uwolnieniem potężnych ilości metanu.

Wróćmy do Antarktydy. Co pan profesor sądzi o projektach sztucznego powstrzymania topnienia lodowców, które przedstawiono w czasopiśmie „Nature”. Mowa tutaj o budowie wielkich zapór podwodnych na przedpolu lodowców szelfowych, a nawet sztucznym ochładzaniu wody.

– Pewną szansę powodzenia mogą mieć próby ratowania lodowców alpejskich. Francuzi myślą o pokrywaniu ich osłonami odbijającymi promienie słoneczne. Jednak Antarktyda z uwagi na obszar – 14 mln km kw., czyli więcej niż cała Europa, z czego 98% zajmuje lód – nie podda się taki zabiegom. Podobnie nierealne jest ratowanie w ten sposób lodowców Grenlandii.

Nie ma więc ratunku?

– Jak wspomniałem, najbardziej widoczne jest zmniejszanie się zalodzenia oceanu na półkuli północnej. Porównajmy 14 mln km kw. Antarktydy z 60 mln km kw. Arktyki. Kluczowy wydaje się obszar Arktyki Syberyjskiej. Fatalne skutki dla klimatu mają rozpuszczająca się zmarzlina oraz masowa hodowla bydła – metan i dwutlenek węgla wydalanane przez zwierzęta powodują wzrost temperatury atmosfery przy ziemi. Do tego dochodzi jeszcze przemysł wytwarzający ogromne ilości dwutlenku węgla.

Jak walczyć z ociepleniem?

– Poprzez radykalne ograniczenie wydzielanego do atmosfery dwutlenku węgla i metanu. Może ratunkiem byłoby przechodzenie ludzkości na wegetarianizm, zmniejszenie liczby hodowanych krów, rezygnacja z napędów spalinowych w samolotach, samochodach itd. Nie wiem, czy ograniczenie hodowli zwierząt przyniesie taki sam skutek jak ograniczenie wydzielania gazów cieplarnianych przez przemysł i transport. Wszystko to są jednak ważne czynniki.

Wegetarianie mogą uratować świat?

– To dobry kierunek. Jestem zwolennikiem wegetarianizmu, ale zarazem lubię argentyńską wołowinę.

Trudno się z panem rozmawia.

– Co można poradzić, skoro nie ma lepszej wołowiny niż argentyńska? Tamtejsze krowy jedzą na pampie trawę bez żadnych dodatków.

W opracowaniu dotyczącym temperatury na Antarktydzie wspomina pan, że zmienia się linia brzegowa Wyspy Króla Jerzego, co stanowi zagrożenie dla naszej stacji.

– Stacja Arctowskiego powstała w 1977 r. i była już raz przebudowywana w 1998 r. Teraz planowana jest kolejna przebudowa. Na ten cel Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przeznaczyło 88 mln zł. Inwestycją zawiaduje Instytut Biochemii i Biofizyki PAN. Projekt wykonało biuro

architekta Kuryłowicza. Zabudowa powstanie w Polsce i zostanie przewieziona na Antarktydę. Ważne jest takie usytuowanie budynków, aby nie stały one zbyt blisko siebie, gdyż wiatry odbite od zabudowań i nierówności terenu mogą stwarzać dodatkowe problemy.

Choć Antarktyda w większości pokryta jest lodem, to turyści kąpią się tam w gorących źródłach.

– Na wyspie Deception w sąsiedztwie wulkanów turyści kąpią się w wodzie, która ma na powierzchni 40 st. C. Ale muszą uważać, bo tuż pod cienką warstwą ciepłej wody jest lodowata. W polskiej stacji naukowej średnia temperatura roczna wynosi minus 1,6 st. C, ale latem potrafi tam nawet być plus 10 st. C. Bywało, że w ciągu czterech miesięcy lata naszą stację odwiedzało nawet 10 tys. turystów. Czasami statki wycieczkowe czekają w kolejce, aż się zwolni miejsce na lądzie. Atrakcja jest dosyć droga, bo 10-dniowy rejs na Antarktydę kosztuje kilka tysięcy dolarów. Przytływa do nas też sporo żeglarzy. Stacja w Zatoce Admiralicji cieszy się tak dużym powodzeniem, bo jest usytuowana w bardzo pięknym miejscu. Żyje tutaj bardzo dużo dzikich zwierząt, są trzy gatunki pingwinów, pięć gatunków fok i jeszcze uchatki. Na Antarktydzie nie ma natomiast białych niedźwiedzi, które dosyć licznie występują na półkuli północnej.

Antarktyda ma również osobliwości, prawdziwe cuda natury.

– Stwierdzono, że pod lodem znajdują się liczne jeziora, które przechowywały faunę i florę sprzed miliona lat. Są one trudno dostępne nawet dla naukowców, ponieważ muszą oni uważać, aby nie zanieczyścić zbiorników, które dotąd nie miały bezpośredniego styku z powierzchnią i atmosferą. Mogą tam żyć bakterie z początkowych etapów ewolucji. Być może są one toksyczne dla ludzi. Inną osobliwością jest jezioro na powierzchni, które ze względu na zasolenie nie zamarza nawet przy temperaturze minus 50 st. C. Do ciekawych miejsc zaliczyć też trzeba tzw. suche doliny na Ziemi Wiktorii, które mogą symulować krajobraz Marsa. Nie ma tam śniegu ani lodu, tylko nierówności, kamienie, piach. Na tych terenach testowano łożyska, które teraz pracują na Czerwonej Planecie.

Tereny polarne uważa się za pozbawione chorobotwórczych bakterii i wirusów, które nie wytrzymują surowego klimatu.

– Prawdą jest, że nie ma tam wielu pyłków roślin, które szkodzą alergikom, ale można się zarazić od kogoś, kto świeżo przybył z zewnątrz. Podam przykład. Spędziłem 15 miesięcy w amerykańskiej stacji. Przebywało tam ok. 120 osób, przed końcem zimowania połowę zaszczepiono przeciw grypie. Niektórzy niezaszczepieni, kiedy skontaktowali się z nowo przybyłymi, zaczęli chorować.

Wniosek z tego taki, że nawet na Antarktydzie warto się szczepić przeciwko grypie.

– Po dłuższym pobycie w dużym mrozie bez kontaktów z nowo przybyłymi nikt już nie choruje. Stwierdziłem to po ponad rocznym pobycie w rosyjskiej stacji Mołodiożnaja. Ale powrót do cywilizacji bywa czasem nieprzyjemny, więc szczepić się trzeba. Tylko kompletni durnie tego nie robią.

A jak surowy klimat, noc polarna i długotrwałe odosobnienie wpływają na psychikę? Czy pojawia się zjawisko określane przez niektórych mianem grozy polarnej?

– Coś jest na rzeczy, ponieważ właśnie na Antarktydzie specjaliści z agencji kosmicznej NASA prowadzili przez trzy lata badania na temat zachowania ludzi w dłuższej izolacji. Badania prowadzono równolegle w stacjach amerykańskiej, rosyjskiej, chińskiej i polskiej. Wyniki okazały się bardzo ciekawe i stanowiły podstawę do przygotowywania długotrwałych załogowych lotów na stację kosmiczną i Marsa. Okazuje się, że zachowanie ludzi w trudnych warunkach jest uwarunkowane nie tylko etnicznie, ale i kulturowo. W stacjach rosyjskiej i chińskiej kończąca się zima poprawiała nastroje. Amerykanie i Polacy reagują inaczej – im bliżej wiosny, tym bardziej nastroje się obniżają, ludzie są zmęczeni sobą i monotonią życia. Tylko w polskiej stacji przebywały kobiety i to też dało odpowiednie wskazówki organizatorom lotów kosmicznych.

Obecność kobiet podnosi optymizm?

– Ale tylko wtedy, gdy jest ich kilka, przynajmniej dwie. Samotna pani może wywoływać problemy i jest jej pewnie smutno. ■

✉ Obywatel czy klient

Dr Przemysław Potocki w rozmowie „Wyborcy lewicy: sojusz trzech nisz” (PRZEGLĄD nr 38) stawia fundamentalne pytanie: „Jak realizować podmiotowość w życiu społecznym?”. I odpowiada: „Można to robić w dwóch formułach – jako konsument i jako obywatel. PiS pokazuje, że lepiej być konsumentem. Lewica natomiast pokazuje to drugie – bycie obywatelem jest o wiele ważniejsze”.

Nie wiem, czy jako konsument człowiek jest podmiotem w życiu społecznym, czy raczej klientem. W dodatku oczekującym okruszków z pańskiego stołu. Takiemu bliżej do feudalizmu niż do demokracji partycypacyjnej, która jest fundamentem społeczeństwa obywatelskiego. Staram się być świadomym obywatelem, dlatego PiS nie może liczyć na mój głos.

Józef Brzozowski, Żory



f Jak zagospodarować pradiadków

Konflikt pokoleń jest nieunikniony. Nawet jeżeli o tym się nie mówi. Niekoniecznie będzie to otwarty bunt. Wystarczy ucieczka za granicę przed wyzwaniami, których nie jesteśmy w stanie podjąć.

Dr hab. Piotr Szukalski (PRZEGLĄD nr 35) słusznie zwraca uwagę na gwałtownie narastające problemy opieki nad ludźmi starymi. Ale jest jeszcze jedna sprawa, której nikt dotychczas nie chce poważnie potraktować. Jak taka sytuacja wpłynie na młode pokolenie? Jeżeli zostanie nadmiernie obciążone kosztami utrzymania i leczenia osób starszych, to albo przejdzie do szarej strefy, albo ucieknie za granicę.



Popatrzmy też na dramatyczny problem jedynaków. Przy dzieciństwie 1,3 dziecka na kobietę jedynacy stanowią ok. 54% społeczeństwa. Są oni przyzwyczajani do roli osób, które biorą, a nie dają. Tacy ludzie nie będą w stanie podjąć ogromowi problemów, jakie postawi przed nimi geriatryzacja społeczeństwa. Wyobraźmy sobie parę jedynaków w wieku ok. 45 lat, którzy muszą pomagać fizycznie czwórce rodziców w wieku 70+ i ósemce dziadków w wieku 95 lat. Do tego spłacać kredyt na mieszkanie i wychowywać jedynaka, który nie zamierza szybko się usamodzielniać. Społeczna rola nie do udźwignięcia. Do tego problem demencji, która występuje masowo w wieku 85+. Opieka nad chorym na alzheimera przekracza w zasadzie możliwości psychiczne i fizyczne dwóch dorosłych osób.

Wszystko to dramatycznie przeobrazi postawy życiowe młodego pokolenia. Pełnej geriatryzacji społeczeństw na świecie jeszcze nie ma. Są kraje już bardzo zaawansowane na tej drodze. W Japonii młodzi coraz częściej uciekają w rzeczywistość wirtualną. Tam realizują swoje potrzeby społeczne, seksualne i emocjonalne. I mają coraz mniej dzieci. Młodzi Włosi uciekają w głąb rodzin. Mamy tam epidemię młodych, którzy nie pracują, nie uczą się i nie wyprowadzają z rodzinnego domu. Obie postawy w dłuższej perspektywie prowadzą do zagłady społeczeństwa.

U nas będzie gorzej, bo nie mamy takich zasobów materialnych jak Japonia. A i Włochy mają dorobek pokoleń dużo większy niż Polska. To, że tego problemu jeszcze nie widać, zawdzięczamy „komunie”, która pozostawiła w spadku społeczeństwo młode, dobrze wykształcone, zdrowe, pełne energii. Właśnie skończyliśmy przejadać to wielkie bogactwo.

Kartownik

JAMES MORRISON

You're stronger than you know

20.10.2019
KLUB STODOŁA
WARSZAWA

BILETY: LIVENATION.PL

WWW.JAMESMORRISONMUSIC.COM
NOWY ALBUM YOU'RE STRONGER THAN YOU KNOW W SPRZEDAŻY

LIVE NATION

Wojciechowski – ignorancja plus arogancja

Cóż... Los Janusza Wojciechowskiego, kandydata Polski pisowskiej na komisarza UE, wisi na włosku. Podobno niespodziewanie, bo ani europosłowie PO, ani PSL, ani ci od lewicy nie zamierzali tej kandydatury torpedować. Ba! Niektórzy już zdążyli zadeklarować, że ją poprą.

Co więc się stało, że Wojciechowski oblał przesłuchanie w Parlamencie Europejskim jako kandydat na komisarza ds. rolnictwa? I teraz czeka go upokarzająca procedura niczym egzamin poprawkowy? Bez gwarancji sukcesu.

Jak utrzymują fachowcy, Wojciechowski sam sobie podstawiał nogę.

Jan Truszczyński, były wiceminister spraw zagranicznych, były ambasador RP przy Unii Europejskiej i wreszcie pierwszy dyrektor generalny z krajów „nowej Unii” w Komisji Europejskiej, zamieścił w tej sprawie na Facebooku pełen zdumienia wpis. Bo dla niego, osoby znającej unijną biurokrację i unijne procedury jak własną kieszeń, porażka Wojciechowskiego była absolutnym zaskoczeniem.

„W czasie pracy w Komisji Europejskiej dwukrotnie uczestniczyłem w przygotowywaniu kandydatów na komisarzy do wysłuchania w Parlamencie Europejskim – pisze Truszczyński. – Służby Komisji wkładają wiele pracy w to, by zaopatrzyć kandydata w całościowe, lecz jednak przejrzyste i strawne *dossier*. Są non stop do jego/jej dyspozycji w celu wszelkich dodatkowych wyjaśnień. Omawiają z kandydatem możliwe pytania poszczególnych grup politycznych i indywidualnych członków danej komisji PE. W przypadku rolnictwa Wojciechowski miał jeszcze bardziej optymalną sytuację: dzięki swoim funkcjom w Parlamencie Europejskim i w Trybunale Audytorów znał – musiał przecież znać! – stan reform Wspólnej Polityki Rolnej i aktualne koncepcje dalszej adaptacji tej polityki, ludzi zajmujących się WPR w DG AGRI Komisji Europej-

skiej (Dyrekcji Generalnej Rolnictwa i Rozwoju Obszarów Wiejskich), miał z pewnością superwsparcie ze strony rządu kierującego DG AGRI, Jerzego Plewy.

Wnioski są zatem dwa. Albo kandydat się lenił i nie chciał mu się przygotować do egzaminu w PE, albo też ktoś mu całkowicie błędnie doradził taktykę uników i ogólników w odpowiedzi na pytania deputowanych. A poza tym jest antytalentem w dziedzinie komunikacji publicznej, nie poddał się jednak najwyraźniej żadnemu szkoleniu, by choć trochę złagodzić ten brak. Cóż, jak to mówią, *you will never get a second chance to make the first impression...* (nigdy nie dostaniesz drugiej szansy, żeby zrobić pierwsze wrażenie)“.

Po jakimś czasie Truszczyński dorzucił jeszcze jeden wpis: „A dodam jeszcze jedno. W treningu Wojciechowskiego przed występowaniem na forum PE uczestniczyły dziesiątki ekspertów Komisji Europejskiej. Jeden z nich podzielił się opinią, co usłyszałem dzisiaj, że jeszcze nigdy nie widział tak dużej ignorancji, połączonej z tak silną arogancją“.

W zasadzie nie trzeba już nic dodawać. Może poza opinią Włodzimierza Cimoszewicza, który z kolei podniósł sprawę dramatycznie słabej znajomości angielskiego, którą zaprezentował Wojciechowski. „Angielski nie jest jego mocną stroną i po prostu sobie nie poradził”, stwierdził.

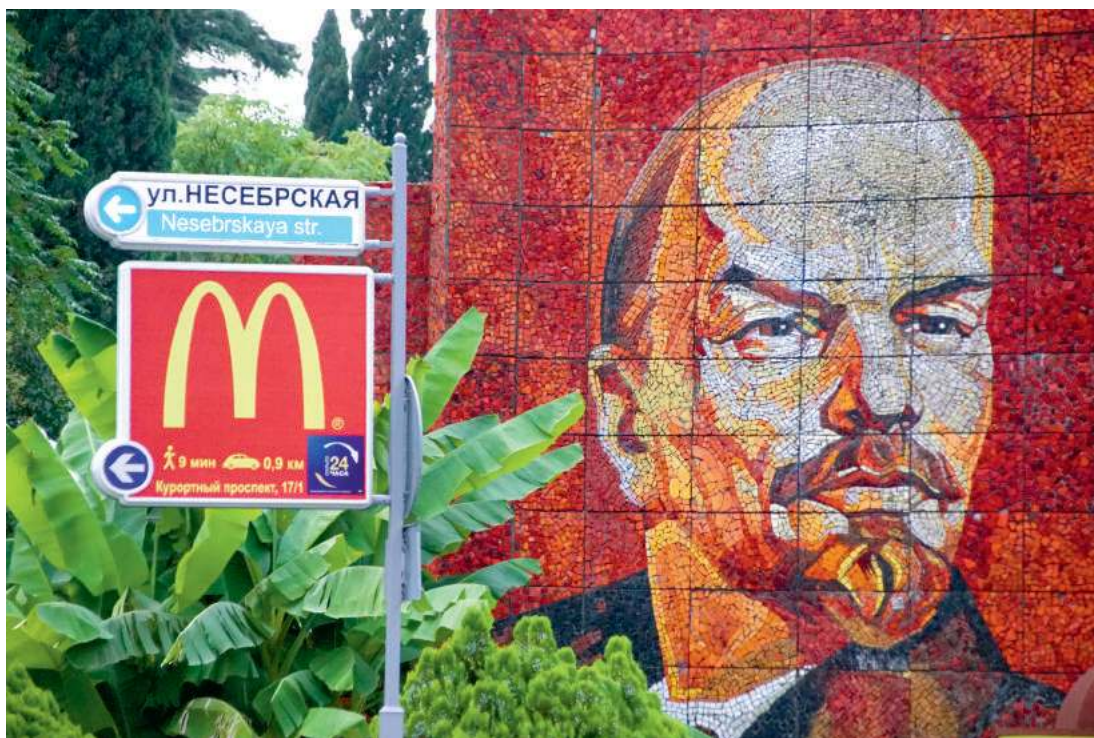
Odrzućmy więc komentarze PiS, że Wojciechowski poległ, bo Europa Zachodnia chciała dać niepokornej Polsce prztyczek w nos.

Przyjmijmy zasadę, że gdyby Wojciechowski dobrze mówił po angielsku i gdyby był dobrze przygotowany, na europejskim poziomie, gdyby zaprezentował się jako znawca rolnictwa i jego więzów z resztą gospodarki, to przesłuchanie przeszedłoby bez większych kłopotów.

Ale chyba za dużo wymagamy.

Attaché

Między dawnymi a nowymi laty.
Soczi 2019.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- sukulent kwitnący raz w życiu
- tempo szybkie, choć wolniejsze niż presto
- religijnie o propagatorze idei
- podanie otwierające drogę do bramki
- szczególne względy, okazywane grzeczności
- żyje na cudzy koszt
- akustyczny chroniący przed hałasem
- elektroda tranzystora
- Anna, nagrała płytę „Człowieczy los”
- las, zarośla trudne do przebycia
- nauka o lodowcach
- pierwsza stolica Polski
- epopeja z Achillesem i Agamemnonem
- projektodawca, duchowy ojciec
- „...z Aldebarana” Lema
- zje zielone, nie mielone
- wyścigówka bez nadwozia
- ciężka praca na okrągło
- na słodkość ma reagować czubek języka, na nią – brzęgi
- była włoska waluta
- przyprawowy bobkowy
- na wystawie sklepu odzieżowego
- momencik, chwileczka
- ...kapitału zagranicznego do Polski
- przeliterowywane, by uniknąć pomyłki
- pisklę bielika
- stwierdzenie lub zasadzanie
- potoczna nazwa ostrożnia
- rzuca kalumnie
- naskórka albo potu z czoła
- obiekt badań lichenologii
- legalizm
- nasz tygodnik
- co było, a nie jest, nie pisze się w niego
- długoszpar lub żarłacz biały
- prosperity, złoty wiek
- kulszowa to ischias
- czynność dentysty i sztangisty
- niejeden w wiosce olimpijskiej
- np. komandytowo-akcyjna
- Asafa Powell lub Usain Bolt
- ciemne, poślizgowe albo przymusowe
- gruby, wielowarstwowy papier
- na na obrazie za postacią
- moździerz to miseczka z nim
- drwiący w wypowiedzi ironisty
- Blair w polityce, Curtis w filmie
- sztuczne to plastik
- dłoni lub na misia
- premier Wincenty
- potocznie, żartobliwie o żołnierzu
- kilka słów w notesie
- „...krwi” o przygodach psa Bucka
- USB lub RCA
- biurowy dołączenia kartek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-929”. Do rozlosowania CD „Witold Friemann. Works for clarinet & piano” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 października 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-926” z 22 września: *Kaluża nie ma horyzontów.* Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Tadeusz Pilichowski z Łodzi, Elżbieta Pyra z Lublina.

PENETRACJE

PLAYBOY JERZY URBAN, REDAKTOR NACZELNY „NIE”

Kiedy proponowałem na konferencji prasowej, że wyślemy śpiwory do USA, bo u nas nie ma bezdomnych, to tak się śmiałem, że trzeba było powtórzyć nagranie. Przy pustej sali, ze zbliżeniem na mnie – bo inaczej dławilem się ze śmiechu. Poza tym skutki akcji „śpiwory” były pyszne. Bo władze amerykańskie zaczęły panicznie działać, żeby nie wpuścić tych śpiworów. Jakies cło niesamowite obiecały nałożyć. A burmistrz Nowego Jorku ogłosił, że u nich wcale nie ma bezdomnych. Nowy Jork wściekł się wtedy, bo tam rzeczywiście było ich mnóstwo. Zrobił się gigantyczny skandal.

Press KUBA WĄTŁY, WYRZUCONY Z „SUPERSTACJI” AUTOR POPULARNYCH PROGRAMÓW

Nie chcę, żebyśmy się pozabijali. Chcę uruchomić Medium Obywatelskie, bo PiS, gdy było w opozycji, stworzyło w dwa lata sieć bardzo sprawnie funkcjonujących mediów. A my po liberalnej stronie nie mamy miejsca, w którym możemy porozmawiać. Są tylko wyspy, na których liczy się *ego* gospodarza. Platforma będzie do rozmowy. Nie wielkiej, pompatycznej dyskusji, tylko do rozmowy między aktywistami społecznymi a widzami i słuchaczami, bo będą w medium najważniejsi. Radio z wizją. Za pośrednictwem strony internetowej lub aplikacji w telefonie będzie można słuchać lub słuchać i oglądać, co się dzieje w studiu. Chcemy wystartować

z 9 lub 11 godzinami programu dziennie. Gdy mnie wyrzucili z Superstacji, zdałem sobie sprawę, że teraz już nie będę miał czasu na żadną telewizję.

TYGODNIK POWSZECHNY

MAGDA UMER, PIOSENKARKA

Uważam, że jeśli dożyło się 70. roku życia i widzi się trochę, słyszy się trochę, czuje się trochę, to jest to powód do dumy. Na zawsze zapamiętam zdanie Jeremiego Przybory, że jedyną urodą starości jest mądrość. Jeżeli mam jakieś ambicje, to żeby nie zgłupieć. Kiedy Jeremi skończył 85 lat, mówił, że pięćdziesiątka to młodość starości, sześćdziesiątka – lato starości, siedemdziesiątka to jesień starości, osiemdziesiątka – zima starości, a po osiemdziesiątce to już niedopuszczalny okres w życiu człowieka.

STYL

ARKADIUSZ JAKUBIK, AKTOR

Gdy przygotowywałem się do egzaminów do szkoły teatralnej, mama zapisała mnie na korepetycje do opolskiego aktora i jego żony logopedki. Stać nas było tylko na pięć lekcji, w domu się nie przelewało. Co można zrobić z wadą wymowy w pięć lekcji? Po ostatniej zapytałem tegoż aktora: „Myśli pan, że mam jakieś szanse?”, na co on odpowiedział: „Szczepke? Daj sobie spokój”. Załamałem się. Nie chciałem podchodzić do egzaminów. A potem, jaskający się i sepleniący, znalazłem się na pierwszym miejscu listy nielicznych szczęśliwców.

Aby język giętki...

JERZY STUHR O BRAKU WSTYDU

Słoma wychodzi z butów? A do brze, niech wychodzi. My się słomy nie wstydzimy. My jesteśmy z niej dumni.

AGNIESZKA HOLLAND O PROPAGANDYSTACH PiS

Co jest u nich skrajną ideologiczną obsesją, a co cynicznym służalstwem i strachem przed utratą przywilejów?

PROF. ADAM LESZCZYŃSKI O REFORMIE GOWINA

Szybko wywołał konflikty i podziały w środowisku naukowym oraz potrafił je wygrać koncertowo.

ZBIGNIEW NAMYSŁOWSKI O ANGINIE

We Francji grałem na festiwalu studenckim w Tuluzie, a potem trafiłem do Paryża na kilkutygodniowe leczenie anginy. Po tym, jak się napiłem cudownej wody z Lourdes.

MARIUSZ SZCZYGIEL O PISANIU

Nie chcę pisać historii wymyślonych, bo nie umiem zmyślać i zawsze będę miał poczucie, że zrobiłem to kiczowato.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ O KOŚCIELE

Po śmierci Jana Pawła II jawi mi się wręcz jako niechrześcijański, przepętniony pogańskimi zabobonami i pozostający w schizmie wobec obecnego papieża.

PROF. MARIA POPRZĘKA O DYREKTORZE MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

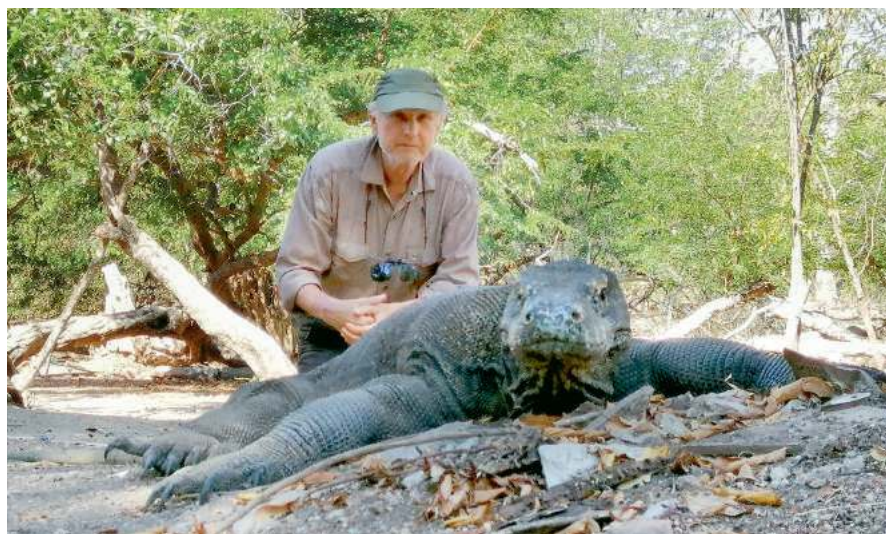
Prof. Miziołek okazał się człowiekiem skrajnie niekompetentnym i nieodpowiednim, a skala zniszczeń, jakich dokonał, jest bez precedensu.

JANUSZ GAJOS O MAŁŻEŃSTWACH

Żeniłem się cztery razy, ale od 30 lat jestem szczęśliwym mężem Elżbiety. Taki wyższy poziom miłości. Do beczki słodczy dodaje się tyżkę rozsądku. I to jest bardzo dobre.

SONIA BOHOSIEWICZ O NAGOŚCI

Nie ma tematów cielesnych, których się boję, ale już samo rozebranie się przy obcych do najprzymniejszych nie należy. Zawsze towarzyszy temu wstyd.



Prof. Grzegorz Kołodko zdążył odwiedzić przed wprowadzeniem podwyżki opłat za bilety indonezyjską wyspę Komodo, gdzie żyje ok. 1700 wielkich jaszczurów, waranów – „smoków z Komodo”. Wkrótce park narodowy zostanie zamknięty co najmniej na rok, a potem będzie można tam się dostać, płacąc 1000 dolarów.

RoboFilemon...

Marzysz o kocie, ale chcesz uniknąć wiążących się z jego posiadaniem obowiązków? Japońska firma Yukai Engineering ma dla Ciebie puchatą poduszkę, która merda ogonkiem, gdy jest głaskana. Podobno już kilka minut obcowania z Quoobo wystarczy, by odczuć wyraźny spadek stresu. Firma ma nadzieję, że gadżet podbije serca pracobolików oraz seniorów, którzy nie czują się na siłach zaopiekować żywym pupilem.

... i e-Balbinka

Pojawiła się także oferta dla tych, którzy śnią nie o mruczku, ale o tym, by choć przez chwilę poczuć się jak drób. Umożliwia to gra komputerowa wyprodukowana przez niezależne studio House House, polegająca na kierowaniu upartą i złośliwą gęsią, która postanowiła utrudnić życie mieszkańcom całego miasteczka. „Untitled Goose Game” można pobrać za jedyne 49 zł. Za wybryki gęsi nie odpowiadamy.

Maskotka czyni złodzieja

Mieszkańcy Nowego Sącza śpią spokojniej, od kiedy policja ujęła wyjątkowo zuchwałą przestępczynię. Dzięki nagraniom z monitoringu udało się zidentyfikować i ująć 31-lletnią kobietę, która w jednym ze sklepów sieci Biedronka ukradła rolkę z naklejkami umożliwiającymi odbiór nagród z kultowej serii Gang Słodziaków. Przed zatrzymaniem zdążyła ona w innej placówce wymienić swój łup na kilka maskotek i książek, narażając się na straty w wysokości 820 zł. Niepoprawnej klientce za kradzież i oszustwo grozi do pięciu lat więzienia.

**Trzeciego razu nie będzie**

Policja zatrzymała także mężczyznę podejrzanego o włamanie do domu w Kętrzynie. Po wybiciu okna w piwnicy mężczyzna miał się udać do kuchni, gdzie przyrządził sobie jajecznicę z fasolą. Z ustaleń mundurowych wynika, że sprawcą jest ten sam 44-latek, który tydzień wcześniej włamał się w ten sam sposób do tego samego domu, a następnie zjadł w nim jajecznicę i żółty ser oraz zabrał wino. Jeśli trafi do celi, może się w niej spotkać z 24-latką z Bolesławca, który jednego dnia dwukrotnie ukradł tego samego jaguara (po pierwszej kradzieży policja szybko odnalazła auto i zwróciła je właścicielce).

Mamy cię, ptaszku!

Nie nudziło się także policjantom z holenderskiego Utrechtu. Gdy wezwano ich do sklepowej kradzieży, przy podejrzanym znaleźli papugę. Ponieważ na komisariacie nie było klatki, „po odpowiednich konsultacjach” oboje zatrzymani trafili do jednej celi. Sprawę opisał m.in. portal telewizji RTV Utrecht, w którego relacji ujęty ptak miał oczy zasłonięte czarnym paskiem. Ciekawe, który członek szajki pierwszy zacznie śpiewać!

Mistrz futbolówki ucieka

Mieszkający w Irlandii Północnej były piłkarz Sokoła Ostróda Łukasz Gwiazda złamał przepisy drogowe i zaczął uciekać przed policją. Gdy go zatrzymano, okazało się, że nie miał też ubezpieczenia ani aktualnego przeglądu technicznego auta. Ponieważ nie stawiał się na rozprawę, wydano nakaz jego aresztowania. Gwiazda się nim nie przejął i kilka dni później zagrał w meczu swojego zespołu Welders FC z policyjną drużyną PSNI FC, ba, zdobył w nim bramkę. Spotkanie zakończyło się remisem 2:2, wynik pojedynku Polaka z wymiarem sprawiedliwości na razie jest nieznanym.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Uczestnicy dorocznego jesiennego festiwalu wegetariańskiego w Phuket w Tajlandii.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojszak-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

JAK NIE DAĆ SIĘ OSZUKAĆ

Słuchając polityka, zachowaj podstawowe zasady BHP

- **Pamiętaj**, że niezależnie od tego, co mówi, chce wywrzeć na ciebie wpływ, przekonać, byś na niego zagłosował.
- **Zwróć uwagę** na sygnały, które mogą sugerować nieszczerłość. Na przykład opóźniona w stosunku do słów gestykulacja. Szczere gesty poprzedzają słowa, te udawane towarzyszą słowom lub następują po nich.
- **Zwróć uwagę** na sygnały niespójne z prezentowaną postawą, np. ktoś się uśmiecha i przyjaźnie patrzy, ale dłonie zaciska w pięści. Albo patrzy prosto w oczy, ale często mruga.
- **Obserwuj** zmianę wyrazu twarzy, niepasującą do tego, co mówi polityk. Zwykle ujawnia się ona pod koniec wystąpienia, gdy polityk schodzi z trybuny albo odwraca się od kamery, przestaje się kontrolować i... maska opada.
- **Sprawdź**, na ile to możliwe, dane i fakty, o których mówi polityk, nawet gdy wypowiada je niskim, przekonującym tonem głosu.
- **Oglądając** wystąpienie polityka, zrób mały eksperyment – wyłącz dźwięk i obserwuj mowę ciała. Jakie wrażenie na tobie robi? Na ile jest spójna?

Wiesław Sikorski, „Wyborcze manipulacje”

charaktery
magazyn psychologiczny



Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

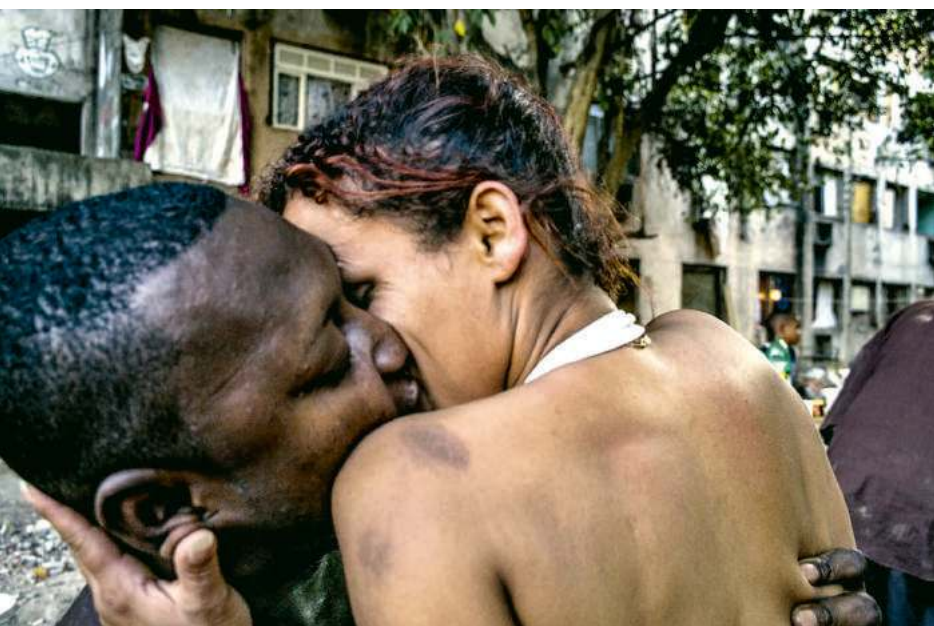


Peter Bauza

Copacabana Palace

Niemiecki fotograf Peter Bauza specjalizuje się w dokumencie fotograficznym, jest laureatem międzynarodowej nagrody World Press Photo w 2017 r. „Copacabana Palace” to opowieść o ludziach stojących między przepaścią a utrzymaniem się przy życiu. Przedstawia ich cierpienie, ich słabości i siłę. Ich porażki, a także sukcesy w codziennym staraniu o przetrwanie. Niewielu wie o ich istnieniu i pokazuje ich życie. Szare, zniszczone ściany Pałacu Copacabana, nigdy nieukończonego budynku, zajętego przez ludzi bez dachu nad głową, same mówią o ubóstwie i nędzy. Peter spędził z tymi ludźmi 12 miesięcy, starając się zarejestrować ich szczęście, smutek, potrzeby, złudzenia, wspólnotę i siłę, dając im twarz i głos. Pokazuje codzienne życie milionów Brazylijczyków.

FOT. PETER BAUZA



Łódź, galeria Pop-up
ul. Ogrodowa 8
do 11 listopada



KROKUS JAZZ FESTIWAL

JELENIA GÓRA

16-20 X 2019

im. Tadeusza „Errolla” Kosińskiego

SCENA GŁÓWNA

16.10. / ŚRODA / 18:00

JAZZ FILM w DKF „Blue Note Records Beyond the Notes”

18.10. / PIĄTEK / 20:00

JAMES CARTER ORGAN TRIO /USA

19.10. / SOBOTA / 20:00

WOJCIECH MAZOLEWSKI QUINTET /PL

20.10. / NIEDZIELA / 20:00

HAILEY TUCK BAND /GB

POWIEŚ MŁODEGO JAZZU

18.10. / PIĄTEK / 19:30

JAZZ WORLD PHOTO

19 - 20.10. / SOBOTA - NIEDZIELA / 12:00

KONCERTY KONKURSOWE /PL, DE, CZ

Prowadzenie koncertów: Tomasz Tłuczkiewicz

XVIII

SCENA KLUBOWA „KWADRAT”

17.10. / CZWARTEK / 19:00

JAZZBLASTER /PL

18.10. / PIĄTEK / 22:00

TOMASZ CHYŁA QUINTET /PL

19.10. / SOBOTA / 22:00

IMMIGRATION BOOTH /DE, USA

20.10. / NIEDZIELA / 22:00

THE CUBAN LATIN JAZZ /CUB, UA, PL

www.krokusjazzfestiwal.pl

www.jck.pl/bilety

Jeleniogórskie Centrum Kultury

JK

Jeleniogórskie Centrum Kultury • ul. Bankowa 28/30 • tel. 75 64 78 884...885

PARTNERZY

ORGANIZATORZY

FUNDATORZY NAGRÓD

PATRONAT MEDIALNY



eprasa.pl 6c9acf54e8

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Capri – wyspa uciekinierów

reżyseria: Krystian Lupa

prapremiera: 12 października

kolejne pokazy: 13, 16, 17, 18,
19, 20 października

Nowy spektakl Krystiana Lupa, na podstawie utworów: Kaputt i Skóra Curzia Malapartego. Twórcy przyglądają się przemianom Europy i roli wielkich osobowości w procesach polityczno-społecznych. W epickiej opowieści narodziny faszyzmu i wojna stają się odniesieniem dla współczesnych lęków.

Lupa akcję umieszcza na Capri, wyspie, na którą uciekali marzyciele, władcy i rewolucjoniści, m.in. cesarz Tyberiusz, Lenin, Gorki, George Bernard Shaw, czy Rilke.

foto: Natalia Kabanow

Patroni
medialni

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestrane24

AKTIVIST

P
magnum

www.powszechny.com